

1701/11
5997

zewchenko



Przejazdzka z przyjemnością i nie bez morału



Handwritten text in cursive script at the bottom of the grid, likely a signature or date.

Wczoraj — dumna i piękna oblubienica bogatego pana, a dzisiaj — wieśniaczka, koleżanka swoich biednych koleżanek. Dzisiaj jest piękniejsza i wspanialsza od wczorajszej dumnej oblubienicy. A jakże ona szczerze ścisną i całuje swoje przyjaciółki... Rozpływałem się w rozczuleniu patrząc na te przejawy niewinnego, a wysoce szlachetnego serca.

Więc to znaczy, że pan Kurnatowski skłamał. Jego Helenka jest zdrowa i całkiem szczęśliwa. Wcale nawet nie zamierzała spraszać do siebie swoich pyszałkowatych i próżnych sąsiadek. Jego wierna, kochająca żona zaprosiła swoje tak samo wierne i kochające przyjaciółki i prostodusznie, radośnie obchodzi z nimi swoje niezwykle wesele.

1701/17
5997

enko

przejawiająca z przyjemnością
i nie bez morału





PRZEJAŹDŹKA
Z PRZYJEMNOŚCIĄ
I NIE BEZ MORALU

Tytuł oryginału

Progułka z udowolstwem i nie biez morali

Taras Szewczenko

przejażdżka
z przyjemnością,
i nie bez morału



Tłumaczył
JERZY JĘDRZEJEWICZ

Projekt obwoluty, okładki
i karty tytułowej
JERZY KOSTKA

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWAŚ

ISBN 83-222-0239-3

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1983

Wydanie II. Nakład 10 000+150 egz. Ark. wyd.
8,8. Ark. druk. 12. Papier offset. mat. kl. V,
71 g, 82×104 cm. Oddano do składania we
wrześniu 1982 r. Podpisano do druku we wrześ-
niu 1983 r. Druk ukończono we wrześniu 1983 r.

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne w Rze-
szowie, ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 1857/82
N-8-73

Cena zł 70,—

*Poświęcam
Sergiuszowi Timofiejewiczowi Aksakowowi
w dowód głębokiego szacunku*

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Przyszło mi do głowy w ubiegłym roku, by powitać naszą piękną ukraińską wiosnę gdzieś najdalej od miasta, chociaż i w takim mieście jak ukryty wśród sadów nasz złotokopuły Kijów nie traci ona swego uroku; ale bądź co bądź jest to miasto, a mnie się zachciało odludnego, cichego zakątka. Na ten poetyczny pomysł wpadłem na początku albo w połowie kwietnia, nie pamiętam dobrze. Pamiętam tylko, że wydarzyło się to w porze naszych sławetnych małosyjskich roztopów. Można by nawet trochę poczekać — przecie błoto na wiosnę szybko schnie. Ale mnie, jeśli już raz wpadło do głowy, coś nawet najbardziej nierealnego, to klinem stamtąd nie wybiję. W tym punkcie bardzo jestem podobny do swoich nieustępliwych ziomeków. Pisarze nasi i w ogóle ludzie porządni uczucie to nazywają siłą woli, a tymczasem można je nazwać po prostu oślim uporem — bardziej malowniczo i dosadnie.

Długo przebierałem w pamięci wszystkich dobrych znajomych, którzy się ukryli w cieniu samotności, to jest — oddali się zupełnemu lenistwu. Po drobiazgowym przeglądzie zatrzymałem się na pewnym dymisjonowanym husarze, który mienił się moim krewniakiem, czemu bynajmniej nie zaprzeczałem. Mieszkał on, a właściwie mówiąc, wegetował w najbardziej malowniczym, odludnym zakątku guberni kijowskiej, w odle-

głości trzech wiorst od miasteczka Łysianki. Na niego to właśnie padł mój wybór.

Wyjechałem z Kijowa wczesnym rankiem trójką dobrych pocztowych koni, z Trochimem i z walizką. Do pierwszej stacji Wety dojechaliśmy bez szczególnych przygód i Wetę opuściliśmy szczęśliwie. Dopiero naprzeciwko pola białoksiążęcego, nie dojeżdżając do przydrożnej kapliczki, w uprzęży lewego lejcowego konia pękły postronki. Myśleliśmy, że pozostała para dociągniemy jakoś do Wasylkowa. Ale gdzie tam! Błoto po kostki i nasza para wcale nie rusza z miejsca. Na szczęście chłop wiózł łozy na płot, więc nie bez trudu, co prawda, wyprosiliśmy od niego parę sztuk i sporządziliśmy jaką taką uprzęż.

W Wasylkowie przekąsiliśmy faszzerowanego szczupaka mocno przyprawionego pieprzem i poczłapaliśmy dalej. Zaczął padać drobny, spokojny deszczyk, który stawał się coraz gwałtowniejszy, aż wreszcie lunęło jak z cebra; można by było zajechać do karczmy w Mytnicy (wieś) i przeczekać deszcz, ale jakem sobie powiedział, żeby nigdzie nie popasać aż do Białej Cerkwi, takem zrobił. Do Białej Cerkwi dojechaliśmy już w nocy. Po naradzie z Trochimem postanowiliśmy spędzić noc na stacji pocztowej i, powiem wam, dobrześmy zrobili, że wpadliśmy na taką mądrą myśl, w przeciwnym wypadku nigdy nie miałbym chyba możliwości opisać tej przejażdżki, a wy nie moglibyście się z nią zapoznać, moi cierpliwi czytelnicy, gdyż węzeł dramatyczny opisywanych przeze mnie wypadków został zawiązany właśnie owej pamiętnej nocy. Tylko nie na stacji pocztowej, jak to się zazwyczaj zdarza, lecz... ale po co wybiegać naprzód!

Zdecydowawszy się nocować na stacji, spytałem dozorcę, czy mają jakiś pokój gościnny.

— Są dwa — odpowiedział — ale oba zajęte. Jakaś dziedziczka, pewno z córką, zajęła te pokoje.

„Dziedziczka z młodą córką? — pomyślałem. — Ach, jaka szkoda, że nie jestem huzarem albo przynajmniej zwykłym wojskowym; wiedziałbym wtedy, co zrobić: po prostu prawem przejeżdżającego w celach służbowych (wojskowi nie jeżdżą pocztą w celach prywatnych) zapakowałbym matkę z córką do jednego pokoju, a sam umieściłbym się w drugim i w wolnych chwilach prowadziłbym obserwacje przez dziurkę od klucza. No i byłby początek romansu w istic huzarskim stylu.”

Muszę wyznać, że już nawet... tego... ale nie, nie wystarczyło mi odwagi. Powiedziane jest, że komu nie przeznaczony los człowieka wojskowego, to — choćby zapuścił nawet na arszyn długie wąsy — zawsze zostanie szarym cywilem.

Do miasteczka zostawała jeszcze dobra wiorsta, a do żydowskiej karczmy, gdzieśmy zamierzali spędzić noc, przynajmniej ze dwie wiorsty, ale nie było innej rady, więc powlekliśmy się w nocy, w ulewnym deszczu, by odszukać karczmę. Trochim, nie bardzo zadowolony z mojej decyzji, zaczął coś mrużyć, ale machnąłem ręką i puściliśmy się w drogę. Po godzinie szczęśliwie dotarliśmy do upragnionego celu.

Korzystając z tej dogodnej sposobności, mógłbym opisać białocerkiewną karczmę z jej wszystkimi brudnymi szczegółami, ale brak mi talentu flamandzkich malarzy, a tu taki talent jest konieczny. Zauważę mimochodem: po pierwsze, nikt mnie nie wyszedł przywitać, jak to bywa w rosyjskich karczmach, lecz przyczyną tego mogła być ciemna, niepogodna noc — przyczyna ważka nawet dla największego zucha; po drugie, wdrapując się po śliskich stopniach do ciemnego korytarza natknąłem się na coś żelaznego — tak zgrabnie się natknąłem, że o mało sobie głowy nie rozbiłem. Rano dopiero

przekonałem się, że to był spód z resorami do jakiegoś powozu. Tak wyglądało moje wkroczenie w gościnne progi izraelskiego zajazdu. W pokoju już mnie powitał Żyd dosyć przyjemnej powierzchowności, pomógł mi ściągnąć z ramion na wskroś przemokły nieprzemakalny płaszcz i uniżenie spytał, czego sobie życzę.

— Herbaty i pokoju — odrzekłem.

— Zaraz — powiedział i zniknął za drzwiami.

W oczekiwaniu na to „zaraz” grzałem się i rozprostowywałem zdrętwiałe nogi, chodząc tam i z powrotem po pokoju. Pokój ten był czymś w rodzaju sklepu z szafami przy ścianach i oszkloną ladą pośrodku. Zatrzymałem się przed tą ladą i pomiędzy galanteryjnymi drobiazgami — jak państwo myślą, co ujrzałem? Książkę w żółtej okładce. Dopiero co chciałem powiedzieć Trochimowi, żeby wyjął książkę z walizy, a tu sama włązi mi w ręce i Trochima nie potrzeba fatygować. Biorę ze stołu świecę i czytam tytuł, wydrukowany bodaj że słowiańskimi literami: *Ukrainskaja poezija T. Padury*¹. — Chodź no tu, moja droga, dawnom cię nie widział. — Lada była jednak zamknięta. Wezwałem właściciela, ale zamiast niego zjawił się jakiś Żyd z rudą bródką. Poprosiłem go, żeby mi wyjął z lady książkę, on jednak przedstawił mi się, że jest faktorem, a nie właścicielem sklepu. Kazałem mu zawołać gospodarza. Przyszedł gospodarz, ten sam sympatyczny Żyd, co mi pomagał zdejmować nieprzemakalny płaszcz. Poprosiłem go o książkę; wyjął i podając mi, rzekł:

— Dziesięć złotych.

— A jeżeli tylko przeczytać — spytałem biorąc książkę — ile będzie kosztowało?

— Pięć złotych — powiedział pobrzękując kluczami.

Cóż robić, dałem pięć złotych i zażądałem noża, by rozciąć drogą książkę, było to jednak niepotrzebne — książka była już rozcięta i nawet przybrudzona. Oprócz

tłustych plam zauważyłem na marginesach stronic to proste linie mocno przeprowadzone w niektórych miejscach paznokciem, a w niektórych ołówkiem, to wykrzyknik, to znak zapytania, to diabli wiedzą co.

„Aj, aj! — pomyślałem. — Toś ty już musiała przejść przez ręce niejednego naszego krytyka.”

Niszczyć ołówkiem lub paznokciem cudzą książkę to rzecz niewybaczalna, ale tu jest przynajmniej jakaś myśl, że niby patrzcie, czytałem taką książkę i znalazłem w niej pewne urywki dobre, a pewne złe, chociaż to podobnego czytelnika bynajmniej nie usprawiedliwia z niszczenia cudzej własności. Czym jednak usprawiedliwić panów, którzy na stacjach psują szyby swoimi drogocennymi brylantami, rysując na szkle przemyślnie inicjały jak na jakimś ważnym dokumencie, wyraźnie i czytelnie? Czym usprawiedliwić tych panów? Po co to robią? Jaką w tym mają myśl? A przecie jakaś myśl musi się kryć w owych przemyślnych inicjałach i podpisach? Czyż tylko ta, że taki a taki, który przejeżdżał tędy, miał pierścień z brylantem? Tylko to, i nic więcej. Jaka marna, małostkowa próżność! A mówią i nawet piszą, że podobno znakomity lord Byron wyrył gdzieś w Grecji na skale swoje sławne nazwisko. Czyżby i temu wybitnemu człowiekowi nieobca była owa marna, niegodna pycha?

Dziwna rzecz zresztą, że ta mizerna próżność skłania mnie (a może nie tylko mnie), bym patrzył, ma się rozumieć z braku lepszego zajęcia, na te podrapane szyby i czytał dawno mi znaną książkę, pokreśloną ołówkiem i paznokciem. Tak się i teraz wydarzyło. Poezje Padurry znam aż nadto dobrze, a zapłaciłem za nie pięć złotych, ot tak, dla zwykłej zachcianki, żeby się ubawić. A tymczasem, kiedy spostrzegłem gryzmoły na marginesach książki, zacząłem ją czytać jakby po raz pierwszy.

Nad pieśnią pod tytułem *Zaporoska pieśń* było bardzo wyraźnie napisane: „Skalkowski kłamie”². Co by miała znaczyć ta zgoła bezceremonialna uwaga? Przeczytałem pieśń. Zaczyna się ona tak: „Hej, Kozacze, w imię Boga.” Cóż to ma wspólnego z uczonym autorem *Historii nowego kosza*? Nie rozumiem. Ba! Przypomniałem sobie. Tę samą piosnkę uczony badacz życia i obyczajów zaporoskich wkłada w usta zaporoskim lyrcariorom³. Cześć i chwała uczonemu mężowi! Jak on głęboko przestudiował to wszystko, co opisuje. Aż podziw bierze! A może po prostu chciał się pośmiać z Chochłów⁴ i nic więcej? Pan Bóg go raczy wiedzieć, ale ta wołyńsko-polska pieśń jest tak samo podobna do pieśni naddnieprzańskich rycerzy, jak ja jestem podobny do chińskiego bóstwa.

— A jakże tam herbata i pokój? — spytałem zamykając książkę.

— Zaraz — odezwał się sterczący w kącie ryżobrody faktor. I wyszedł do drugiego pokoju.

— Ach wy, łapserdaki!... Przeczytałem już całą książkę, a oni nawet nie pomyśleli jeszcze o herbacie!

Po chwili faktor wrócił i znowu przyczaił się w kącie.

— Cóż z tą herbatą? — spytałem.

— Zaraz się zagotuje — odpowiedział.

— Czego ty tu przestępujesz z nogi na nogę? — spytałem usłużnego faktora.

— Jestem faktor. Może pan czego potrzebuje, to ja panu mogę wszystkiego zaraz dostarczyć — dodał uśmiechając się chytrze.

— Dobrze — powiedziałem. — Więc możesz dostarczyć wszystkiego, czego zapragnę?

— Dostarczę wszystkiego — odparł bez zająknienia.

„Jakie by mu tu dać zlecenie à la Twardowski?” — spytałem sam siebie i po namyśle rzekłem:

— Znasz angielski porter pod nazwą „Brown stout Berkeley Perkins and Company”?

— Znam — odrzekł.

— Przynieś mi jedną butelkę — wydałem polecenie zadowolony ze swego pomysłu.

— Zaraz, proszę pana — powiedział faktor i zniknął za drzwiami.

„No — pomyślałem — niech poszuka. Teraz tego nieprzyjacielskiego produktu nie można dostać nawet w stolicy, nie tylko w Białej Cerkwi.”

Nie zdążyłem tak pomyśleć, a tu już zjawia się mój faktor z butelką prawdziwego „Brown stoutu”. Sprawdziłem banderolę na butelce i tylko z lekka wzruszyłem ramionami, ale nic po sobie nie dałem poznać, że to mnie tak bardzo zdziwiło. Faktor postawił butelkę na stole i jakby nigdy nic stanął sobie po dawnemu w kącie, i tylko pot z twarzy ociera połą swego zatłuszczonego chałata. Cuda umieją czynić owi przekłęci faktorzy!

— Powiedz mi prawdę — rzekłem zwracając się do faktora — skąd się w waszej Białej Cerkwi wziął angielski porter?

— Przez nasze miasto — odpowiedział — wożą z Sewastopola wziętych do niewoli angielskich lordów⁵, więc dla nich trzymamy porter.

— No, no — powiedziałem — sprawa tedy jest prostsza, niż mogłem sobie wyobrazić.

— Może pan jeszcze każe sobie czegoś dostarczyć na noc? — spytał faktor.

— Czekaj, bratku, pomyślę — odrzekłem. „Co by mu tu takiego wymyślić, jakiś taki haczyk, którego by zębami nie rozgiął?” — zadałem sobie pytanie i po chwili zastanowienia takie mu dałem zlecenie, doprawdy à la Twardowski.

— A więc, drogi cudotwórco — powiedziałem zwracając się do mizernego Merkuriusza — jeżeli znalazłeś

dla mnie porter... Chwilęczkę! Macie tu w mieście księ-garnię?

— Księgarni w mieście nie ma — odpowiedział.

— Dobrze. W takim razie postaraj się o nową, nie rozciętą książkę, a wtedy uwierzę, iż wszystko możesz znaleźć.

— Zaraz — odparł z niezmaconym spokojem ryży Merkuriusz, odwrócił się i wyszedł.

II

— Hej, gospodarzu! Co z herbatą? — zawołałem głośniej niż zwykle, zwracając się do otwartych drzwi.

— Zaraz — odezwał się z trzeciego pokoju kobiecy głos.

— A żebyście na swojego Mesjasza tak czekali i nie mogli się doczekać, jak ja na waszą herbatę!

Nie zdążyłem wymówić tego gniewnego zdania, kiedy we drzwiach ukazała się kędzierzawa, czarnowłosa, prześliczna Żydóweczka, ale taka brudna, że wprost nie można było patrzeć.

— Gdzież herbata? — spytałem umorusanej Hebe⁶.

— Nie mamy herbaty, a czy nie zechciałby pan...

— Jak to „nie ma”, gdzie jest gospodarz? — prze-rwałem jej.

— Gospodarz poszedł spać — odparła nieśmiało.

— Jeżeli nie ma herbaty, to co tu u was jest? — spytałem zniecierpliwiony.

— Jest faszzerowany szczupak i...

— I więcej nic — dokończyłem za nią.

W tej samej chwili wszedł do pokoju faktor z dwiema nowiutkimi książkami w ręku. Zdumiało mnie to, ale zaraz się opanowałem i kazałem podać szczupaka, a po-tem dopiero zwróciłem się do faktora i obojętnie wzią-łem od niego książki. Patrzą — książki rzeczywiście

nowe, nie porozcinane. Chociaż, jako człowiek dobrze wychowany, przywykłem ukrywać swoje stany wewnętrzne, tu jednak nie wytrzymałem, wydałem głośne „ach” i nazwałem faktora prawdziwym sługą pana Twardowskiego. Faktor uśmiechnął się, a ja przeczytałem na okładce: „Przegląd Morski” 7, nr 1 z 1855 roku. Jeszcze raz się zdziwiłem i zwracając się do faktora, powiedziałem:

— Powiedzże mi, w imię Mojżesza, jaką ty mocą czynisz podobne cuda, i wyjaśnij mi, jak i od kogo dostałeś te książki?

— O!... Te książki drogo kosztują — rzekł faktor i dotknął głowy palcami, jakby poprawiając jarmułkę.

— Usłuż mi tedy jeszcze po raz ostatni — zwróciłem się łagodnie do swojego ryżego Merkuriusza — i opowiedz mi historię tych drogich książek.

Faktor zawahał się i podrapał za uchem. Wyasygnowałem mu złotówkę na piwo, to mu dodało animuszu, grzecznie spytał, czy mu wolno usiąść, i podrapawszy się jeszcze raz za uchem, opowiedział mi taki dramat, że gdyby nie jego deklamacja, to z pewnością bym się rozplakał. Treść dramatu jest bardzo prosta. Oto zdarzenie:

Z Sewastopola do guberni smoleńskiej jechał jakiś oficer marynarki, Bóg raczy wiedzieć, ranny czy po prostu chory, z dwojgiem małych dzieci i żoną. Działo się to w zimie albo przy końcu zimy; podróż tak go, biedaka, zmęczyła, że musiał się zatrzymać w Białej Cerkwi na kilka dni, żeby odpocząć. Choroba się wzmożła i zwała go do łóżka. Cóż mieli począć? Siedzieć w brudnej i drogiej izbie i czekać na jakiś koniec. Zaczęły się roztopy, wszystko zdrożało. Pieniądzy własnych oficer nie miał, wydawał to, co dostał z kasy wojskowej na drogę, w końcu wydał wszystko, a choroba trzymała go nadal w łóżku. Jakiś przejezdny lekarz zbadał go

i tylko pokiwał głową — i nic więcej. Recept nie było po co pisać, gdyż w miasteczku jaka tam apteka! Naza-jutrz po wizycie lekarza chory umarł, zostawiając swoją wdowę i dzieci bez grosza. Cóż miała biedaczka robić w takiej nieszczęsnej sytuacji? Napisała list do krewnych męża do guberni smoleńskiej, a w oczekiwaniu na odpowiedź zaczęła sprzedawać za bezcen męzowską garderobę i inne mizerne drobiazgi, żeby zaspokoić najbardziej palące potrzeby. Żyd, usłużny za pieniądze, jeśli się dowie, że ktoś nie ma gotówki, to nawet wody się nie da napić, nie mówiąc już o chlebie. Zresztą Rosjanin zrobi to samo, z tą tylko różnicą, że przeżegna się i przysięgnie, iż wszystko miał i wszystko mu wyszło, a gościowi będącemu przy pieniądzach poda każdą rzecz, o którą ten poprosi, nawet mu ją pod nos podsunie. Biedna wdowa sprzedawała wszystko, nawet najniezbędniejsze, jeśli miało tylko jakąś wartość w oczach nabywcy. Książki, które mi przyniósł wszechwiedzący faktor, były wzięte od niej i prawdopodobnie za bezcen. W gospodarstwie wdowy stanowiły tylko zbyteczny ciężar, a i nieboszczyk, jak widać, niezbyt wysoko cenił drukowaną mądrość, bo nawet nie porozcinał w książkach kartek. Jakkolwiek tam było, jednakże zdumienie moje i radość z powodu tego zjawiska nie miały granic.

— Ileż zapłaciłeś za książki? — spytałem faktora, rozcinając numer pierwszy.

— Dwa karbowanice, mniej nie chce wziąć — odpowiedział z pewnym wahaniem.

„Kłamiesz, chytrusie” — pomyślałem, ale nie mogłem zdemaskować jego kłamstwa.

— Dobrze — powiadam do niego — pieniądze odniesie jutro mój chłopiec, pokażesz mu tylko, gdzie to jest.

— Ja już dałem pieniądze: ona nie chciała zawie-

rzyć bez pieniędzy — powiedział obcierając ręką swój brudny kapelusz.

— Szkoda. Więcej niż pół rubla nie dam ci za książki.

— To po co pan popsuł książkę? — rzekł prawie zuchwiałym tonem.

— Jakże ją popsuję?

— Całą pan pociął nożem, teraz ona nie przyjmie książki z powrotem. Za moje myto jeszcze mnie obito — mruknął ledwo dosłyszalnie i umilkł.

— Sen przynosi dobrą radę — oświadczyłem mu. — Kładź się spać, a jutro się policzymy.

Żyd uklonił się i wyszedł.

Po odejściu faktora zbudziłem Trochima, który spał sobie snem niewinności obok walizy w swoim przemokniętym ubraniu. Kazałem mu się chociaż trochę rozebrać i wszedłszy do drugiego pokoju, krzyknąłem dość głośno:

— A gdzież ten szczupak?

— Zaraz — dał się słyszeć ten sam, co poprzednio, kobiecy głos i po chwili znowu zjawiła się ta sama kędzierzawa, brudna Żydóweczka.

— Gdzie szczupak? — powtórzyłem.

— Już gotowy, tylko na stół podać — wyjaśniła.

— Podaj więc go czym prędzej na stół, a nie zapomnij też podać wódki.

Żydóweczka wyszła i wkrótce znowu zjawiła się ze szczupakiem i ośmiokątną butlą jakiejś buroczerwonawej wódki.

Wziąłem się do jedzenia i mimo że ryba była mocno przyprawiona pieprzem oraz goździkami, z takim apetytem ją zmiatałem, iż gdyby Trochim ze swoim rozbieraniem się zmitrzążył jeszcze chociaż minutę, to zastałby tylko głowę i ogon. Trochim jednak pośpieszył się i zdążył złapać jeszcze porządną porcję szczupaka. Po rybie spytał się umorusanej Hebe, czy nie ma czego,

żeby zagłuszyć pieprz i goździki. Odrzekła, że niczego więcej dzisiaj nie gotowano. Kazałem podać karafkę z wodą, szklanekę i ulokowałem się na skrzypiącej ławce służącej za kanapę, a Trochim skończywszy rybę, zmówił modlitwę i też się rozłożył na jakimś wołoku obok pieca na podłodze. Cisza zapanowała w żydowskim zajęździe. Objasniłem świecę i zacząłem czytać „Przegląd Morski” nr 1.

III

Przerzucając machinalnie kartki, zacząłem zapadać w drzemkę i podniosłem już nawet rękę, żeby wziąć szczypcę, zgasić świecę i zasnąć, ale złożyło się inaczej. Niechcący rzuciłem okiem na wykaz inwalidów, którzy powrócili do zdrowia, ale nie byli zdolni do służby w szeregach; jałem czytać i cóż przeczytałem? Przeczytałem to, czego nigdy nie czytałem w żadnej drukowanej książce.

Chodzi o rzecz następującą. W obecności członków komitetu opieki nad rannymi zapytano tych kalekich biedaków, jakie kto z nich życzy sobie nagrody za wierną służbę tronowi i ojczyźnie. Biedacy najpierw podziękowali za wszelką nagrodę, byleby ich tylko zwolniono do domu. Komitet nalegał, żeby każdy z nich prócz tego zażądał dla siebie, czego mu potrzeba. Jedni poprosili o nagrodę pieniężną, drudzy o zwolnienie ich dzieci ze służby w oddziałach kantonistów⁸, a ostatni z nich, młody marynarz, ze łzami w oczach prosił, by jęgo siostrę rodzoną zwolnić z poddaństwa. Wielkoduszna prośba tego prostego człowieka zrobiła na mnie wielkie wrażenie; nie mogłem dalej czytać, zamknąłem książkę i zgasiłem świecę.

Nie mogłem jednak zasnąć. Marynarz podniecił moją wyobraźnię i odpędził usłużnego Morfeusza. Zwykła

i naturalna sprawa prostego człowieka stawała mi przed oczyma w jaskrawych, promiennych barwach. Zapewne bardzo zubożało moje serce, skoro mnie tak poraziło to niewątpliwie zwyczajne zjawisko. Czyżby razem z cywilizacją tak szczelnie do nas przywierał egoizm, że trudno nam, to jest mnie — uwierzyć w podobną bezinteresowność? Chyba tak. A naprawdę nie powinno być tak: wykształcenie powinno wzbogacać, a nie okradać ludzkie serce. Ale, na nieszczęście, jest to teoria. Podobne, do niczego nie prowadzące rozważania nie dawały mi zasnąć i im głębiej w nich tonąłem, tym wznioślejszy, szlachetniejszy wydawał mi się postępek biednego inwalidy-marynarza. Oddał wszystko siostrze, a sobie nic nie zostawił prócz szczudła i torby. Jak tam kto chce, ale ja uważam, że jest to bohaterstwo nie całkiem zwykłe. „A gdyby tak — pomyślałem — udało mi się ten prosty temat przyoblec w formę bohaterskiego poematu albo... Jednak nie, żadna inna forma poezji, prócz poematu, nie pasuje do tej fabuły. Poemat albo nic.” I zacząłem układać poemat.

Za dawnych dni, za dni mej niewinności, jak mówi poeta, kleciłem po kryjomu wierszyki, a któż z nas ich nie klecił? Czyli że to rzemiosło było mi trochę znane. Pozostawało obmyślić tok działań i scenerię; a miejsce akcji — straszliwy czwarty bastion w Sewastopolu, jeszcze straszniejszy lazaret tamże, a na zakończenie — ukryta w kwitnących wiśniowych sadach małorosyjska wieś; na środku ulicy owej czarownej wsi uwolniona od pańszczyzny siostra wita swojego wielkodusznego brata-kalekę. Kanwa gotowa; dobrać tylko cienie, i — do roboty! Już nawet zacząłem cieniować ten szkic, nie tracąc z oczu głównego efektu. Aż tu słyszę, że w pokoju jakby ktoś szeptał. Czy to aby nie Trochim bredzi przez sen po żydowskim szczupaku? Nadstawiam u-

cha — rzeczywiście, Trochim, tylko że nie bredzi, lecz na jawie szepcze:

— A... pić się chce, a wstać się nie chce.

Po chwili jeszcze raz powtórzył głośniej swoje życzenie, a w minutę później wypowiedział je prawie na cały głos.

— Trochimie — odezwałem się do niego dość głośno. Trochim milczy.

— Trochimie! — powtórzyłem tym samym tonem.

— Czego? — spytał, jakby rozespany.

— Podaj mi karafkę z wodą.

Trochim głęboko i ciężko westchnął, leniwie wstał z łóżka, odszukał po ciemku karafkę i podał mi.

— Napij się sam — powiedziałem do niego — mnie się nie chce pić.

Trochim napił się, postawił karafkę na miejsce i wyrzekł:

— Pokornie panu dziękuję.

— Widzisz, durniu — powiedziałem mu krótko zamiast kazania, ale wątpię, czy to usłyszał, gdyż od razu zasnął.

Porządny oryginał z tego Trochima. Opiszę go kiedyś w innym, bardziej stosownym miejscu, a teraz będę ciągnął dalej kronikę moich własnych przygód.

Wziąłem się już na nowo do przerwanej nici swego poematu, ale przyjaciel Morfeusz spuścił zasłonę i ledwo dostrzegalna wspaniała dekoracja znikła mi z oczu.

Nazajutrz, niezbyt wcześnie, opuściliśmy Białą Cerkiew. Dlatego tak późno, że zasnąłem dopiero o świcie; najpierw marynarz nie dawał mi spokoju, a potem pchły.

Droga była tak jak i wczoraj kiepska, jeśli nie gorsza: wskutek długotrwałego deszczu błoto zamieniło się w prawdziwą kwaszę⁹, jak się wyraził niezadowolony Trochim. Droga zresztą mało mnie niepokoiła: prawie

jej nie zauważyłem; pochłonał mnie, jeśli tak rzecz można, mój poemat. Wciąż ustalałem szczegóły akcji i tak się tym podnieciłem, że zacząłem już improwizować wiersze. Improwizacja moja została przerwana nie byle jakim zdarzeniem. Konie nasze stanęły przed berlinką, czyli dormezą¹⁰, aż po samo pudło ugrzęzła w błocie. Cztery pary tęgich wołów ledwo ją ciągnęły, a czwórka pocztowych koni, całkiem spienionych, odpoczywała z drugiej strony grobli.

„Czy to nie wczorajsza dziedziczka z córką podróżuje tak komfortowo?” — zadałem sobie w duchu pytanie i niechcący rzuciłem okiem na Trochima. Miał tak kwaśną, niezadowoloną gębę, że się roześmiałem. Ale on udawał, że nie dostrzega mojego śmiechu, i był przez to jeszcze śmieszniejszy.

— Nad czym się to pan tak zamyślił, Trochimie Sidorowiczu? — spytałem go na koniec żartobliwie.

Mój Trochim westchnął, zwrócił się twarzą do dormezy i mruknął coś podobnego do przekleństwa.

— Czy nie odmawia pan przypadkiem *Ojciec nasz*? — spytałem go ledwo hamując śmiech.

— *Ojciec nasz* — wycedził przez zęby.

— Za czyjąż to duszę? — spytałem rozbawiony.

— Za diabelską — odparł tym samym tonem i zwróciwszy się do mnie, rzekł: — Prawdę powiedział Żyd, u którego nocowaliśmy, że pan nie jest podobny nie tylko do pana, ale nawet do zwykłego szlachcica hołopuca...

Urwał zdanie i znowu odwrócił się ode mnie.

Taka więc jest przyczyna, że przyzwoity Żyd wczoraj i dzisiaj nie nadskakiwał mi, jak to oni zwykle czynią, zwłaszcza właściciele zajazdów i tak zwanych powiatowych traktierni; a ja się głowiłem, co to ma znaczyć, że gospodarz przyjął mnie tak obojętnie, iż nawet nie uważał za stosowne poczęstować mnie herbatą, a sekret oto

w czym się kryje. Ciekawa rzecz jednakże, za kogo on mnie wziął?

— Za kogóż on mnie wziął? Nie mówił ci? — spytałem Trochima.

— Powiedział ni to, ni owo i jeszcze dodał jakieś słowo po swojemu; nie zrozumiałem, ale na pewno coś paskudnego, bo powiedziawszy to słowo splunął.

— A, szelma! I jeszcze splunął! No, a ty, Trochimie, jak sądzisz, czy podobny jestem do pana chociaż z tyłu? — spytałem żartobliwie.

— Ani z tyłu, ani z przodu — odpalił bez namysłu i odwróciwszy się ode mnie, ciągnął dalej półgłosem: — Nie tylko pan, ale nawet porządny chłop na taką pogodę psa z chałupy nie wygoni, a on pojechał w gościnę — bardzo ważna sprawa! I jeszcze chce, żeby go Żydzi tytułowali panem. Już tam oni wiedzą, jak kogo nazwać.

Ostatnie słowo wymówił szeptem. Śmiałem się w duchu z irytacji rozzłoszczonego Trochima. Tymczasem za nami rozległ się pocztowy dzwonek. Obejrzałem się: jakieś pół wiorsty wlokła się po błocie trójka podobna do naszej.

— Chwała Bogu! — zawołał przeciągle Trochim i przeżegnał się.

— A co? — spytałem go.

— Wyjechaliśmy z błota — powiedział wesoło.

Dormeza rzeczywiście stała w błocie już tylko po piasty, a woły, dokonawszy swego bohaterskiego czynu, parami wyłaziły z błota na suchsze miejsce. Dzwonek, który, słyszeliśmy w oddali, rozebrzmiał tuż za moimi plecami. Znowu się obejrzałem i zamiast trójki koni z woźnicą zobaczyłem stojącą na wozie postać w czarnej burce i jakimś dziwnym kaszkiecie. Po chwili trójka, wóz i stojąca na nim postać — wszystko to znalazło się koło samych okien dormezy. Postać na chwilę pochyliła się do okna, jakby zapytując o zdrowie zakorkowanych

w ruchomym salonie piękności. Potem podniosła się i ochryplym głosem zaczęła krzyczeć na woźniców, żeby prędzej dawali konie. Zacząłem obserwować figurę w burce i kaszkiecie, Trochim zajmował się nie wiadomo czym, woźnica nabijał tytoniem swoją krótką fajeczkę, a konie, opuściwszy mordy do samej kałuży, nad czymś się zamyśliły.

— Dlaczego nie ruszasz? — odezwałem się do woźnicy.

— A ja myślałem — powiedział woźnica nie wyjmując fajki z ust — że my za nimi pojedziemy aż do stacji.

— Ach ty, Chochle! Kiepsko myślałeś. Rusz no konie żywiej! — rozkazałem i zostawiliśmy za sobą dormezę tudzież postać w burce.

Kiedy przejeżdżaliśmy koło dormezy, zajrzałem przez okno i przed oczyma mignęła mi niezwykle piękna kobieta główka, owinięta czymś czarnym. Serce mi zabiło jak młotem i już do samej stacji nic nie widziałem oprócz tej czarującej główki.

— Samowar jest? — spytałem dozorcę stacyjnego wyłaząc z wozu.

— Jest — odpowiedział.

— Jeżeli jest, to proszę go kazać nastawić — i zwracając się do Trochima, dodałem: — Nie ma innej rady, Trochimie, tylko trzeba rozpakować walizę, bo zginiemy bez herbaty.

— A czy żydowska nam nie zasmakowała? — przemówił ironicznie, wyjmując walizę z wozu.

Prawdę rzekłszy, herbata była tylko pozorem, a w gruncie rzeczy chodziło o czarodziejkę zamkniętą w ruchomym pałacu. Miałem nieprzemogłą chęć, by jeszcze chociaż okiem rzucić na tę cudną główkę. Obliczyłem, bodajże nieźle: kiedy im będą przepregali konie, muszą wejść do pokoju i wówczas... wszystko się może zdarzyć, kto wie, czy nie będę miał szczęścia zapropono-

wać jej szklanki herbaty. Jakież tam ceremonie w drodze? Gdy tak sobie wyobrażałem bieg wypadków, samowar zaczął już kipieć na stole, a Trochim wycierał czarny gliniany imbryk i zielonkawę, zwyczajne, knajpiane szklanki. „Ale jakże ją poczęstuję herbatą w takiej szklance? Wstyd i...” — coś jeszcze chciałem pomyśleć, kiedy otworzyły się drzwi i w pokoju zjawiła się postać w burce i dziwacznym kaszkiecie. Nie zdejmując kaszkietu, ochryplym basem spytała stojącego przed nią dozorca:

— Są konie?

— Są — odpowiedział grzecznie dozorca.

— Potrzeba mi osiem — wyrzekła postać.

— Znajdzie się i osiem — odpowiedział dozorca tym samym tonem.

Postać rzuciła na stół kartę podróżną i zauważywszy osobę trzecią, to jest mnie, uchyliła kaszkietu i kiwnęła głową. Odkłoniłem się w ten sam sposób, chociaż nie tak wyniośle, i zaproponowałem figurze szklankę herbaty na rozgrzewkę. Figura nie odmówiła, wyraziła tylko żal z tego powodu, że nawet w Kijowie nie można dostać porządnego araku. Nie oponowałem i rozmowa nasza na tym się skończyła. Figura nie dopiwszy szklanki herbaty, zniknęła za drzwiami. Ponieważ osobnik ten gra albo będzie grał nieostatnią rolę w naszej opowieści, nie zaszkodzi więc scharakteryzować go nieco dokładniej.

Dymisjonowany rotmistrz gwardii, obywatel ziemski Kurnatowski — tak opiewała karta podróżna, którą przeczytałem nie bez ciekawości. O szczegółach samej postaci pana dymisjonowanego rotmistrza gwardii nie mogę powiedzieć nic literalnie, dlatego że postać ta była ukryta pod burką. A twarz? Twarz dosyć pospolita, nic szczególnego nie wyrażająca, takie twarze można spotkać na targu końskim w Berdyczowie albo Połtawie

wśród remontierów ¹¹. Nos duży, dość nieforemny i dość czerwony, oczy też czerwone, wyłupiaste. Wargi grube, zwłaszcza dolna; wąsy duże, czerwonawoczarne; o włosach na głowie również nic literalnie powiedzieć nie mogę, ponieważ przez cały czas nie zdejmował swojego pomysłowego kaszkietu. Ot, i wszystko. Gdyby się wpatrzeć uważniej, może znalazłyby się takie czy inne szczegóły, ale ja nie zdążyłem się wpatrzeć, więc bardziej szczegółowe wykończenie portretu zostawiam do następnego seansu.

— Znowu pociągnęli wołami! — oznajmił Trochim wchodząc do pokoju.

— Każ dolać wody do samowaru i dorzucić węgla — rozkazałem mu i wyszedłem z pokoju.

„Doczekam się jej, żeby nie wiem co” — mówiłem sam do siebie, patrząc na nieskończenie długą groblę, po której cztery pary wołów ledwo ciągnęły znaną mi dormezę. Godzinę, jeśli nie więcej, czekałem na upragnioną dormezę. Wreszcie stanęła przed wrotami stacji pocztowej.

— Czy nie zechcą pańskie damy — odezwałem się nie nazbyt śmiało do dymisjonowanego rotmistrza gwardii — czy nie zechcą napić się po podróży gorącej herbaty?

Rotmistrz kiwnął głową i podszedł do okna karety. Po chwili olbrzymi lokaj rozłożył stopnie, odemknął drzwiczki i z ruchomego pałacu wysadził... jak myślicie państwo, kogo? Zamiast uroczej czarodziejki — babę jagę zakutaną w coś czarnego. „Ażebyć pękła!” — pomyślałem. Lokaj tymczasem złożył stopnie i delikatnie przytknął drzwiczki.

— A gdzież panna Helena? — spytał starą babę po polsku rotmistrz.

— Śpi — odparła starucha i poczłapała do pokoju, podtrzymywana przez olbrzymiego hajduka.

Rotmistrz zapalił kolosalne trabuko¹² i poszedł do kuchni popatrzeć, jakie mu zaprzęgają konie, a ja popatrzyłem smutnie na dormezę jak lis na winogrona i ze ściśniętym sercem udałem się, by poczęstować staruchę herbatą. Niepotrzebnie się fatygowałem — ona się już sama częstowała i kiedy wszedłem do pokoju, nawet nie spojrzała na mnie. Polecilem Trochimowi, żeby sobie nalał szklanekę herbaty i wziął się do pakowania walizki. Starucha wtedy spojrzała na mnie i odwróciła się, a ja wyszedłem z pokoju, jakby nie zauważywszy jej spojrzenia. Konie dla mnie były gotowe, więc kiedy Trochim zapakował walizkę, popatrzyłem jeszcze raz na oblepioną błotem dormezę, siadłem na wóz i odjechałem w niepłonnej nadziei, że zobaczę tajemniczą piękność na następnej stacji, to jest w Taraszczy.

Taraszcza — miasto! Nie rozumiem, dlaczego nadano taką szumną nazwę tej brudnej osadzie. Można z pewnością orzec, że nieboszczyk Gogol nawet przelotnie nie oglądał tego wyjątkowo brudnego miasta, w przeciwnym razie jego rodzinny Mirgorod wydałby mu się jeśli nie prawdziwym miastem, to przynajmniej bardzo ładną wsią. W Mirgorodzie nie ma monumentalnych dzieł Rastrellego¹³ ani bizantyjskiej architektury Thona¹⁴, jest wszelakoż murowana biała cerkiewka. Jej nieduża biała plama na tle ciemnej zieleni daje przyjemny efekt w zbyt jednostajnym krajobrazie. W Taraszczy nawet tego nie ma. Stoi sobie na wzgórku nad stęchłym błotem stara, ciemna, drewniana cerkiew, tak zwana „kozacka”, to znaczy zbudowana za czasów kozaczyzny. Trzy ośmiokątne stożkowate kopuły z pochylonymi czarnymi żelaznymi krzyżami, i nic więcej. I wszystko to takie niezgrabne, takie ordynarne, smutne, jak smutna jest historia niepohamowanych ludzi, którzy ją budowali. Z ledwością pod wieczór dowlekleśmy się do tego tak zwanego miasta. O dalszej podróży nie można

było nawet myśleć, o dormezie i śpiącej piękności również. Czyli że mogę śmiało dysponować jednym jedynym pokojem na stacji pocztowej. Tak też zrobiłem. Trochimowi zleciłem zająć się kolacją. Choć starał się gorliwie, jak mógł, kolacja nasza ograniczyła się do dwóch suszonych karasi, kawałka razowego chleba i kieliszka śmierdzącej wódki. Trochim był, jak się to mówi, w swoim żywiole i podkpiwał z „zakonnej wieczerzy” — tak nazwał naszą kolację. Kpił sobie właściwie nie z kolacji, lecz ze mnie: że niby tak przyjemnie podróżować w czasie takiej pięknej pogody! Sam byłem zły na to wszystko, ale milczałem i starałem się nie myśleć o pogodzie, tylko o czymś innym. To inne jednak jakoś nie przychodziło mi do głowy. Nagle — proszę sobie wyobrazić moją wściekłość — przypomniałem sobie, że zostawiliśmy „Przegląd Morski” w Białej Cerkwi. Pytam dozorca pocztowego, czy wśród woźniców nie znajdzie się ochotnik, który by pojechał wierzchem do Białej Cerkwi. Ochotnik znalazł się i wytłumaczyłem mu, o co chodzi. Zażądał ode mnie za tę przejażdżkę trzy ruble; nie targowałem się i dałem zadatek. Woźnica niezwłocznie wyruszył w drogę, a ja i Trochim, odmówiwszy pacierze, ułożyliśmy swoje zmęczone ciała w pozycji poziomej — on na ławce i ja też na ławce — ogrodzonej z trzech stron czymś w rodzaju poręczy, co ją czyniło podobną do czuchońskich sanek¹⁵.

IV

„Przegląd Morski” w rezultacie dość drogo mię kosztował, a to w nim tylko ciekawe, że ma związek z marynarzem; zresztą, nawet go dobrze jeszcze nie przejrzałem. Ale nie o to chodzi, czy jest ciekawy, czy nie, tylko o to, że zabrałem z sobą w ogóle dwie czy trzy książki i nawet nie wiem jakie. Trochim i o tej sprawie

zadecydował beze mnie. A muszę państwu zaznaczyć, że książki stanowią dla mnie chleb powszedni, tak mi są potrzebne, i te dwa tygodnie, które zamierzałem poświęcić moim krewniakom, bez jakichś czytanek mogą się wydać nieskończenie długie. Dlatego tak ceniłem „Przegląd Morski”. Miałem również i to na względzie, że mój krewniak, aczkolwiek nawet niezgorzej wykształcony, książki jednakże bał się jak dżumy, więc na jego bibliotekę nie było co liczyć. Nam, ludziom czytającym, dziwny i nienaturalny wydać się może człowiek egzystujący bez książek! A jeżeli się przypatrzymy uważniej temu dziwnemu człowiekowi, to wyda nam się całkiem naturalny. Krewniak mój, na przykład, zapoczątkował swoje wykształcenie w jakimś korpusie kadetów, a skończył w jakichś koszarach i obozie wojskowym. Kiedyż i gdzie miał się zżyć z książkami? Bagnet i książka — to najdziksza dysharmonia. Wynika z tego, że mój krewniak jest najzupełniej naturalnym człowiekiem, tym naturalniejszym, że nie udającym miłośnika lektury, jak to czynią inni podobni jemu, na przykład jego szanowna małżonka a moja piękna kuzynka, której cała biblioteka składa się z *Praktycznej gospodyni*, przepisanej przez jakiegoś niezbyt biegłego w piśmie praporszczyka ¹⁶. A jak zaczniesz rozprawiać o literaturze, to tylko słuchać. Inny, być może... ale co tu mówić o innych — sam z początku wyteżyłem słuch, dopiero później się połapałem. Zaznajomię was, moi cierpliwi czytelnicy, chociaż troszeczkę z moją piękną kuzynką (wprawdzie nie pierwszej młodości). Z takimi typami jak ona warto się czasami poznać. Ja osobiście poznałem się z nią, kiedy jeszcze była narzeczoną mojego krewniaka i, prawdę mówiąc, o mało się sam w niej po uszy nie zaszłapałem — przepraszam za wyrażenie, ale innego nie mogłem wymyślić. Była ona wtedy zachwycająco piękna, a wszak wiadomo, że jeżeli kobieta jest

taka piękna, to znaczy, iż jest i dobra, i mądra, i wykształcona, i obdarzona wieloma anielskimi, nie zaś ludzkimi zaletami. Tak już zawsze bywa. W rzeczywistości natomiast, im kobieta piękniejsza, tym bardziej jest podobna do ruszającej się, pięknej, ale bezdusznej lalki. Mówię to na podstawie własnego długoletniego doświadczenia. Piękne kobiety jedynie w powieściach są wcielonymi aniołami, a w istocie — automatami albo po prostu posągami z gipsu.

I kuzynka moja wonczas wydała mi się aniołem łagodności i wzorem dobrego wychowania. Nie umizgałem się do niej jawnie, gdyż to nie leży w mojej naturze, ale po kryjomu ubóstwiałem ją. Jest to znamieny rys charakteru antywojskowego. Wkrótce wyszła za mąż za mojego kuzyna i wyjechała z nim na wieś. Dwa lata niewidzenia jej znacznie ochłodziły moją nieśmiałą i utajoną miłość. Potem widywałem kuzynkę dość często, ale nie jako płomienny adorator, tylko po prostu jako stary znajomy, a przy tym kuzyn. Wtedy zacząłem się bliżej przyglądać mojemu dawnemu bóstwu. Jakoś zgadało się pewnego razu (było to na wsi) o poezji niemieckiej. Oprócz Goethego i Schillera kuzynka moja z zachwytem mówiła o Körnerze¹⁷. Ujęło mię to bardzo, więc po głupiemu wypisałem egzemplarz Körnera i posłałem na wieś. W rok czy więcej potem zdarzyło mi się zawitać do nich po drodze — i co? Mój Körner poniewiera się pod kanapą, nawet nie porozcinany. Skłoniło mnie to do zastanowienia się nad miłością mojej pięknej kuzynki do niemieckiej poezji. Po cóż się tedy tak niekłamane zachwycała owym Körnerem? Czyżby te okrzyki poprzez łzy były kłamstwem? Niestety, tak! Jak się następnie dowiedziałem, uwielbiała ona wszystko, co miało jakikolwiek związek z wojskiem, poczynając od skromnej wypustki noszonej przez tych, którzy mieli akademicki cenzus naukowy, kończąc na wspa-

niałym kawaleryjskim porporcu, a już o akselbantach nie ma co mówić; akselbanty były dla niej czymś godnym więcej niż ubóstwienia. Otóż, proszę popatrzeć, na czym polegał sekret: w berlińskim wydaniu utworów Körnera, które gdzieś widziała, znajduje się portret autora w mundurze wojskowym, mój zaś egzemplarz pochodził z innego wydania i nie był zaopatrzony w portret, więc go rzuciła pod kanapę. Ot i cała tajemnica. Kuzynka moja książek po prostu nie znosi i gdyby była jakąś margrabiną w czasach Gutenberga, to bez namysłu kazałaby znakomitego typografa spalić na stosie. To prawda. Natomiast ozłociłaby wynalazcę asów, królów, dam, waletów i tak dalej, słowem, wynalazcę kart — postawiłaby mu pomnik i modliłaby się do niego jak do bożka oświeciciela rodzaju ludzkiego. Z jakiego bajora wypływa i tak szeroko się rozlewa ta prostacka, bezecna namiętność w łagodnym, tkliwym sercu kobiety? Nad odpowiedzią nie trzeba sobie łamać głowy: z bajora bezczynności i z mułu pustki moralnej. Posiadania takich wrodzonych ohydnych skłonności nie mógłbym zarzucić nawet remontierowi. Mówi się u nas o pijaku, złodzieju i tym podobnych artystach, że biedaczek już się z tym urodził. Przenaiwne pojęcie! I gdyby spytać znakomitego frenologa Lavatera¹⁸, to i on z ręką na sercu powiedziałby: — Przenaiwne pojęcie! — Grać samemu w gierłusza, w nosa i tym podobne gry — to daje jeszcze jakieś zadowolenie, ma się rozumieć, nie bardzo estetyczne, ale bądź co bądź zadowolenie; no i przynajmniej nie dłużą się tak chwile próżniaczego żywota. Ale jakaż to moralna przyjemność przesiedzieć obok stołu do godziny trzeciej nad ranem i bezgłośnie liczyć wygrane i przegrane milczących karciaży? Całkiem nie rozumiem! A piękna kuzynka moja znajduje w tym przypatrywaniu się najwyższą rozkosz. Gotowa cały tydzień nie jeść, nie pić, byle tylko sie-

dzieć jak manekin i patrzeć, jak grają w gierłusza albo nawet w trzy karty! A jeżeli jej samej uda się zebrać partię do gierłusza, to zdolna jest jak Ilia Muromiec¹⁹ kamieniem przesiedzieć przy kartach miesiące i lata bez kawałka chleba i szklanki wody. Czyżby tak zgubnie oddziaływał na próżną piękność brak tłumu wielbicieli, jej jedyne go powszedniego pokarmu? Rzeczywiście, tak — przynajmniej innej przyczyny nie znam. Piękna kobieta w towarzystwie zajęta jest swoją pracą, to jest kokietowaniem mężczyzn, a w domu, przy tym jeszcze na wsi, co ma niby robić? Przecie nie będzie się różowała i pudrowała dla swojego męża-niedźwiedzia. Ale to wszystko nic! To wszystko jest tylko brzydkie, są jednak rzeczy naprawdę bolesne i smutne. W domu mojej pięknej kuzynki rośnie urocze dziecko, dziewczynka może czteroletnia czy coś w tym rodzaju, żywa, miła, istny cherubin, co przyfrunął z nieba. I ten cherubin, to prześliczne stworzenie znajduje się w rękach brudnej wiejskiej baby. A czuła mateńka sznuruje się i przypala papiloty, i o niczym nie chce wiedzieć. Pewnego razu przywiozłem dla Nataszy (tak ma na imię dziewczynka) elementarz oraz dziecinną książeczkę przyrodniczą z obrazkami. Trzeba było widzieć, z jakim niedzielnym zachwytem przyjęła moje podarunki i z jakim zaciekawieniem wypytywała swoją piękną mamę o treść każdego obrazka. Ale mama, niestety, albo zwracała się do mnie, albo po prostu odsyłała ją do niańki bawić się lalkami. Smutno mi się zrobiło i dość bezpośrednio poruszyłem w rozmowie temat obowiązków matki względem dziecka. Kuzynka początkowo słuchała mnie, ale kiedy chciałem pogłębić owo zagadnienie i zacząłem żywo a obrazowo malować przed nią święte obowiązki matki, zaśpiewała półgłosem:

Nie szuj mi, mateńko, czerwonej bluzeczki...

„Można jej nawet ciosać kołki na głowie” — pomyślałem i o mało nie zdobyłem się na dość nieprzyzwoity odruch, to jest miałem chęć splunąć i wyjść, jednakże powstrzymałem się i tylko zapaliłem cygaro, a potem wyszedłem do drugiego pokoju.

Po co one rodzą dzieci, te amfibie, te bezduszne automaty? W jakim celu wychodzą za mąż te martwe piękności? Żeby zrobić karierę, jak się wyraża moja kuzynka. A dzieci — to nieuchronny skutek zrobienia kariery i więcej nic. Biedne, bezduszne matki! Swoją obowiązek, swoją najświętszą powinność przekazujecie najemnej guwernantce albo, co gorsza, niepiśmiennej wiejskiej babie. I czy dziwota po tym wszystkim, że rasa ładniutkich lalek u nas nie ginie? A czy przyjdzie kiedy koniec tej rasy? Wątpliwa rzecz — bo strasznie jest ona żywotna i mocno się trzyma naszego tłustego, zapleśniałego gruntu.

Czy nie czas wszakże zostawić w spokoju mą ciemnowłosą piękną krewniaczkę i przejść do bardziej przyjemnych tematów?

Nazajutrz rano zjawił się przede mną woźnica z książkami. Dopłaciłem mu resztę należności i spytałem go, czy nie widział po drodze berlinki.

— Nocuje pośrodku hrebli²⁰ w Koszowatej — odpowiedział i wyszedł.

„Więc nie zobaczę jej więcej” — pomyślałem i kazałem staroście zaprzęgać konie.

Po kilku minutach konie były gotowe, książki schowane do walizy i, zmówiwszy modlitwę, szczęśliwie ruszyliśmy w drogę.

Dziwny jednak człowiek z tego autora — pomyśli sobie życzliwy czytelnik. — Wymyśla na czym świat stoi na swą kuzynkę, a sam do niej jedzie z wizytą. Coś tu jest nie w porządku. — W najzupełniejszym porządku — odpowiadam życzliwemu czytelnikowi — tak we-

dług mnie powinno być: chleb jedz, wódkę trąb, a prawdę w oczy rąb — jak powiada przysłowie i to przysłowie jest całkiem do rzeczy. Gdybyśmy wszyscy, nie tylko autorzy, lecz w ogóle ludzie uczciwi, nie oglądali się ani na pokrewieństwo, ani na protekcję i wskazywali wprost, odważnie, na błazna-krewniaka i grabieżcę-protektora, to te kreatury przynajmniej we dnie by nie grały i nie błaznowały. — Ależ to jest niemożliwe — powiedzą uczciwi ludzie w ogóle, autorzy zaś w szczególności. — Co nas obchodzi jego majątek, jego pieniądze i pochodzenie tychże. Prowadzi się nienaganie, pod każdym względem nienaganie, a przy tym proteguje... nawet artystów-malarzy. Czegoż więcej trzeba? A kuzyn?... Bóg z nim, jeśli to porządny człowiek, niech sobie błaznuje na zdrowie, nie nasza to sprawa. Jeżeli to jest w dodatku człowiek bogaty, wtedy co innego, wtedy mu się wybacza nawet pewne niegodziwości, nawet czasami dość znaczne niegodziwości — przecie to nie taki znowu wielki grzech. A tymczasem, jeśli się już nie liczy na coś większego, to przynajmniej można niekiedy zjeść porządny obiadek. Otóż to właśnie, że wszyscy mniej lub więcej chodzą w lisiej skórze.

Wszystko to prawda, wszystko to jest naturalne — powie życzliwy czytelnik. — Ale jakże można jechać z wizytą przeszło dwieście wiorst do ludzi, którzy się nie podobają? No, a jeśli oni jakoś zdołają przeczytać ten zjadliwy paszkwil, tę gorzką prawdę — co wtedy? Każdy ma swój gust: po pierwsze, jadę gwoli pięknego wiosennego sielskiego pejzażu, a nie dla karykaturalnych figur na pierwszym planie tego pięknego pejzażu. A co się tyczy drugiej uwagi, jestem zupełnie spokojny: gdybym nawet zadedykował ten niewymyślny utwór mojej miłej kuzynce i nawet podarował jej egzemplarz w kosztownej safianowej oprawie, to jestem przekonany, że nawet wtedy raczej zużyłaby go na papi-

loty, niż zadała sobie trud, aby przeczytać ten nieskomplikowany opis własnej swojej osoby. Ona... a Bóg z nią! Obnoszę się ze swoją piękną kuzynką jak dureń z malowaną torbą. Wprawdzie jest ona niezwykle ciekawym, chociaż nie powiem — rzadkim, typem, który godzien zająć uwagę pilnego obserwatora; ale... trzeba we wszystkim umieć zachować miarę.

Dopiero na wieczór dowlekliśmy się do Baranpola. Droga właściwie niewielka, ale błotnista, a przy tym miejscowość pagórkowata. W czasie tego nad podziw długiego przejazdu zajmowałem się swoim bohaterem, to jest marynarzem, i od czasu do czasu mimo woli usiłowałem odgadnąć, kim była mieszkanka ruchomego pałacu albo też rydwanu. Czy to żona wąsatego rotmistrza, czy daleka kuzynka, czy po prostu piękność wynajęta zwyczajem kawaleryjskim — trudno było rozstrzygnąć, starałem się więc o niej zapomnieć. Ale ona niczym diablę kręciła się w mojej wyobraźni i przerywała harmonijny tok mojego wymarzonego poematu.

Trochim radził zanocować w Baranpolu i zjeść chociażby kawałek chleba: rzeczywiście, nic nie jedliśmy przez cały dzień. Spytałem dozorcę, czy nie ma czegoś do zjedzenia. Okazało się, że przekąski żadnej nie było.

— Dlatego — objaśnił dozorca — że teraz jest Wielki Tydzień.

„Też mi powód” — pomyślałem i kazałem nastawić samowar, ale samowara nie było.

— Niechże nam pan da chociaż chleba i wody — powiedziałem obojętnie dozorcę.

Ten, nie mówiąc nic, otworzył coś w rodzaju szafeczki wiszącej na ścianie i wyjął stamtąd coś w rodzaju pieroga. Był to czerstwy knysz²¹ na oleju. Trochim nie bez trudu odłamał kawałek knysza, zmarszczył brwi i zaczął jeść, proponując mi resztę, ale nie skorzystałem z tej propozycji. Głód mi, nie wiem dlaczego, nie doku-

czał. Pozostawiwszy knysza Trochimowi, poleciłem, wbrew niemu — na co sobie rzadko pozwalałem — zapręgać konie. Trochim nie zdążył przełknąć pierwszego kawałka, kiedy konie stały już gotowe do drogi. Popatrzył na mnie z oburzeniem, schował knysza za pazuchę, leniwie wdrapał się na wóz i ruszyliśmy dalej.

Wkrótce zapadła noc — spokojna, ciepła i ciemna. Zadziwiająca noc! Czerwonawe gwiazdy wydawały się większe niż zazwyczaj i jakoś szczególnie pięknie błyszcząły na ciemnym tle. Czarująca noc! Takie czarujące noce poprzedzone są zwykle przez długotrwałe wiosenny deszcz, a nie jest to w Małorosji rzadkie zjawisko. Szkoda, że nie było księżycy. A lubię go, kiedy jest pełny, okrągły, rumiany, przecięty długimi złotymi chmurkami i kiedy wśród jakiejś powabnej mgiełki unosi się nad z lekka pociemniałym widnokregiem. Jakkolwiek piękna, jakkolwiek urocza noc księżycowa w naturze jest, na obrazie artysty, na przykład Calame'a ²², jeszcze piękniejsza i powabniejsza. Wielka sztuka (jak sądzę) mocniej działa na duszę człowieka, mocniej niżli sama przyroda. Jakaż zagadkowa, boska tajemnica ukryta jest w tym dziele ręki człowieka, w tej boskiej sztuce? Twórczością nazywa się ta wielka, boska tajemnica i... godny pozazdroszczenia jest los wielkiego poety, wielkiego artysty-malarza. Są oni braćmi naszymi z ciała, ale otrzymując natchnienie z góry, upodabniają się do aniołów bożych, upodabniają się do Boga, i do nich tylko odnoszą się słowa proroka, ich tylko stworzył Bóg na obraz i podobieństwo swoje, a my wszyscy — jesteśmy pospolitym tłumem i niczym więcej.

Domyślny poczciarz czy też woźnica zamiast rosyjskiego wozu, w którym nawet najbardziej zuchwały feldjeger ²³ nie odważy się zdrzemnąć, założył nam bryczkę, podobną do nejtyczanki, długą i szeroką, a w dodatku napchał ją sianem. Trochimowi tak się to po-

dobą, że nie dokończywszy jeść swego knysza, zasnął, z kawałkiem w rękę, snem pierwszej młodości i niewinności. Wkrótce potem i ja, grzeszny, poszedłem za jego mądrym przykładem.

V

Jakeśmy przejechali tę stację — oprócz woźnicy i koni żaden z nas nie wie. Ocknąłem się o świcie koło samej caryny, czyli wygonu miasteczka Łysianki, a Trochima obudziłem już przed drzwiami stacji pocztowej. Ponieważ cel mojej podróży znajdował się bardzo niedaleko — nie biorąc, ma się rozumieć, w rachubę błota i półwiorstowej grobli — doszedłem więc do wniosku, że lepiej będzie trochę odpocząć w Łysiance i potem dopiero ruszyć w dalszą drogę. Do Budziszcz, to jest do rezydencji mojego krewniaka, zostawały jeszcze nie więcej niż dwie wiorsty. Dużo trzeba czasu na ich przejechanie? Godzinę, najwyżej dwie — tak obliczałem. Ponieważ jednak wątpię co do wielu rzeczy, to zważyłem również w to obliczenie i żeby mieć dokładniejszy obraz sytuacji, spytałem Trochima, co on na to powie. A on po namyśle orzekł, że jeżeli wyjedziemy zaraz, to przyjedziemy do Budziszcz nie wcześniej niż w południe.

— Jedna grobla ile zabierze czasu! — dodał.

Zgodziłem się z jego wnikliwą uwagą i poprosiłem dozorcę, żeby dał mi konie na polną drogę, to jest w bok od traktu pocztowego. Chętnie się zgodził — ma się rozumieć, za podwójną opłatą, licząc przy tym nie za dwie wiorsty, jak myślałem, lecz za dwadzieścia z czymś — do następnej stacji Zwienigródki. Nie tylko mnie, ale nawet Trochima zapewnił, że mu to wszystko jedno. Nie było innej rady, musiałem się zgodzić. W praktyce okazało się, że Trochim miał rację mówiąc, iż wcześniej

niż w południe nie będziemy w Budziszczach; i dozorca też miał rację licząc półwiorstową groblę za dwadzieścia wiorst.

Napiliśmy się herbaty, podjedliśmy sobie, chociaż nie zanadto, i ruszyliśmy w drogę. Przy wylocie z Łysianki z całą ostrożnością wjechaliśmy na groblę i ugrzęźliśmy co się zowie po same uszy w błocie. Tu po raz pierwszy musieliśmy wprowadzić do akcji woły. Był to finał i tak już długiego a monotonnego spektaklu. Wygramoliłem się jakoś z wozu na stojącą w pobliżu rozłożystą wierzbę, potem zląłem na ziemię i boczkiem, skacząc przez kałuże, przedostałem się przez groblę i po małym odpoczynku podszedłem pod górę, gdzie obok pomnika na żydowskim cmentarzu rozłożyłem się na dłuższy odpoczynek. Łysianka leżała przede mną jak na dłoni. Wszystkie chałupki żydowskie można było przeliczyć, a chrześcijańskich nie, gdyż ukryte są w gęstwinie ciemnych, jeszcze obnażonych sadów. Długo szukałem oczami w tym lesie gruszy i jabłoni dawno i dobrze znanego mi domku ojca diakona Jefrema, który mi niegdyś udzielał pierwszej nauki nie rysunków, lecz po prostu malarstwa. Ojciec Jefrem, żeby sprawdzić, czy mam zdolności do tej trudnej sztuki, kazał mi na arkuszu blachy rozcierać jakąś czarnoburą farbę. Nie wytrzymałem próby i nazajutrz dałem drapaką od ojca diakona. Wielu rzeczy doświadczyłem później, po tej pierwszej lekcji, ale nic mi się tak nie wbiło w pamięć jak ta pierwsza próba. Przejdźmy jednak lepiej do innego tematu, zanim woły wyciągną z błota bryczkę z Trochimem.

Miasteczko Łysianka ma duże znaczenie w historii Małorosji. Jest to rodzinne miasto ojca znamienitego Zenobiusza Bohdana Chmielnickiego, Mychajły Chmila. Słynne jest również (jeśli wierzyć miejscowym starcom) ze swoich niesporów, które nie gorzej niż sycylijskie ²⁴

odprawił tutaj Lachom Maksym Żeleźniak²⁵ w 1768 roku. Ba, jeżeli uważać wszystkie podobne wydarzenia, niegodne pamięci ludzkiej, za słynne, to nie tylko jakaś tam Łysianka, ale każda wieś, każda piędź ziemi będzie słynna w Małorosji, zwłaszcza po prawej stronie Dniepru. Już bo pod tym względem moi nieżyjący rodacy wcale nie ustępowali żadnemu narodowi europejskiemu, a w 1768 roku zakasowali noc św. Bartłomieja i nawet pierwszą rewolucję francuską. Jedno ich wszakże różniło od Europejczyków: u nich wszystkie te krwawe tragedie były dziełem całego narodu i nigdy się nie rozgrywały z woli jednej jakiejś zbrodniczej jednostki w rodzaju Katarzyny Medici, co nierzadko praktykowali u siebie zachodni liberałowie.

Wreszcie śmieszna i nudna operacja wyciągania wozu została zakończona. Podziękowałem półrublową monetą ponuremu chłopu, a upaćkanego błotem chłopca, jego gorliwego pomocnika, obdarowałem miedziakiem i szczęśliwie zasiadłszy na bryczce, ciągnąłem dalej ostatni akt monotonnej komedii, czyli ostatnie wiorsty mojej bezsensownej przejażdżki.

Trochim mój, chociaż nie jest wróżbiarzem, przepowiada przyszłość nie gorzej niżli pierwszy lepszy wróżbiarz. Dopiero w porze obiadowej bryczka nasza zatrzymała się przed domem mojego gościnnego krewniaka. Powitał mnie na ganku z serwetką w rękach, a kuzynka w jadalni z zatroskaną twarzą i umączonym nosem. Znaczyło to, że baby w piecu jeszcze się nie podniosły do określonej wysokości — ten ważny proces jeszcze się nie odbył do końca i swoją dręczącą niepewnością rozstrajał ambitną gospodynię. Tak się tylko domyślałem i, ma się rozumieć, nie bez podstaw. Wielki Tydzień już właśnie upływał, a przecie wiadomo, czym w te dni pudrują się i różują pilne uczennice profesorskiej Awdiejewej.

Podobnie do Czackiego²⁶, który, jak się wyraził nieśmiertelny poeta, trafił z okrętu na bal, i ja też z bryczki trafiłem prosto do stołu, a przy tym nieomal że w nieprzemakalnym płaszczu i w kaloszach.

Pani domu dwa razy, przepraszając, wstawiała od stołu i dokądś na minutę wychodziła, i znowu powracała w głębokim milczeniu. Za trzecim razem zostawiła nas przy stole nie przeprosiwszy, była nieobecna minutę dłużej niż za pierwszym i za drugim razem, a powróciła z rozpromienioną twarzą i umyтым nosem. A więc doniosły proces chemiczny dokonał się ku pożytkowi całego domu. Chwałaż Bogu! Teraz dopiero posypały się pytania i wypytywania o Kijów, o krewnych, o przyjaciół i przyjaciółki, wreszcie o zakonników. Odpowiadałem, jak mogłem — interesowała mnie dźwignia, która uniosła moją kuzynkę na wyżyny takiej niezwykłej działalności. Dźwignię tę stanowiła małostkowa próżność: zachciało się jej, co się zowie, popisać swoimi babami wobec niewykształconych prowincjuszek — tak zwykle nazywała swoje sąsiadki. Pod koniec obiadu trochę się rozkrochmałem, przekazałem z najzupełniejszą dokładnością głębokie ukłony dla moich krewniaków; zakomunikowałem im wszystkie najświeższe miejskie ploteczki i na zakończenie opowiedziałem o dormezie wraz z zamkniętą w niej pięknnością; o moim spotkaniu z rotmistrzem Kurnatowskim, a wreszcie o starej duenii²⁷, która tak niegrzecznie rozporządziła się moją herbata.

— Więc on dopiero teraz wraca z kontraktów? — zawołała gospodyni. A gospodarz tym samym tonem dodał:

— To właściciel majątku, nasz dobry sąsiad.

— I pod każdym względem wspaniały człowiek! Szkoda tylko, że tak prędko opuścił służbę, a z takim bogactwem, jakie on ma, można by daleko zajść. Praw-

dziwy kawalerzysta! — dodała gospodyni z pewnym afektem.

— A któż to jest ta młoda piękność, która z nim podróżuje? — spytałem zwracając się do niej.

Wyraźnie ją zmieszalo moje pytanie. Zawahała się, zaczerwieniła, szybko wstała od stołu i pobiegła do piekarni. Popatrzyłem za oddalającą się gospodynią i zamierzałem zwrócić się z takim samym pytaniem do gospodarza. Ale, niestety! Krewniak mój prawie spał z nie dopitą szklanką śliwowicy w ręku. Postny obiad zrobił swoje. Gospodarz spojrział na mnie bezmyślnie, w milczeniu wstaliśmy od stołu, uścisnęliśmy sobie nawzajem ręce i rozstaliśmy się wyrzekłszy „do widzenia”. Co jednak było w tym moim zapytaniu o podróżującą piękność, zapytaniu, które moją niezbyt lubiącą się żenować kuzynkę tak dalece zażenowało? Kryje się w tym coś ciekawego, ale co mianowicie, to wie tylko jeden Allah i z pewnością moja kuzynka. A skoro ona wie, to niewątpliwie muszą wiedzieć wszyscy oprócz mnie; postaram się jednakże otworzyć tę tajemniczą szkatułkę. Ale w jakim celu? Zastanawiając się nad tą poważną kwestią, usnąłem na przygotowanym dla mnie łóżku w tak zwanej oficynie, w mieszkaniu nr 1.

Mieszkanie owo składało się z jednego niedużego pokoju o wąskim, jakby gotyckim oknie. „Gdzież ja zmieszczę mojego Trochima?” — było to pierwsze pytanie, które sobie zadałem, kiedy się obudziłem i obejrzałem swój tymczasowy przytułek. W tej komórce niepodobna: ciasno tu nawet jednemu, a Trochim, jak prawdziwy Chochoł, lubi swobodę, potrzebuje dużo miejsca. Gdzież tedy mam go umieścić? Zostawić go na pastwę losu nie mogę. Bo jeżeli znajdzie się wśród leniwej i zepsutej czeladzi, to po upływie tygodnia nie poznam swojego Trochima. Nie, do tego nie wolno mi dopuścić, byłoby to nawet grzechem. Nie wiem, jak tam się okaże

w przyszłości, ale obecnie Trochim jest czysty i nieposzlakowany jak nowo narodzone dziecko i ze względu na swój naiwnie-oryginalny charakter nie może być zaliczony do kategorii lokajów, a tym bardziej pańszczyźnianych lokajów.

Chciaż on, to jest Trochim, nie znajduje się na pierwszym planie malowanego przeze mnie obrazu, jednakże postać jego z uwagi na swoją oryginalność wymaga dokładniejszego rysunku, tym bardziej iż dałem słowo czytelnikowi przedstawić tę postać z pewnymi szczegółami. A słowo dla mnie jest prawem obowiązującym i zamierzam teraz załatwić dwie rzeczy za jednym zamachem: wypełnić lukę dzisiejszego dnia, czyli dnia mojego przybycia do kuzynów.

Pochodzenie Trochima nie pozwala zaliczać go do wyższych sfer społecznych. Jest on po prostu synem kijowskiego mieszczucha i kiedy wziąłem go do siebie na dżokeja, to przeważnie leżał na kufrze w przedpokoj, aczkolwiek nie spał, tylko z głębokim zastanowieniem patrzył w sufit. Żeby odmienić rodzaj jego zajęcia i uchronić go od szkorbutu, zacząłem go uczyć czytać po rosyjsku. Leniwy chłopak wbrew oczekiwaniu okazał się pilny i nadzwyczaj pojętny. Po upływie miesiąca umiał już czytać drukowane świeckie książki nie gorzej od swojego nauczyciela, czyli ode mnie. Nauczywszy Trochima czytania, uspokoiłem się względem szkorbutu oraz jego zastoju umysłowego. Minęło trochę czasu i widzę, że mój Trochim znowu się wpatruje w sufit, jakby zupełnym był analfabeta.

— Dlaczegoż nie weźmiesz jakiej książki i nie przeczytasz? — powiedziałem mu pewnego razu.

— Nie chcę czytać pańskich książek — odparł wstając z kufra. — Wszystkie są takie grube, że za rok się ich nie skończy, i niezrozumiałe — dodał.

„Może ma i rację” — pomyślałem i dla wypróbowa-

nia jego gustu i rozumienia dałem mu pół rubla, żeby poszedł do księgarni Dołżykowa i kupił sobie książkę, jaka mu się spodoba. Poszedł mój Trochim i zginął. Musiałem wyjść z domu i nie miałem przy kim zostawić mieszkania. Gniewałem się, ale to nie pomogło. Wrócił dopiero o zmierzchu. Wbrew zwyczajowi spytałem go ze złością, gdzie tak przepadał przez cały dzień.

— Byłem tylko na Padole — odpowiedział jakby nigdy nic. — Wciąż tam ludzie mówili o wojnie, więc słuchałem — dodał wyjmując z kieszeni książki.

W tym czasie wojska nasze oblegały Sylistrię²⁸. Zwykła ciekawość pobudziła mnie do zapytania Trochima, co słyszał na temat wojny.

— Nic nie słyszałem, bo daleko stałem. — I podając mi książki dodał: — Niech pan popatrzy, co sobie kupiłem.

O mało się nie roześmiałem na jego odpowiedź. Książki wywarły na mnie takie samo wrażenie. Jedna z nich to jakaś fizyka z czasów Katarzyny II z rysunkami, a druga, na grubym niebieskim papierze — korespondencja tejże Katarzyny II z Wolterem. „Zginęły moje pieniądze i moja praca” — pomyślałem, a zwracając książki spytałem go, po co nakupił sobie tego świństwa. Moje pytanie zakłopotало go, ale natychmiast odzyskał rezon.

— To nie świństwo — powiedział rozkładając korespondencję mędrca z Fernay. — Niech pan tylko pomaça papier, zupełnie jak łubek. Takiej grubej książki starczy nie tylko dla mnie, ale i dla moich dzieci i wnuków.

— Dobrze — odparłem. — A drugą książkę komu po sobie zostawisz? — spytałem.

— To nic, że w niej kartki są trochę cieńsze, ale za to jest z kunsztami.

I po chwili zwrócił się do mnie z pytaniem:

— A czy pan będzie mi objaśniał, co znaczą te kunszty?

— Lepiej zamów jutro u stolarza lipową tablicę, rozpuść w czymkolwiek kredy i bierz się do pisania; jak się nauczysz pisać, wtedy ci objaśnię, co znaczą te obrazki — oświadczyłem mu i kazałem nastawić samowar.

Nazajutrz Trochim wziął się do kaligrafii i tak samo szybko opanował arkana tej umiejętności plastycznej, jak i tajniki alfabetu. Zabazgrawszy dwie libry papieru, zaczął notować dość ładnie i wyraźnie drobne wydatki oraz przepisywać pieśni z moskiewskiego śpiewnika, który dostał mu się w spadku po ojcu i leżał dotychczas w kufrze bez żadnego użytku.

Musiałem odbyć podróż do Kamieńca Podolskiego, wziąłem więc z sobą i Trochima. Ażeby zająć go czymś w drodze, dałem mu czysty zeszyt i poleciłem zapisywać wszystko, co się zdarzy w czasie jazdy, poczynając od nazwy stacji pocztowych, wsi, miast i rzek. Byłem zadowolony ze swojego pomysłu. Ale któż może przeniknąć widzącym okiem nieprzeniknioną mgłę przyszłości? — z westchnieniem musiałem sobie później powiedzieć.

Wróciwszy z podróży, jako porządny gospodarz, kazałem Trochimowi pokazać mi rzeczy, które były brane w drogę. Niestety, waliza była do połowy opróżniona.

— A gdzie się podziały takie a takie rzeczy? — spytałem Trochima.

— A Pan Bóg raczy wiedzieć — odrzekł spokojnie.

— Ładny z ciebie służący. A ja ci jeszcze jak komu dobremu kupiłem sławutkę²⁹. Gdzieś ty miał oczy w drodze? — dodałem rozgniewany.

— Miałem oczy na to, co trzeba było zapisywać do

zeszytu. Sam pan przecie kazał — powiedział tonem wyrzutu.

Musiałem mu przyznać rację, wina była wyłącznie po mojej stronie. Kazać lokajowi prowadzić dziennik podróży! Głupie, oryginalnie głupie!

— Pokaż no swój zeszyt, popatrzę, co tam zapisywałeś!

Wyjął z kieszeni zagryzmołony zeszyt i z widocznym zadowoleniem z samego siebie podał mi swoje dzieło. Rękopis zaczynał się tak:

„Rano o świcie wyjechaliśmy z Kijowa i na dziesiątej wiorście zatrzymaliśmy się przed powiatową karczmą, wzięliśmy u garbatego karczmarza kieliszek cytrynowki, kawałek obarzanek i pojechaliśmy dalej.

Tego samego dnia i godziny, stacja Wita. Póki zaprzęgano konie, siedziałem na kufrze, a oni (to znaczy ja) siedzieli na szynkwasio, pili śliwownicę i żartowali z kędzierzawą Żydówką.”

— Za bardzo się wdajesz w drobiazgi — powiedziałem mu oddając zeszyt. — Schowaj go, przeczytam resztę innym razem. — I podrapawszy się w głowę, poszedłem do krawca i zamówiłem nowe ubranie, bo stare zgubiło się gdzieś w drodze. Od tego czasu nie zmuszam Trochima do prowadzenia notatek podróży.

Porządny oryginał z mojego Trochima, ale co mi się w nim szczególnie podoba, to absolutny brak lokajskich zdolności.

VI

Postny obiad, a zwłaszcza postny barszcz, jakiego chyba nie jadł nawet największy znawca i twórca barszczów, hetman Skoropadzki, tak na mnie podziałał, że obudziwszy się po tym postnym obiedzie, że dwie godziny przynajmniej leżałem, jak się to mówi, plackiem.

Sam Lukullus nie dokonałby większych czynów przy stole. Teraz nie chce mi się nawet palcem ruszyć; czuję, że zaczyna się ściemniać w pokoju — a nie mam chęci spojrzeć w okno, taki jestem rozleniwiony. Tego rodzaju przypadek może się zdarzyć tylko na wsi, i to po postnym obiedzie. Próbowałem myśleć o moim marynarzu — ale gdzie tam, nawet bzdury do głowy nie przychodzą. Po prostu odrętwiałem moralnie i fizycznie. Przyszedł Trochim, powstał przy drzwiach, popatrzyliśmy na siebie z pięć minut i na tym się skończyło nasze spotkanie. Chciałem się z nim naradzić co do pomieszczenia, ale stanowczo nie mogłem. Co by pomyślał uczciwy, akuratywny albo raczej wstrzemięzliwy Niemiec, gdyby przeczytał niniejszą prostoduszną przypowieść? Pomyślałby, że jestem barbarzyńcą. Ale niechby Niemcy mieli taki postny barszcz jak my, prawosławni, to i nasz wstrzemięzliwy Niemiec nie miałby sił o niczym myśleć, tylko uznałby to wszystko za rzecz zupełnie naturalną.

W pokoju ledwo już można było rozróżniać przedmioty, a ja wciąż jeszcze znajdowałem się pod wpływem wielkopostnego obiadu i byłem, jak powiedział w dawnych czasach pewien rabulista³⁰ — niemy gdyby ryba i nieruchomy gdyby kłoda. Cóż mię wszakże wyprowadziło z tego półistnienia? Nikt nie zgadnie, nawet sam wróżbiarz. Za ścianą, w drugim numerze, zagrział młody kobiecy głos. Drgnąłem jakby ze strachu. Opanowawszy się, przyłożyłem ucho do ściany albo, ściślej mówiąc, do przepierzenia i ledwo zacząłem się wsłuchiwać w czarowne dźwięki, kiedy wszedł do pokoju obdarty, umorusany kozaczek i oznajmił, że pani domu prosi na herbatę. Nie zdążyłem mu odpowiedzieć: „Przyjdę”, kiedy zjawił się Trochim z latarnią w rękach. To mię już ostatecznie postawiło na nogi.

— Wie pan, kto przyjechał do nas w gościnę? — spytał mnie Trochim, stawiając latarnię na stole.

— Nie wiem — odrzekłem starając się pokazać obojętność.

— Berlinka, którą zostawiliśmy na drodze — powiedział po prostu, a nie tajemniczo, jakby wypadło.

— Nie może być! Mylisz się — rzekłem ubierając się pośpiesznie. Trochim w milczeniu spojrzął na mnie, jakby mówiąc: „Czy ja się mogę mylić?”

Ubrałem się staranniej niż zwykle i wyszedłem na podwórze. Pośrodku podwórza ciemniało coś w rodzaju pojazdu; podszedłem bliżej — rzeczywiście, była to znana mi już dormeza. Nie wierząc własnym oczom, pomacałem resor, powalałem sobie błotem rękę i powoli, w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego, wróciłem do domu.

Otwierając drzwi usłyszałem znajomy ochryply bas, a potem taki sam śmiech rotmistrza Kurnatowskiego. Nieśmiało wkroczyłem do salonu i zatrzymałem się zdumiony: przy stole z herbatą siedziała sama gospodyni i nikogo więcej z płci pięknej tam nie było. Ukłoniłem się pani domu, przywitałem się z rotmistrem jak ze starym znajomym i mimo woli zajrzałem do drugiego pokoju; gospodyni to zauważyła, trochę się nachmurzyła i zaproponowała mi krzesło. Jak uczeń, który coś zawinił i uzyskał przebaczenie, usiadłem ostrożnie na krzesło i siedziałem cały czas w milczeniu. Gospodyni zwracała się z niesłychaną uprzejmością do rotmistrza i całkiem nie po światowemu pozwalała sobie na kpinki z mojego zamyślenia. Nie spodobało mi się to, więc również nie po światowemu wziąłem szklanekę herbaty i wyszedłem do drugiego pokoju. Znalazłem tutaj gospodarza, który jeszcze niezupełnie zbudził się ze snu, a już łykał postne suchary z herbatą. Nie tylko wstrzemięźliwy Niemiec, ale nawet rudy John Bull

zbaraniałby ujrzawszy, jak mój dopiero co przebudzony krewniak łapczywie pochłaniał suchary z herbatą po takim homeryckim obiedzie, jakiśmy razem spałaszowali. Na mnie jednakże to osobliwe zjawisko nie wywarło należytego wrażenia. Tonąłem w rozważaniach nad tym, gdzie się podziąła niedosięta piękność. Zagadką, tajemniczym sfinksem była dla mnie ta mieszkanka ruchomego pałacu! A może ona i teraz śpi jak zaczarowana w swojej komnacie na kółkach? Gdzież jest jej stara kompanionka? Znowu sfinks! Lecz jeśli tego nie zdołamy poznać, to zarówno czytelnik, jak i ja niewiele stracimy. A pierwszego musimy zdemaskować. Przypomniałem sobie cienki kobiecy głosik, który słyszałem za ścianą, i pomyślałem, grzeszny człowiek, że przydałaby się teraz dziurka od klucza. Precz, niegodna myśli! Jestem porządnym człowiekiem, z nader porządną łysiną, a nie jakimś huzarem czy donżuanem. No i cóż, że to piękność? Moja kuzynka też jest piękną, a diabeł w niej siedzi. Na pewno teraz mizdrzy się przed lustrem — a kiedy się sobą nalubuje, wystroi, to przyjdzie do nas, a nie my do niej.

I herbatę już uprzątnięto ze stołu, i gospodyni wyszła już do ciemnej jadalni ze swoim drogim gościem, a piękność moja nie zjawiła się. Pewnie doszła do wniosku, że się niekorzystnie prezentuje po podróży i udała chorą. Jutro wszystko się wyjaśni. Chciałem już iść do swojej celi, ale uznałem to za niezbyt grzeczne i zostałem.

Pani domu głośno się śmiała ze swoim drogim kawalerzystą w ciemnej jadalni i mówiła o jakiejś madame Prechtel, która, wedle jej słów, cała zzielenieje z zazdrości, kiedy zobaczy jej genialne baby.

— A dobrze ci tak, nie bądź taka skromna, nie rób sekretów — powiedziała znizywszy swój głosik, ale tylko na tyle, że z trzeciego pokoju mogłem słyszeć każ-

dziutkie jej słowo. — Posłałam jej dziś w prezencie żywego baranka. Grzeczność, nic więcej. I kazałam swojej posłanniczce, żeby przy okazji rzuciła okiem na jej wyroby — mam na myśli babki. Wszak to jest Polka, a Polki, pan wie, są genialne w tym zakresie. Chciałam mieć choć przybliżone pojęcie o skali jej kunsztu. No i niech pan sobie wyobrazi uprzejmość pani Prechtel! Nie wpuściła mojej kobiety nawet na podwórze, przyjęła ją za wrotami i tam odebrała od niej mój prezent — prawdziwie światowa kobieta!

— Sama wyszła? Za wrota? Po takim błocie? — spytał wolno, zdumionym tonem rotmistrz i roześmiał się na całe gardło.

— A co pan myślał? — spytała rozpromieniona mówczyni.

— To okropne! — zawołał ugrzeczniiony słuchacz i oboje, zadowoleni z siebie, wrócili do salonu.

„Kucharka to, kucharka z ciebie, moja droga kuzyneczko! — pomyślałem. — I przy tym kucharka pod znakiem zapytania. Za to niewątpliwie plotkarka.”

W salonie oboje ulokowali się na czymś w rodzaju sofki domowego wyrobu; siedli tak blisko siebie, jak zazwyczaj siadają kum i kuma. Gość, opuściwszy na piersi swoje szczeciniaste wąsy, z wielce poważną miną przyglądał się jednemu z fantazyjnych guzików na swojej węgierskiej kurtce, która przypominała mu niedawno minione pijatyki i inne huzarskie czyny. A gościnnie pani domu położywszy swoją pulchną, obnażoną do ramienia, białą rękę na ośmiokątnym stoliku, też domowego wyrobu, z niemym współczuciem patrzyła na byłego, niestety, huzara.

Nie tylko ja — nawet sam przezacny mój krewniak z upodobaniem przyglądał się temu żywemu obrazowi nieklamanej przyjaźni.

Głęboką ciszę przerwało głębokie westchnienie gos-

podyni, potem przeciągłe: „Ach... tak...” i szybko zadane byłemu huzarowi pytanie:

— Czy to prawda... przywiózł nam tę miłą nowinę jeden z naszych dobrych przyjaciół... — spojrzała na mnie z ukosa — że podobno mają być zniesione naramienniki? To niemożliwe. Prędzej uwierzę w przyjście żydowskiego Mesjasza niżli w tę bezsensowną bajkę!

— I ja też — powiedział były huzar.

— I ja też — odezwał się na pół śpiący gospodarz.

— Do czegoż to podobne! — podchwyciła zajadłe gospodyni. — Przecie wtedy żadna szanująca siebie panna nie wyjdzie za mąż, wszystkie pozostaną w panieństwie, chyba że jakaś...

Co jeszcze chciała powiedzieć — nie wiem.

— A czy wtedy — przerwał rotmistrz oburzonej obrończyni naramienników — jakiś szanujący siebie mężczyzna wstąpi do służby wojskowej? Co za perspektywa dla szanującego się człowieka? Co za kariera dla przyzwoitego młodzieńca? Kompletna bzdura! I kto państwa uraczył takim nonsensem? Czy nie z klasztoru świętego Cyryla (dom wariatów w Kijowie) wyrwał się ten dobry przyjaciel państwa, proszę mi powiedzieć, na miłość boską, to jest nadzwyczaj ciekawe!?

Kuzynka z triumfującym uśmiechem spojrzała na swego pogiębionego wroga, to znaczy na mnie, a prostopoduszny mój krewniak po prostu wskazał na mnie palcem i zawołał:

— To ten!

— Ależ pan, panie dobrodzieju, jak się to mówi, w pięty mierzył, w nos uderzył! — oświadczył nader bezceremonialnie były huzar zwracając się do mnie, zapomniawszy o tym, że jest człowiekiem światowym. Tak wielki był jego triumf.

A ja, niczym obleżona ze wszystkich stron forteca, żeby nie rozdrażnić niepotrzebnym oporem silnego nie-

przyjaciela, to znaczy, żeby przerwać trywialną scenę, skapitulowałem i powiedziałem, że to były z mojej strony żarty.

— Ładne żarty! — zawołał niesamowitym głosem wymowny rotmistrz. — A czy pan sobie uświadamia, czym pachną takie ordynarne żarty? Prochem, łaskawy panie! Tak, prochem! A jeśli sprawa zajdzie dalej i wyżej, to może nawet na Sybirze się skończy! — I odsapnąwszy, ciągnął dalej: — Za taki żart, proszę łaskawego pana, każdy porządny człowiek, ba, proszę pana, oficer ma zupełne prawo zaproponować żart ostrzejszy od pańskiego — mam na myśli szpadę — rozumie pan? — Krótka pauza. — Chociaż sam teraz nie noszę tej szlachetnej dystynkcji, czyli naramienników, gdyby wszakże zdarzyło się to nie w domu państwa — tu zrobił półobrót w stronę uśmiechającej się gospodyni — pierwszy gotów byłbym zaproponować to polubowne załatwienie sprawy!

I włożywszy ręce do kieszeni, zajadły obrońca szlachetnej dystynkcji z dumną miną przeszedł się parę razy po pokoju, potem zatrzymał się przed triumfującą moją kuzynką i podkręcając swego ciemnoczerwonego szczeciniastego węża, oświadczył z samozadowoleniem:

— W naszym oświeconym dziewiętnastym stuleciu... — tu spojrzał na mnie surowo, jakby mówiąc: proszę, jak ładnie się wyrażam! — Turcy, Persowie i nawet Chińczycy zaczęli nosić naramienniki. A, myśmy przecie nie barbarzyńcy azjatyccy, lecz, chwalić Boga, Europejczycy, o ile się nie mylę. Prawda, madame?

Madame kiwnęła głową na znak, że się z tym zgadza, i klepiąc ręką w obicie sofki powiedziała: — Może pan będzie łaskaw? — Mówca był łaskaw i pod samym nosem swojej przyjaciółki zapalił olbrzymie ciemne

cygaro, po czym rozwalił się, jak tylko mógł, na wąskiej sofce.

Zmieszałem się i nie wiedziałem, co ze sobą robić. Zawsze wierzyłem w szczerą ubóstwianie naramienników przez wszystkie w ogóle piękności, a zwłaszcza przez moją kuzynkę, ale takie szarmańskie hołdy składane srebrnym i złotym galonom widziałem po raz pierwszy. Widocznie aż do tego wieczoru nie spotkałem ani prawdziwej piękności, ani prawdziwego huzara. No dobrze, ale cóż mam w końcu zrobić? Żeby dowodzić osłom, iż są osłami, trzeba być samemu przynajmniej do połowy osłem; to niesporna prawda. Cóż tedy mam przedsięwziąć? Włożyć czapkę na głowę i odejść do swojego pokoju? Byłoby to zanadto po krewniacku. Wziąłem jednak czapkę do ręki i w oczekiwaniu na szczęśliwą myśl, niby nieśmiały uczeń przed srogimi egzaminatorami, stanąłem koło drzwi, obracając w rękach swoją czapkę, jakby dopraszając się od niej odpowiedzi na surowo zadane pytanie. Nie sędzę, żeby to było zrobione z umysłem (nie stać jej na podobną grzeczność), jednakże właśnie ona sama, to znaczy moja kuzynka, wyprowadziła mnie z kłopotliwej sytuacji, zmieniwszy front: rozpoczęła znowu wściekły ogień, najpierw plutonami, a później całym dywizjonem, do bezbronnej madame Prechtel. Owa jezuitka, jak ją nazywa kuzynka, musi być chyba nader przyzwoitą niewiastą, ponieważ ściągnęła na siebie nienawiść mojej kuzynki. Jednakowoż zadowolony byłem, że chociaż kuzynka zwróciła swoje zatrute strzały przeciwko przyzwoitej kobiecie, ale tym samym wyswobodziła mnie z oblężenia i dała mi drogę odwrotu.

Nabrałem otuchy i zacząłem przemyśliwać nad rejteradą, kiedy podszedł do mnie gospodarz, z niewyraźnym uśmiechem klepnął mnie po ramieniu i powiedział:

— Co, braciszku, wpadłeś? Otóż to, przyjacielu, na

przyszłość bądź ostrożniejszy z podobnymi nowinkami, a zwłaszcza... — i zniżając głos dodał: — z kawalerzystami; to są ludzie bezpardonowi!

— Teraz sam widzę, że bezpardonowi, ale widzę trochę poniewczasie — odrzekłem po cichu, podziękowałem mu za przyjacielską radę i zwróciłem się do pani domu z ukłonem oraz życzeniem dobrej nocy.

— A kolacja? — spytała pani domu.

— Nigdy nie jadam kolacji — odrzekłem i skłamałem: nie mając wilczego ani ziemiańskiego żołądka zmuszony byłem w ten sposób się wykręcić.

— A jakie smaczne pierożki z cebulą i grzybami! Po prostu genialne! — powiedziała i zrobiła minę jak najgościnniejszą.

Ale i od tych genialnych pierożków odprosiłem się, na co światowy kawalerzysta zauważył, że jestem nie byle jakim oryginałem.

— Zdecydowany zakonnik! — odezwał się gospodarz; a gospodyni leniwo podnosząc się z sofki, z najczarowniejszym uśmiezkiem ledwo zrozumiale wyrzekła:

— Dziwak! (to znaczy głupiec).

Złożywszy, komu należało, ukłony za uprzejme epitety pozostawiłem swoich dowcipnych rozmówców i udałem się do swojej mrocznej celi.

VII

Wszedłem do swojego pokoju i zatrzymałem się przy drzwiach, żeby nasycić oczy iście rembrandtowskim obrazem. Trochim mój, położywszy złożone na krzyż ręce na otwartej olbrzymiej księdze, a na rękach głowę, spał sobie snem sprawiedliwych, ledwo oświetlony kopnącą świecą, a wszystkie przedmioty dokoła niego prawie niknęły w przezroczyście mroku; cudne skojarzenie światła i ciemności rozlewało się po całym obra-

zie. Długo stałem na jednym miejscu, oczarowany niewymownym urokiem tej harmonii barw. Bałem się poruszyć, nawet odetchnąć się bałem. Jak miraż stepowy znika przy najlżejszym wiatorku, tak — wydawało mi się wtedy — zniknie całe to cudne widzenie od mojego oddechu.

Nacieszywszy się aż do przesytu tym improwizowanym obrazem, podszedłem cicho do stołu, z żalem poprawiłem świecę i obudziłem Trochima. Mruczał coś we śnie. Spytałem go:

— Co ty mówisz?

Wtedy wyraźnie i powoli wyrecytował:

— Oko jest narządem, który służy do odbierania wrażeń świetlnych.

— Co ty recytujesz? — spytałem go.

Powtórzył to samo zdanie tym samym tonem. Popatrzyłem mu w twarz; oczy miał zamknięte. Spał. Chciałem wypróbować, czy śpiący człowiek może się poruszać. Wziąłem go za rękę w tym zamiarze, aby go przeprowadzić po pokoju, ale się obudził.

— Co widziałeś we śnie? — spytałem go.

— Nasze mieszkanie w Kijowie — odpowiedział.

— A co czytałeś we śnie?

— Swoją fizykę.

— A przed snem co czytałeś? — spytałem go patrząc na dużą otwartą księgę.

— *Życie i cierpienia świętego męczennika Eustafiusza Plakidy*. — I przetarłszy oczy, ze wzrokiem utkwionym w księdze dodał: — A ja myślałem, że jesteśmy w Taraszczy na stacji.

— Źleś myślał — rzekłem rozbierając się.

— Sam teraz widzę, że źle.

— Gdzieś dostał taką dużą księgę?

— U tutejszego popa.

— Alboż go znasz?

— Byłem dzisiaj na nieszpórach i poznałem się z nim; poprosiłem go o jakąś książkę do czytania i dał mi *Żywoty ojców świętych*. Tę właśnie — dodał wskazując na książkę.

— To dobrze, że się poznałeś z duchownym, i dobrze, że się postarałeś dla siebie o taką świętą księgę. A czy nie dowiedziałeś się czegoś o gościach, którzy przyjechali w dormezie? — spytałem go jakby mimochodem.

— A jakże, wszystkiego się dowiedziałem — odrzekł z pewną siebie miną — wszystko mi dokumentnie opowiedział ich wysoki lokaj.

„Wreszcie uda mi się uchylić tej tajemniczej zasłony” — pomyślałem sobie.

— Cóż ci tak dokumentnie opowiedział wysoki lokaj? — spytałem jakby od niechcienia.

— Pojechali do Kijowa na kontrakty — zamieniłem się cały w słuch — i tam zazimowali. W czwartym tygodniu postu wyspowiadali się w ławrze, a w piątym wyjechali z Kijowa. W Wasylkowie ustawili swoją berlinkę na kołach, doczekali się błota i pojechali dalej.

— Po cóż oni czekali na błoto — spytałem — na co im było błoto potrzebne?

— Nie wiem, tak mówił lokaj — odparł dobrodusznie Trochim i ciągnął dalej swoje opowiadanie: — Tutaj zajechali po to, żeby zostawić swoją berlinkę, póki błoto choć trochę nie podeschnie, ponieważ na polnej drodze nie ruszy jej z miejsca nawet dziesięć par wołów, a oni jutro muszą być w domu: mieszkają gdzieś niedaleko, zapomniałem, jak ich lokaj nazwał tę wieś. Jutro przesiądą się na bryczkę i tak już dojadą do swojej wsi. Ale, o mało nie zapomniałem — powiedział nagle i urwał.

„Teraz dopiero — pomyślałem — poleje się cała esencja opowiadania.”

— Sam pan pojedzie wierzchem, a bryczką tylko oni.

— Co za oni? — spytałem niecierpliwie.

— Lokaj z paniami — odrzekł spokojnie i odszedłszy w ką, zaczął rozwijać i układać swoją pościel.

— I cóż dalej? — spytałem ze złością.

— Nic — odparł z największym spokojem.

— A któż to jest ta młoda panna i ta starucha, co jechały w berlince?

— Nie wiem, nie pytałem — odrzekł tym samym tonem i zmówiwszy pacierz, przeżegnał wezglowie swego posłania i położył się spać.

Popatrzyłem tylko na niego i nic się już nie odezwałem.

„Ładnieś się o wszystkim wywiedzia!; powinieneś służyć u jakiegoś donżuana, a nie u mnie” — pomyślałem rozbierając się i idąc za rozsądnym przykładem Trochima.

Za ścianką było zupełnie cicho. Nie mogłem zasnąć. Cóż będę robił? Na szczęście przypomniałem sobie o czasopiśmie „Przegląd Morski” i wyjąwszy z walizy nr 1, zacząłem przerzucać kartki. Bolesny rejestr okaleczonych biedaków przykuł moją uwagę. Długo nie mogłem oderwać oczu od tego wzruszającego rejestru, a raczej od mojego bohatera — wielkodusznego marynarza. Już zaczynałem odczuwać urok drzemki, chciałem już położyć książkę i zgasić światło, ale żal mi było rozstać się z przezroczystym półmrokiem, wytworzonym przez na poły roztopioną świecę. Zacząłem odczuwać w sposób dziwnie przyjemny coś pośredniego między snem a czuwaniem. W malowniczym półmroku szukałem wyobraźnią i prawie z zamkniętymi oczami jakiegoś chociażby słabo oświetlonego przedmiotu, na którym mógłby się zatrzymać mój gasnący wzrok. Ciemność gęstniała, światło coraz bardziej słabło. Powieki moje powoli zbliżały się do siebie, aż wreszcie się zamknęły.

Ciemność stała się przezroczytsza i jaśniejsza, a w głębi tego bladoniebieskawego półświata ledwo widocznie uformował się ciemny, szeroki, równy, jakby go ktoś wykreślił linijką, horyzont; za horyzontem łagodnie, stopniowo zaczęło się pojawiać słabe różowawe światło i potęgując się, przybierało jakiś posępnie szary odcień. Horyzont pociemniał i wydawał szum na podobieństwo sosnowego boru. Zamieniłem się w słuch i wzrok. Jeszcze minuta i szum stał się donośniejszy, a horyzont jeszcze bardziej ściemniał. Jeszcze minuta i już słyszałem nie jakiś nieokreślony szum, lecz po prostu ryk jakiegoś potwora. Światło wzmagало się i wpadało w szarawomleczny koloryt. Zza ciemnego, nieogarnionego horyzontu bezkresną ścianą z ogromnymi fantastycznymi kopułami powoli wznosiły się chmury. Wznosząc się coraz wyżej, traciły swoje kolosalne dziwaczne kształty i zamieniały się w ciemnoszarą masę nieskończonej przestrzeni. Nad horyzontem robiło się jaśniej i powolutku, ledwo dostrzegalnie, jakby z samego horyzontu podnosiła się olbrzymia białawosrebrzysta kula, tylko samym zarysem podobna do słońca. Światło przenikło wszędy i wykończyło straszliwie piękny obraz morza pod tytułem „prolog okropnej burzy”. Błada kula podnosiła się wyżej i wyżej i stawała się coraz bledsza, wreszcie jakby się roztopiła i znikła w mlecznoszarej masie. Burza, jak miliony niewidzialnych potworów, ryczała na całej przestrzeni. Na tle ciemnych chmur błyszczwały stadami białe mewy i na białych skałach długimi sznurami siadły, jak ciekawa publiczność, czarne kormorany. Ryk burzy rozbrzmiewał jakby o ton niżej i zaczął słabnąć niczym gorliwy bas pod koniec nabożeństwa. W rozgłosnej i miarowej oktawie burzy zdała mi się słyszeć smutnie przeciągła melodia naszej ludowej pieśni — *Dumy o Aleksieju, piariatyńskim popowiczu*. Melodia stała się lepiej słyszal-

na, słowa wyraźniejsze, aż wreszcie tak zrozumiałe, że mogłem wtórować śpiewającemu głosem i słowami. A były to następujące wiersze:

*Na mori syniomu, na kameni biłomu
Jasnyj sokił kwyłył' — prokwylaje,
Na synie more pylno pohladaje,
Z moria dobyczy wyżydaje, wyhladaje.*³¹

Melodia, której zacząłem wtórować, przechodzi w recitativo i powoli ucicha niczym beznadziejne jęki samotnie umierającego cierpiętника; wreszcie wszystko umilkło. A zza olbrzymiej białej skały na wilgotny przybrzeżny piasek wychodzi Trochim i prowadzi za sobą wysokiego, zgarbionego, z białą jak śnieg brodą, ślepego starca w niebieskiej kapocie i czarnej wysokiej baraniej czapce. W prawej ręce starzec trzyma długi posoch, a lewą ręką przytrzymuje coś podobnego do pudełka okrytego połą długiej kapoty. Jest to niewątpliwie lirnিক albo dudziarz. „Ale gdzie mógł Trochim spotkać o tym czasie bożego człowieka? — sam sobie zadawałem takie pytanie. — Wie, szelma, co mi jest potrzebne, i wytrzasnął skądś mimo Wielkiego Piątku.” — Kiedy zacząłem wpatrywać się uważniej, zobaczyłem, że był to nie lirnিক i nie dudziarz, ale szkocki królewski żebrak, opisany tak żywo przez Waltera Scotta w jego *Antykwariuszu*. „Jakimże jednak cudem — zapytywałem znowu sam siebie — przyniosło coś ze Szkocji do Budziszcz królewskiego żebraka, no i w jakim celu? Może się do niewoli dostał pod Sewastopol, czy jak tam? Przecie Anglicy są narodem oryginalnym: nawet i na wojnie nie wyrzekają się domowego komfortu.” — Myliłem się wszakże — był to prawdziwy lirnিক. Usiadł tuż obok dormezy, położył lirę na kolanach i zaczął ją stroić, a Trochim nachyliwszy się, szepcze mu na ucho: — O Iwasiu Konowczence zaśpie-

wajcie, dziadku. — Starzec łagodnie kiwnął głową, obrócił kółko liry, odegrał preludium i jął recytować śpiewną rapsodię o sławnym rycerzu, co zwał się Iwanem Konowczenką. Okno, a właściwie szyba w drzwiczkach dormezy opadła w dół, zielona zasłonka podniosła się i przez otwór wyjrzała cudna, niewysłowionej piękności kobieca główka, o dużych ciemnych oczach, trochę zaspanych. Drgnąłem i obudziłem się. W pokoju już się robiło szaro i straszliwie cuchnęło zagasłą świeczką łojową. Czym prędzej włożyłem buty, płaszcz, czapkę i wyszedłem na dwór. Wiosenny ranek jaśniał całą swoją krasą, z wrót na pole wyjechała powoli bryczka z dwiema pasażerkami, którym towarzyszył jeździec w węgierskiej kurtce oraz fantazyjnym kaszkiecie.

„To oni, to z pewnością oni — pomyślałem patrząc na oddalającą się bryczkę. — Żegnaj, ułudna nadziejo!” — wyszeptalem i poszedłem na spotkanie gospodarza, który także był już na nogach.

Po słownych i ręcznych powitaniach zaproponował mi przechadzkę w parku — tak nazywał nieduży olchowy i dębowy las, przecięty wąską, szerokości trzech arszynów, przesieką nioszącą szumną nazwę dużej alei. Balansując po rozłożonych na ziemi deskach, dobrnęliśmy jakoś do furtki, czyli tak zwanego łuku. Aleja była sucha i nawet wysypana tłuczoną cegłą, ze względu wszakże na jej nieznaczną szerokość i nie pobcinane gałęzie nie mogliśmy iść ręka w rękę, tylko przechadzaliśmy się gęsiego, no i nie mogliśmy prowadzić swobodnej rozmowy nawet o pogodzie! A więc gospodarz mój milczał, ja zaś wymownie słuchałem i słuchając jego mądrego milczenia, rozmyślałem. Z początku myślałem o tajemniczej piękności, potem o moim bohaterskim marynarzu, a wreszcie o tym, co widziałem we śnie ubiegłej nocy: o morzu, o burzy... Ale

to wszystko szybko przemknęło mi przez głowę i myśli moje zatrzymały się na lirniku. Sen się na jawie sprawdził, jak się to mówi. Szukałem rękawiczek, a one siedzą za pasem; szukałem wzoru dla swojego przyszłego dzieła i szukałem diabli wiedzą gdzie; przejrzałem w pamięci literatury wszystkich cywilizowanych — i starożytnych, i nowożytnych — ludów, oprócz literatury sanskryckiej i swojej ukochanej ojczystej. Dziwni jesteście ludzie, w tej liczbie i ja.

Niedawno ktoś na łamach prasy porównywał nasze, to jest małosyjskie dumy historyczne z rapsodami ślepego poety z Chios³², praojca poezji epickiej, a ja śmiałem się z takiego wielce ambitnego porównania. Teraz zaś, kiedy się w tym rozejrzałem, kiedy to rozgryzłem, czuję, że ten, co porównywał, miał rację, i ja ze swej strony gotów jestem spotęgować jego porównanie. Czytałem, ma się rozumieć, w tłumaczeniu Gniedicza³³ i wyczytałem, że u Homera nie ma nic takiego, co przypominałoby nasze historyczne dumy-epopeje, jak na przykład *Iwan Konowczenko*, *Sawwa Czalyj*, *Aleksy*, *popowicz piriatyński* albo *Ucieczka trzech braci z Azowa*, albo *Samojło Kiszka*, albo, albo — zresztą, trudno je wszystkie wyliczyć. Wszystkie są tak wzniośle proste i piękne, że gdyby ślepy poeta z Chios zmartwychwstał i usłyszał chociaż jedną z nich od takiego samego jak i on ślepca-lirnika albo dudziarza, to rozbiłby na drobne kawałki swoje pudło zwane lirą i nająłby się jako michonosz³⁴ do najbiedniejszego naszego lirnika, uznawszy siebie publicznie za starego durnia. Niestety! Obecnie ja sam siebie powinienem tak nazwać, po pierwsze, dlatego że chciałem naśladować, a po drugie, że nie wiedziałem, kogo naśladować. A w czym tkwi przyczyna tej nieświadomości, tego niemoralnego braku samouświadomienia? Wiadomo, gdzie: w szkole. W szkole uczą nas wszystkiego, kompletnie wszystkiego,

prócz rozumienia swojej drogiej mowy ojczystej. O szkołę, szkołę, żeby cię to można było jak najprędzej zmienić! Wiem, jak to zrobić, tylko nie wiem, jak by to zrobić, żeby kuzynka nie przewąchała czegoś o moim dowcipnym projekcie. Ona mnie wtedy przeklnie, dlatego że stosownie do owej sprytniej kombinacji ją, jako matkę, pierwszą trzeba będzie zaprowadzić do szkoły, i to dobrej szkoły, a za nią również inne podobne do niej matki, o ojcach zaś nawet mówić nie ma co, zwłaszcza o moim krewniaku. Wszak prawda, że to głęboko przemyślany projekt?

Niewdzięczniku! — powie z oburzeniem szlachetny czytelnik. — Jeżeli zlekceważyłeś święte więzy pokrewieństwa i przyjaźni, to przypomniałbyś sobie chociaż wczorajszy obiad, przypomniałbyś sobie, komu jesteś winien wdzięczność za gościnę, uprzytomniłbyś sobie, przeciwko komu obmyślałeś sprytnie projekty, na kogo podnosisz rękę. — Niedobrze, sam widzę, że niedobrze robię; że projekt mój, aczkolwiek łatwy do wykonania, jest jednak surowy, nieludzki! Niestety! Jest to projekt jedynej i nieodzowny.

Po tej, nie można powiedzieć — przyjemnej, ale śmiało rzec można — oryginalnej, przechadzce po trzyarszynowej przesiece gospodarz zaproponował mi jeszcze spacer po stajniach i oborach, które niedawno zbudował na zagraniczną modłę, wydrukowaną w jakimś czasopiśmie. Mimo takiej ponętnej rekomendacji wymówiłem się od oglądania monumentalnych gmachów. Nie widziawszy tych budowli, miałem o nich dokładne pojęcie: powinny to być psie budy, a nie stajnie i obory. Ty, bratku, każdusięńki wzór przerobisz po swojemu: w moim biednym krewniaku wszystko jest wyrównane i wygładzone. Proszę jednak nie sądzić, że tu działał wpływ światowego wychowania, bynajmniej: sama wszechmogąca natura tak go ogłupiła. Ani jedne-

go rysu, ani najmniejszej wypukłości, ani jednej plamki, słowem, nic takiego, za co można by się uchwycić i dojść chociażby do pospolitej odrębności charakteru. Począwszy od lakierowanych butów, kończąc na wąskim, płaskim czole — wszystko gładkie. Można by go nazwać zerem, gdyby nie był właścicielem majątku i kilku setek chrzczonych dusz i gdyby budował swoje stajnie i obory tak, jak się je zwykle buduje, prosto, mocno, przestronno — a on wszystko to robi całkiem na odwrót: wymyślnie, ciasno i tylko na jeden rok. Zwłaszcza ciasno. Poczynając od parku i przesieki, po której nie można inaczej chodzić jak tylko gęsiego, kończąc na domowych meblach i fałszywym cyferblacie, narysowanym w trójkącie frontonu, wszystko jest u niego drobne, nietrwałe i nad wyraz szpetne. Oto jeden jedyny rys charakterystyczny w sylwetce tego człowieka, rys, który może wpaść w oko nawet nie bardzo spostrzegawczemu obserwatorowi. Powiedziawszy sobie nawzajem „do widzenia”, rozstaliśmy się. On poszedł do swoich alkierzów, a ja do siebie.

Wszedłszy do pokoju, czyli alkierza, obudziłem Trochima i posłałem go na wieś, żeby sobie poszukał mieszkania, sam zaś, jak byłem, w płaszczu i butach, położyłem się na łóżku i, jak to zwykle bywa po rannej przechadzce, zasnąłem. Grzeczni gospodarze nie budzili mnie do śniadania. Przespałbym do wieczora, gdyby Trochim wróciwszy koło południa ze wsi, nie obudził mnie mówiąc, że jestem podobny do pijanego czumaka³⁵. Podobieństwo w rzeczywistości było niewielkie, ale nie zwróciłem uwagi na uszczypliwość Trochima w stosunku do mnie, tylko napadłem na niego o to, gdzie się tak długo włóczył.

— Włóczył! — wycedził przez zęby. — Ani do jednej świetlicy nie ma dostępu, a we wsi w każdej chacie jest świetlica.

— Cóż to znaczy? — spytałem zdziwiony, pojmując to „nie ma dostępu” jako wygórowaną cenę, którą wieśniacy kazali sobie płacić.

— A to znaczy, że żołnierze dopiero wczoraj wymaszerowali, więc baby dzisiaj wzięły się do bielienia swoich chat. Po prostu Sodoma i Gomora we wsi; i skąd one wzięły tyle kredy? Mnie też jedna baba o mało nie wymazała kredą — dodał oglądając swoje ubranie.

— Cóż my teraz będziemy robili bez świetlicy? — spytałem Trochima.

— Już wszystko załatwiłem! — odrzekł.

— Co załatwiłeś?

— A to załatwiłem. Z bursy przyjechał syn popa na święta. Rodzice dali mu pomieszczenie w ogrodzie, w tej szopie, gdzie popadła w lecie smaży konfitury i przygotowuje różne nalewki. Więc oni, to znaczy ojciec, matka i syn, proszą mnie, żebym przychodził nocować do tej szopy, do syna, żeby mu nie było tak straszno. Wobec tego niech pan nocuje w domu sam, a ja będę chodził do popowicza. Przywiózł on ze sobą mnóstwo zeszytów i jeden duży, cały zapisany różnymi wierszami, więc będziemy wieczorami czytać, żeby nie czuć strachu.

— Sam los się tobą zaopiekował, Trochimie! Idź z Bogiem!

Jeszcze coś chciałem powiedzieć, ale brudny kozaczek wszedł do pokoju i oznajmił, że pan i pani czekają na mnie z obiadem. Przypomniałem sobie wczorajszy obiad i zastanowiłem się. „Nie iść — niedobrze: pomyślałem, że się gniewam za wczorajsze naramienniki. A iść też niedobrze: obezrę się jak wczoraj.” Po namyśle zdecydowałem się na drugie zło.

Był to piątek — i obiad, aczkolwiek nie całkiem umiarkowany, był zupełnie postny, to znaczy nawet bez ryby, i to uratowało mnie od przejedzenia. Jedna-

koż mimo wszystko chrapnąłem sobie ze dwie godzinki po obiedzie. Po przespaniu się wyszedłem na dwór, ale oprócz parku nie było gdzie pójść, więc skierowałem swoje kroki do parku. Wąziutka aleja wydała mi się teraz szersza, zacząłem ją tedy przemierzać; poranne myśli nawiedziły mię znowu i były już o wiele różowsze, przy czym wcale nie dotyczyły ani krewnych, ani w ogóle współczesnych ludzi. Byłem nimi oczarowany. Byłem nastrojony na ich żaloszny ton i mimo że zbliżał się wieczór, najczarowniejszy wiosenny wieczór, wróciłem do swego pokoju, wyjąłem czysty papier, pióro, atrament i napisałem epigraf do pierwszej części swego przyszłego poematu:

*Na mori syniomu, na kameni biłomu
i tak dalej.*

Potem dobyłem ognia, zapaliłem świecę, położyłem się na łóżku i — dziwna rzecz — myśli moje nagle przeszły od poematu do mojej własnej przeszłości. Stał mi przed oczyma pokój na Dziewiątej linii, w domu piekarza Donerberga, pokój ze wszystkimi jego szczegółami — nie mówiąc o meblach, bo to byłaby nieprawda. Wzdłuż przedniej ściany nad biurkiem wiszą dwie półki. Górna zastawiona jest figurkami oraz konikami barona Klodta, dolna zaś bezładnie zapchana książkami. Ściana znajdująca się naprzeciwko jedyne go, na pół zamkniętego okna zawieszona jest alabastrowymi odciśkami stóp i rąk; wśród nich widnieje maska Laokona i maska słynnej modelki Fortunaty. Ozdoba niezrozumiała dla nieartysty. W dodatku przypomniał mi się ten sam dzień, kiedy wspólnie z nieboszczykiem Sternbergiem za ostatnie pieniądze kupiliśmy sobie zwyczajną roboczą lampę, przynieśliśmy ją do naszej celi i wśród białego dnia zapaliliśmy, postawiliśmy na stole i jak małe dzieci zachwycaliśmy się naszym nabytkiem.

Po pierwszych zachwytach Sternberg wziął książkę i usiadł z drugiej strony lampy. W ten sposób w dzień przesiedzieliśmy przy sztucznym świetle do godziny piątej po południu, a o piątej poszliśmy do akademii i obwieściliśmy całej klasie o naszym bezcennym skarbie. Niektórych kolegów zaprosiliśmy, aby obejrzeni i podziwiali nasze cudo, i z tej okazji wydaliśmy przyjęcie wieczorne, to znaczy herbatę z sucharami. Byliśmy wtedy biednymi, ale niewinnymi dziećmi. Mój Boże! Dokąd umknęły te jasne, te złote dni? Gdzie się podziała piękna rodzina nieposzlakowanych, natchnionych młodzieńców?

*Jednych już nie ma, inni — w dali,
Jak rzekł Saadi w Gulistanie.³⁶*

Tak szczerze, z takim zapałem pogrążyłem się we wspomnieniach uroczej przeszłości, że kilka razy zacząłem płakać jak dziecko, któremu odebrano piękną zabawkę, i te dobroczynne łzy pokrzepiły mnie i odmieniły. Uczułem nagle ową świeżą, twórczą siłę ducha, która sama zdolna jest cuda zdziałać w naszej wyobraźni. Otworzył się przede mną uroczy, przedziwny świat najrozkoszniejszych zjawisk. Widziałem je, dotykałem niemal tych czarodziejskich obrazów, słyszałem tę niebieską harmonię, słowem, wskrzeszał we mnie i opanował duszę moją ogień natchnionej, świętej poezji.

Brudny kozaczek przyszedł prosić mnie na herbatę, ale wymówiłem się niedyspozycją i nie poszedłem.

Uspokoiwszy się trochę i doprowadziwszy do porządku swoje wzburzone myśli, zmówiłem modlitwę i wziąłem się do pracy.

VIII

Ostatni dzień Wielkiego Tygodnia, cały świąteczny tydzień i pół tygodnia przed Niedzielą Przewodnią

mignęły nade mną nie wiadomo kiedy. Pamiętam tylko tyle, że przychodził Trochim, przynosił obiad i świeżą wodę, stawiał to wszystko ostrożnie na stole i w milczeniu wychodził za drzwi. We środę, już w tygodniu poświęconym, tuż przed świtem, napisałem ostatni wiersz, postawiłem kropkę, położyłem pióro, westchnąłem, przeżegnałem się i rzekłem: „Chwała Bogu!” Po tym wszystkim usiłowałem zasnąć, ale na nic się to nie zdało i tylko niepotrzebnie zgasilem świecę. Czekać na dzień w pozycji poziomej wydało mi się nudne, ubrałem się tedy, jak mogłem, i wyszedłem na dwór. Na dworze też było ciemno i cicho jak w mojej celi. Świeże, czyste powietrze i upojny aromat rozkwitającej ziemi ożywił mię, jak zmęczonego pielgrzyma na pustyni ożywia łyk świeżej wody. Pod nogami czułem już suchy grunt, spróbowałem postąpić kilka kroków naprzód — też sucho; poszedłem jeszcze trochę dalej. Zza jakiejś szopy czy stajni zobaczyłem w oddali oświetlone okna cerkwi. Jutrznia. „Zapewne jakieś święto dzisiaj” — pomyślałem i chciałem już iść do cerkwi, ale zdjęła mię obawa, iż zamiast do świątyni trafię do kałuży, co byłoby w obecnej porze bardzo naturalne. Wkrótce ptaszki w powietrzu zaczęły świergotać i zajaśniał świt. Po omacku ruszyłem dalej w kierunku cerkwi, ale natrafiłem na płot, który okalał pański dwór, trzeba więc było zmienić drogę i najpierw poszukać wyjścia. Dniało bardzo szybko, toteż bez najmniejszego trudu znalazłem wrota i wydostałem się na plac czy też carynę. Przez carynę poszedłem wprost do słabo oświetlonej cerkwi. Słońce obejmowało ziemię w swe władanie i światło w okrągławych oknach ciemnej, starodawnej cerkwi bladło jak tchórz. Jutrznia skończyła się i ludzie wychodzili już na plac przed cerkwią, kiedy podszedłem do cerkiewnego ogrodzenia. Trochim ujrzawszy mnie przecisnął się przez tłum i z radosną twarzą rzu-

cił mi się na szyję; wydałem się mu chyba zmartwychwstańcem. Uścisnęliśmy się jak bracia i ucałowali wedle świątecznego zwyczaju, po czym stanęliśmy z boku, żeby nie trudzić wieśniaków zdejmowaniem czapek. Za ludźmi wyszedł z cerkwi i pop, mężczyzna w średnim wieku, z ledwo dostrzegalną siwizną w rozłożystej brodzie i spadających na ramiona włosach. Powierzchność jego bardzo mi się spodobała. Zdjąwszy czapkę podszedłem do niego. Trzykrotnie pobłogosławił mię, po czym ucałowaliśmy się. Wymieniłem mu swoje nazwisko. Odwzajemnił mi się tym samym powiedziawszy: — Ojciec Sawa Nesterowski — i natychmiast zaprosił mnie i Trochima na szklankę herbaty po sumie. Obiecałem przyjść i rozstaliśmy się jak przyjaciele.

„Ehe — pomyślałem sobie. — Więc mój Trochim spiął się jak należy. Zuch!” Bardzo mi się to podobało.

Ranek był jak najpiękniejszy i nie chciało mi się wracać do mojego ponurego przybytku. Zaproponowałem Trochimowi nieduży spacer po ulicach wioski, zaproponowałem mu jak człowiekowi obeznanemu już z miejscowością i mogącemu służyć mi za cicerone, a w razie potrzeby obronić mię od psów — ostatnia sprawa była dla mnie ważniejsza niż pierwsza. Uszedłszy może z dziesięć kroków, zatrzymałem się i niechcący spojrzałem na cerkiew. Była zwyczajna. Taką cerkiew można zobaczyć w każdej wiosce w Małorosji: drewniana, ciemna, o trzech ośmiokątnych stożkowych kopułach, z poczerniałymi żelaznymi krzyżami. Najzwyczajniejsza cerkiew; teraz jednak wydała mi się niezwykle powabna. Promienie słońca drżały różowym blaskiem na jej okrągławych oknach i ośmiokątnych okutych blachą kopułach. Rozłożyste stare wierzby i smukłe wysokie topole otaczały cerkiew ze wszystkich stron i na poły ją zasłaniały, uwypuklając się łagodnie w różo-

wym świetle słońca. Winiетка, jakiej się nie zobaczy na najwspanialszym kipseku ³⁷.

Nasyciwszy oczy widokiem tej czarującej winiетки, ruszyliśmy dalej. Wieś jak się patrzy! Chałupy duże, nie chwiejące się w różne strony jak pijane baby na jarmarku. Czyste, białe, nierzadko ze świetlicami i prawie wszystkie otoczone ciemnymi owocowymi sadami, kłuniami ³⁸ i stertami wszelakich zbóż. I bydła różnego takó¿ niemało wyganiają z zagród na pastwisko ho¿e, rumiane dziewczyny w nowiutkich białych świtkach, w czerwonych i żółtych butach na całowych podkówkach. Wszystko schludnie i porządnie utrzymane, całkiem jakby w państwowym majątku. Wynika z tego, że krewniak mój, chocia¿ nie jest człowiekiem uczonym, ale przemyślnym i gospodarzem nienajgorszym. Daj ci Bo¿e, Łukianie Aleksiejewiczu! No i jak tu mo¿na pojąć i wyrozumieć ten nieodgadniony hieroglif, tę kurę bez pierza zwaną człowiekiem! Robi on takie wrażenie, jakby myślał tylko o tym, żeby najwygodniej, to znaczy najciańniej i najwężiej, pobudować stajnię albo gołębnik, i nic więcej. Tymczasem sprawa przedstawia się inaczej. Lubi on i takie zabawy, ale po cichutku robi to, co mu podpowiada jego ludzkie serce. A inny człowiek, który wydaje się taki sam, wcale nie jest taki sam. Wszystko jest u niego okazałe — począwszy od szpicruty i ostróg, kończąc na gołębniku. Krzyczy, gardłuje za nowymi ideami, za cywilizacją, za ludzkością, a sam...

*Chłopów swych pod prasę kładzie
Razem z burakami.* ³⁹

I pojąć tu teraz, wyrozumieć ten zagadkowy hieroglif, tego dziwnie stworzonego człowieka!

Projekt mój o ponownym wychowaniu dobrze wychowanych rodziców jest rzeczywiście projektem dos-

konałym, lecz gdybym go miał kiedy realizować, to bez wahania wyłączyłbym od tej operacji swojego krewniaka. Kuzynka — co innego. Ją również można by wyłączyć, ale na zupełnie innej podstawie, na przykład wedle przysłowia: garbatego mogiła poprawi.

Krzywa, nieregularna ulica, ogrodzona płotami i częstokołami, wiodła nas na taką samą, krzywo, niekształtnie, ale mocno zbudowaną groblę z dwoma niedużymi krytymi słomą młynami. Na strzechach młynów widniały ogromne gniazda bocianów, które już wróciły z zimowej podróży i starannie poprawiały swoje opuszczone mieszkania. Woda lała się z otwartych upustów i szumiała nie poruszając olbrzymich młyńskich kół. Moi pobożni rodacy nie tylko swoim wołom i koniom, ale i swojej wodzie nie pozwalają pracować w święto. Za rozległym stawem, na bladeżółtawym wzgórzu spośród młodych brzoź i olch wygląda kilka białych chat z kolorowymi okiennicami i gniazdami bocianów na wierzchołkach strzech. Chaty, jak wystrojone wiejskie krasawice w czystych białych świtkach, podeszły do lustra stawu, by w nim obejrzeć swoją urodę. A cały ten niewymyślny pejzaż urozmaicony był stadami pływających po wodzie krzykliwych gęsi i kaczek. Siadłem na uszkodzonym kamieniu młyńskim leżącym nad brzegiem stawu, żeby nacieszyć oczy tym malowniczym widokiem. A żądny wiedzy Trochim przekazywał mi swoje obserwacje topograficzne o otaczającej nas miejscowości. Poinformował mnie, że to nie jest bynajmniej zwykły staw, tylko rzeczka zwana Zgniły Tykicz, i że wieś nazywa się nie po prostu Budziszczu, lecz Zgniłe Budziszczu, a takie zwyczajne Budziszczu znajdują się za Szesteryńcami. Trochim skłamał: zwyczajne Budziszczu znajdują się za wsią Majdanówką, a nie za Szesteryńcami. Ta miejscowość mocno mi utkwiała w pamięci. Poznałem ją jeszcze wówczas, kiedy szu-

kałem malarza-nauczyciela i znalazłem go w osobie ojca diakona Jefrema, u którego, jak czytelnikom wiadomo, nie wytrzymałem pierwszej próby.

W cerkwi zadzwoniono na sumę, więc powróciliśmy do mieszkania. Ogoliwszy się i ubrawszy naprędce, poszliśmy na nabożeństwo. Po nabożeństwie wstąpiliśmy do ojca Sawy na *Ojcie nasz*, czyli inaczej na szklanę herbaty.

Dom ojca Sawy na zewnątrz wcale się nie różnił od dużej chłopskiej chaty, chyba tylko dwoma dymarami ⁴⁰, jednym białym, a drugim zakopconym, oraz niewielkim daszkiem nad drzwiami, wspartym na toczonych filarkach. I wewnątrz domu, to jest świetlicy, też nie bardzo się różniło od wnętrza chaty zamożnego wieśniaka, chyba tylko czystą lipową podłogą posypaną białym jak cukier kijowskim piaskiem. Takiego zbytku nie zdarzało mi się widzieć nie tylko u bogatego chłopa, lecz nawet u jakiegoś półpanka. Dębowy rzeźbiony swołok ⁴¹ z napisem przez kogo i w którym roku dom ten został zbudowany, tudzież podobnie rzeźbione ramy okien i drzwi. W poczesnym kącie izby obraz Matki Boskiej Poczajowskiej, a zamiast lampki oliwnej palące się świece ze zwykłego żółtego wosku. Stół normalnej wielkości i kształtu pokryty skromnym kółymem ⁴² i z wierzchu jeszcze białą jak śnieg serwetą. Zamiast krzeseł pod ścianami szerokie czyste lipowe ławy; pomiędzy oknami bocznej ściany nieduży stolik o wygiętych nóżkach; na stoliku leżą otwarte gęśle z wizerunkiem tańczących pasterek i grającego na flecie pasterza na wewnętrznej stronie przykrywki. Nad gęslami, w poczerniałej złotej ramie, portret Bohdana Chmielnickiego z hetmańskim herbem na tle, wśród jakichś liter. Portret — albo, jak go nazywa popadia, „Zaparożec” — jest dość dawnej, a przy tym dość prostej sobie roboty. Nad portretem długa

półka, zastawiona dużymi i małymi książkami w ciemnych skórzanych oprawach. Na lewo od drzwi, w kącie, gruby, niezgrabny piec z malowanych kafli, bardzo podobny do swojej gospodyni, mateczki Eudokii w wełnianej wzorzystej spódnicy i takiej samej bluzce ze złotymi galonami. Na niektórych kaflach pomiędzy kwiatami i ptakami wymalowane są dwugłowe orły. Przypomniały mi one naiwną opowieść Konisskiego⁴³ o takim samym malowidle na kaflach, za które biedny Chochoł poniósł tortury i śmierć. Najpiękniejsza zaś ozdoba świetlicy ojca Sawy — to nieskazitelna czystość i ujmująca świeżość. Nie zdążyłem, jak się to mówi, obejrzeć się w tym przybytku ciszy i spokoju, kiedy stół już był zastawiony różnego kalibru karafkami z różnobarwnymi płynami oraz całą kolekcją talerzy pełnych rozmaitych przekąsek; dla uzupełnienia — obok stołu stała młodzianka, różowianka popówna z tacą w rękach, na której były filiżanki z herbatą. Ojciec Sawa odmówił *Ojciec nasz*, pobłogosławił jadło i napoje, nalał do kieliszka jakiejś nalewki, przeżegnał się i wypił, a drugim kieliszkiem poczęstował mnie. Podziękowałem za wódkę, więc zaproponował ją Trochimowi, a mnie prosił, abym wypił filiżankę herbaty. Po herbacie sama popadła częstowała jakąś specjalną nalewką, która nosiła nazwę semibratnia krow⁴⁴, oraz pieczoną kaczką z jabłkami, ale znowu się wymówiłem od jedzenia. A Trochim Sydorowicz nie mógł się oprzeć semibratniej krowi i kaczkę z jabłkami, czym zaskarbił sobie największe względy gościnnej mateczki Eudokii. Podziękowawszy za przyjęcie gospodarzowi i gospodyni i powiedziawszy: „Do miłego zobaczenia”, wyszedłem razem z ojcem Sawą i jego żoną na dwór. Na dworze spotkaliśmy człowieka bez lewej ręki i z żołnierskim krzyżem św. Jerzego⁴⁵ w dziurce od guzika. Gospodarze zatrzymali się z nieznanym, a ja

wyszedłem na ulicę. Przy wrotach stała na ulicy bryczka, nieduża, z parą koni i młodocianym stangretem. Nie zwracając uwagi na to całkiem zwyczajne zjawisko, poszedłem dalej. Po drodze spytałem Trochima o jego przyjaciela popowicza i Trochim poinformował mię, że jego uczony przyjaciel popowicz jeszcze we wtorek udał się do Kijowa, i zaczął mi malować najbardziej tęczowymi farbami tego wykształconego burzysię, a na zakończenie dodał, że odwiedzi nas w Kijowie i przyniesie zeszyt pod tytułem: *Słowo o ptakach niebieskich, jak zaczęły żyć i Pana Boga chwalić, i diabła przeklinać*. Dobrze to musi być dzieło. Prosiłem Trochima, żeby mi je streścił, kiedy będzie mógł. Przy wrotach pańskiego domu rozstałem się z Trochimem: on wrócił na wieś, a ja udałem się z wizytą do mojej milej kuzynki i szanownego mojego krewniaka.

Spotkałem się z nimi w jadalni — pałaszowali jakąś babę i prosiaka na zimno. Wytworne „Ach!” wyleciało z żujących warg kuzynki, a bezgłośnie podniesienie ręki krewniaka z widelcem powitało moje niespodziewane przyjście. Po przywitaniu oboje kuzynostwo znaleźli, że bardzo schudłem, i radzili odżywić się po chorobie. Potulnie przysiadłem się do nich, posłuchałem ich mądrej rady i wziąłem się do prosięcia z babą jako do preludium mającego nastąpić obiadu. Nie zdążyłem wbić widelca w faszerowany żołądek „przyjaciela”, kiedy przed gankiem zaturkotał powóz. Kuzynka zawołała: — Mosje Kurnatowski! — rzuciła nóż, widelec i wybiegła do drugiego pokoju. Zamaszyście i zwinnie wszedł do jadalni rotmistrz i pomijając gospodarza, wyciągnął do mnie rękę, i powiedział:

— Zawiniłem wobec pana! Proszę mi wybaczyć! Naramienniki będą istniały tylko do Nowego Roku.

Z trzeciego pokoju doleciało „Ach” i zaraz potem niespokojne pytanie kuzynki:

— A akselbanty zostają?

— Zostają! — oświadczył rotmistrz i otworzył swoje objęcia przed zdumionym gospodarzem.

Po upływie minuty, najwyżej dwóch, zjawiała się kuzynka niby Aurora Guido Reniego ⁴⁶, wyświeżona, uśmiechnięta, rumiana jak ledwo rozwinięty kwiatek stulistnej róży. Schyliwszy na piersi głowę, rotmistrz ze czcią podszedł do rączki i po przywitaniu się oboje przeszli do salonu, a ja i gospodarz wzięliśmy się znowu do faszerowanego „przyjaciela”. Podziwiałem cudowną odmianę kuzynki. „Czy tak dawno — myślałem — była sobie ta kobieta najzwyczajniejszą kobietą, a teraz taka z niej wróżka, nimfa itd.” Nie darmo wyraził się natchniony król Dawid: „Bóg czyni ślepeca mądrym”; podobnie, jak pozwala pięknej kobiecie zostawać do końca życia jeśli nie pięknią, to przynajmniej kokietką. Lokaje nie dali mi skończyć moich rozmyślań oraz faszerowanego „przyjaciela”. Zaczęli poszerzać i nakrywać stół, a ja, złożywszy broń, chcąc nie chcąc musiałem oddalić się do salonu. W salonie ujrzałem wcale nie to, czego się spodziewałem. Kuzynka moja przestała wesoło szczebiotać, siedziała na sofce bynajmniej nie w malowniczej pozie, skubała rąbek batystowej chusteczki i ledwo zwracała uwagę na wytworne komplementy rotmistrza. „Cóż by to miało znaczyć?” — zadałem sam sobie pytanie i popatrzyłem na krewniaka, ale ten nawet brwią nie ruszył na moje pytające spojrzenie. Zdumiony, chciałem odejść, w obawie, żeby nie przeszkadzać swoją osobą, uprzedził mnie jednak lokaj w nicianych rękawiczkach i z serwetką jednym końcem nawiniętą na duży palec lewej ręki. Zameldował, że przekąska na stole. Kuzynka w milczeniu podała rękę rotmistrzowi, a ja i kuzyn, spojrzawszy po sobie, też wzięliśmy się za ręce i z powagą ru-

szyliśmy do jadalni. Przy obiedzie znowu ta sama historia. Po deserze kuzynka jakby mimochodem zakomunikowała, że w drugim tygodniu świąt była u niej z wizytą madame Prechtel i zobaczywszy jej placki i baby, cała aż zzieleniała z zazdrości.

— Przewrotna kobieta! — wyrzekł rotmistrz i wstaaliśmy od stołu.

Zaraz po obiedzie rotmistrz pożegnał się, wsiadł do swojej nejtyczanki i odjechał. Ja również wziąłem do ręki kapelusz w błogim zamiarze udania się do swojego kącika, ale kuzynka zatrzymała mnie i powiedziała:

— Wie pan, po co przyjechał do nas Kurnatowski?

— Będę wiedział, jeżeli pani zaszczyci mnie swoim zaufaniem! — rzekłem nie bez chytrości.

— Prosi mnie na ślubną matkę, a jego — wskazała na męża, który już zaczął drzemać — na ślubnego ojca. Odmówiłam kategorycznie — oświadczyła tonem oburzenia. — Bo naprawdę — ciągnęła dalej tym samym tonem — cóż go upoważnia, żeby mię prosić o taką przysługę: być ślubną matką! To człowiek bez ambicji! A jaką partię robi? Ni mniej, ni więcej, tylko chce się żenić z własną swoją pańszczyźnianą dziewczką! Piękna! Cudowna! Nadzwyczajna partia! — krzyczała w jakimś napadzie szaleństwa.

— A co nas to obchodzi — przerwał jej obudzony tymi krzykami mąż. — Pańszczyźniana to pańszczyźniana, my z nią dzieci chrzcic nie będziemy, wezmą ślub i basta! Niech potem koło niej chodzi, jak potrafi. Tak — powiedział zwracając się do mnie. — W następną niedzielę chce z nią brać ślub w naszej cerkwi, prosił pana również, by pan był świadkiem ceremonii i podpisał się w księdze cerkiewnej.

— Z przyjemnością — odrzekłem i oddaliłem się do swojej kajuty.

W oczekiwaniu na niedzielę, a właściwie mówiąc, w oczekiwaniu na ten arcyciekawy ślub, wziąłem się już do swego poematu, ale robota mi nie szła: trzeba jej było dać się odleżeć, jak mówią wszyscy piszący ludzie. Utwierdziwszy się w tym błogim przekonaniu, pewnego pięknego poranka zebrałem porzrzucone kartki mojego umiłowanego tworu, ponumerowałem je i tak jak najczulsza matka układa w kołysce swe dziecko, ułożyłem w teczce swój poemat, swój bezcenny skarb. Ranek był rzeczywiście piękny, więc jak Walter Scott przewiesiłem skórzaną torbę z ołówkami i papierem przez ramię, uzbroiłem się w podróżny kij i udałem się w kierunku stawu i młynów. Minąwszy staw i młyny, zagłębiłem się w młody zagajnik brzozowy, znajdujący się po tamtej stronie stawu, a ściślej biorąc, Zgniłego Tykicza, i w cieniu rozkwitających drzew, pachnących tak niezwykle świeżym, aromatycznym oddechem wiosny, oddałem się kontemplacji ożywiającej boskiej przyrody. „Dla takiego jedynie poranka — myślałem — bez żalu można zostawić w mieście wykształconych przyjaciół i poleżeć z tydzień albo dwa w barłogu razem z niedźwiedziami.” Przechadzki ponawiałem każdego ranka i za każdym razem odczuwałem nowe rozkosze. Bywało, wyjdę z cienistego brzozowego gaju na jasną polanę i po krętej ścieżce wydotaną się na grzbiet pagórka, siadę sobie obok krzyża (takie krzyże ustawiane są na wyżynach na znak, że w bliskości znajduje się woda), wyjmę z torby ołówki, papier i rysuję piękną, rozległą dolinę Zgniłego Tykicza, oświetloną porannym słońcem wiosny. Były to dla mnie najśodsze chwile, tym słośnie, iż panorama, leżąca przede mną, żywo przypominała mi kunsztowny rysunek mojego niezapomnianego Sternberga,

wykonany przez niego z natury gdzieś w Baszkirii.

Kiedy słońce wzniesie się nad nieskończonym horyzontem i szerokie cienie schowają się za krzewy i pagórki, wówczas pieczołowicie wkładam pracę do torby i ciągnę dalej swoją przechadzkę w cieniu rozłożystych dębów i wiązów. W czasie jednej z takich przechadzek niechcący natrafiłem na całkiem ruisdaelowskie błoto (znane malowidło w Ermitażu), nawet pierwszy plan obrazu w najdrobniejszych szczegółach ten sam, co i u Ruisdaela ⁴⁷. Przesiedziałem przy błocie ładne kilka godzin i prawie wykończyłem rysunek z flamandzkiego sobowtóra. Ciekawe byłoby porównanie rysunku ze znakomitym obrazem. Nazajutrz naszkicowałem nieduże studium starej, z uschniętą koroną, wierzby. Chciałem też zrobić studium na pół uschniętego brzoštu, ale na jego żywej połowie nie rozwinęła się jeszcze zieleń, więc ograniczyłem się do rysunku pnia. I taki rysunek nie zajmuje na próżno miejsca w tece dobrego malarza. Wiele jeszcze narysowałem wierzb i brzoštów w oczekiwaniu na interesującą niedzielę czy też sensacyjny ślub.

W sobotę wieczorem wracając do wsi spotkałem na grobli swojego Trochima, który przechadzał się z bezrękim kawalerem krzyża św. Jerzego, z tym samym, co go spotkałem na podwórzu u ojca Sawy. I teraz, tak jak przedtem, nie zwróciłem na niego specjalnej uwagi i przeszedłem obok. W pobliżu mieszkania dogonił mnie Trochim i bez żadnych wstępów oświadczył mi, że nic nie wiem.

— A ty dużo wiesz? — spytałem go również obcesowo.

— Wiem, że jutro będzie wesele, i to jeszcze jakie wesele! — dodał tajemniczo. — Ten sam pan, cośmy go widzieli na drodze i co przyjeżdżał tutaj, ten sam pan żeni się ze swoją poddanką, z tą samą, cośmy ją

widzieli wtedy w berlinie i co spała u nas za ścianą.

„Więc tu się kryje cała tajemnica — pomyślałem. — Jakież to wszystko proste i naturalne, a mnie, głupiemu, wydała się ona Bóg wie jakim zagadkowym sfinksem.”

— A cóż to za kawaler, z którym spacerowałeś po grobli? — spytałem Trochima.

— On mi właśnie opowiedział tę całą historię — odrzekł Trochim.

— Ale kto to jest?

— Nie pytałem go, kim jest. Bóg raczy wiedzieć, co to za człowiek. Ojciec Sawa mówi, że to wysłużony żołnierz.

— Czy nie marynarz? — spytałem przerywając gadatliwemu Trochimowi.

— Nie, nie marynarz, tylko po prostu żołnierz — obstawał przy swoim niewzruszony Trochim.

— Dobrze, niech będzie żołnierz — powiedziałem i nie wstępując do mieszkania, tak jak byłem, z torbą i kijem podróżnym ruszyłem na spotkanie mojego amfitriona i jego szanownej połowicy.

— Wie pan, co panu powiem? — wołała do mnie z daleka kuzynka.

— Będę wiedział, kiedy mi pani powie — odrzekłem podchodząc do niej.

— Jestem jutro na weselu! — oznajmiła uroczystym tonem. — I do pana jako do artysty zwracam się z osobistą prośbą. Niech pan mi poradzi, jak mam się ubrać, żeby wystąpić stosownie do roli, którą mi wyznaczono w tej komedii.

— Proszę się ubrać tak, jak się pani zawsze ubiera — powiedziałem.

— Ależ z pana uprzejmy artysta — rzekła i zrobiła najpowabniejszą minkę. — Jak zawsze! Czyż ja codziennie gram rolę ślubnej matki? Pan jest bardzo

roztargniony! — powiedziała pół żartem, pół serio, i jeszcze powabniej się uśmiechnęła.

— Zdaje mi się, że pani podziękowała za ten wysoki zaszczyt? — wyrzekłem w zdumieniu.

— Nie mogę inaczej! Pisz do mnie tak przekonywająco, pisze tak, że nie mam siły mu odmówić. Niech pan przeczyta, jak pisze.

I podała mi różowy, naperfumowany liścik. Pokręciłem go w rękach, powąchałem i zwróciłem kuzynce.

— Pfe! Co za lodowata obojętność. Żeby pan chociaż spojrział na charakter pisma. A kto mi przywiózł tę różową epistołę, za nic już panu nie powiem — oświadczyła starannie układając liścik w ridikiulu ⁴⁸.

— **Lokaj** albo **stangret**, któż by inny? — palnąłem na chybił trafił.

— Omylił się pan, niech pan sięga wyżej! A zresztą, nie będę pana dłużej męczyła. Rodzony brat panny młodej, jakiś wysłużony marynarz. Nie widziałam go, sam nie raczył podać mi listu, tylko przesłał od popa. Też mi ambicja! Więc, jakże się mam jutro wystroić? Do czekam się od pana jakiejś rady czy nie? — spytała mnie w tej samej chwili, kiedy sobie przypomniałem bezrękiego inwalidę z krzyżem na piersiach.

Odrzekłem kuzynce ni to, ni owo, na co roześmiała się niewinnym dziewczęcym śmiechem. Ten niewinny śmiech wzbudził we mnie pewną wielce chytrą myśl, więc przyczaiwszy się rzekłem:

— Niech się pani jutro ubierze — to przecie dla pani drobnostka... niech się pani tak ubierze, aby zupełnie zakasować i jego piękną narzeczoną, i jego samego.

— A jęgo samego to jak? — spytała z przejęciem.

— Niech się pani zrobi podobna do jego córki, i koniec!...

— Doskonale! — przerwała mi zachwycona. — Sama też o tym myślałam, to będzie taka mała mistyfikacja.

Prawda? — dodała zwracając się do męża, a ten na znak zgody skinął głową i popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ty, braciszku, wyglądasz jak trusia, a w gruncie rzeczy dobry z ciebie numer!”

Zadowolona z mojego projektu kuzynka pozwoliła mi, bym nie przebierając się, poszedł do niej na herbatę. Skorzystałem z pozwolenia i podążyłem śladami pięknej kobiety, a po drodze myślałem nieomal na głos:

„Czyż wy, piękności, takie jesteście ślepe, tak przedziwnie ślepe w stosunku do własnej urody, że, nie mówiąc już o zmarszczkach, nie dostrzegacie u siebie nawet siwych włosów?”

A istotnie tak jest. Żywię głębokie przekonanie, że taka jest ta gorzka prawda. Onego czasu, bywało, zaproszą mnie, abym namalował portret jakiejś rzeczywiście czcigodnej matrony. Staruszka zacna, bogobojna, cicha, łagodna, na czarno ubrana — trudno o lepszy model pustelnicy z epoki gotyku: tylko siadać i malować bez najmniejszej fantazji. Niech, no ktoś jednak spróbuje namalować wizerunek owej anachoretki bez żadnych zmian, to znaczy á la Gerard Dou⁴⁹. Nie tylko mu nie zapłacą, ale jeszcze z domu wypędzą jako złośliwego karykaturzystę.

Długo znosiłem podobne nieprzyjemności, aż wreszcie połapałem się, o co chodzi. Domyśliłem się, czego trzeba — i wszystko poszło jak po maśle! Naiwność, nic więcej.

Piszę to przykazanie młodym przyjaciołom moim, którzy mają nieszczęście torować sobie artystyczną drogę takimi nędznymi, takimi pożałowania godnymi sposobami.

Przez cały wieczór kuzynka moja była, jak to się mówi, w swoim żywiole: dowcipkowała, śmiała się i omal nie tańczyła jak dziewczynka, gdy tylko się zgadło o sukni z gazy lub o jakiejś nie widzianej jeszcze

na świecie tunice. Taka była wesoła i uprzejma, że stała się nudna i w końcu nieznośna. Cudza radość w ogóle mało nas jakoś cieszy, a nieprzyjemna uciecha mojej kuzynki doprowadzała mnie po prostu do wściekłości. Żeby nie być milczącym świadkiem głupoty i trywialnego zachowania się, zabrałem swoje manatki i wyszedłem, podziękowawszy nawet za kolację. A po takim spacerze, jaki zrobiłem tego dnia, była to duża ofiara. Zirytowany, próbowałem zasnąć — próba całkiem się nie powiodła. Usiłowałem czytać — jeszcze gorzej. W jakiś obrzydliwy nastrój wpędziła mnie kuzynka swoją głupią radością. Niczym potworna sepia oplątała mnie nuda swoimi wstrętnymi mackami i całą noc nie dawała mi spokoju. O czymkolwiek sobie przypominałem, o czymkolwiek pomyślałem, wszystko było nudne, nieznośne, przykre. Jeżeli angielski spleen ma coś wspólnego z naszą rosyjską chandrą, to wierzę w możliwość podróży piechotą na Kamczatkę, jak to uczynił pewien angielski lord, który jeszcze w dodatku ożenił się po drodze z córką petropawłowskieko pałamarza ⁵⁰. Wesele, na przykład, wydaje się radosnym, promiennym tematem rozmyślań, prawda? Ale niechże człowiek popróbuje myśleć o weselu podczas ataku nudy. Temat ten wyda mu się wówczas taki ciemny, taki brzydki, że aż człowiek oczy zmruży, a jeśli ma już łysinę i nie jest przy tym żonaty, to będzie się za wszelką cenę starał myśleć o czymś innym. Wlezie mu jednak do głowy i starość, i samotność, i sprawa skończy się tym, że z pierwszą lepszą głupią babą weźmie się wtedy i ożeni, by uniknąć samotności. Co prawda, dola starego kawalera nie jest do pozazdrosczenia, ale i losowi starego męża młodej żony nie można zazdrościć. Według mnie lepiej spędzić żywot w starokawalerstwie, niżli otoczyć się cudzymi różowymi bobaskami, a swoją czcigodną łysą głowę uwień-

czyć ozdobą bynajmniej nie wzbudzającą szacunku.

Przed świtem nieco się uwolniłem od tej przeklętej wiedzmy-nudy i zasnąłem, a przebudziłem się już, kiedy dzwoniło na sumę. Dobrze jeszcze, że Trochim, wiedziony Bóg wie jakim natchnieniem, jeszcze z wieczora przygotował mi frak i inne rzeczy; ubrałem się więc błyskawicznie i wyszedłem z mieszkania w tej samej chwili kiedy wysztafirowana kuzynka moja siadała do powozu, by jechać na nabożeństwo. Zaproponowała mi miejsce obok swojej wspaniałej osoby, ale podziękowałem za ten honor i poszedłem pieszo. Sądziłem, że koło cerkwi zobaczą już wspaniałe kolasy oblubienca i oblubienicy — a tymczasem nic: widać było jeden tylko powóz mojej kuzynki oraz jakąś małą bryczkę z małym stangretem. W cerkwi, jak zwykle, kniotkowie gorliwie szeptem modlili się do Boga. Na klirosie⁵¹ diaczek wyśpiewywał ochryplym basem *Iże cheruwimy*⁵², a pomagał mu w tym wczorajszy bezręki kawaler krzyża św. Jerzego. A gdzież są młodzi? Czy nie zdarzyło się jakoweś nieporozumienie, jak to często bywa w podobnych wypadkach? Po sumie ojciec Sawa zaprosił mnie i Trochima, Sydorowicza na szklanę herbaty i nie odmówiliśmy. Ledwo zdążył ojciec Sawa *Ojczy nasz* i pobłogosławić jadło i napoje, kiedy wszedł do świetlicy gorliwy pomocnik zachrypniętego diaczka, bezręki kawaler. Popadła, po zwykłym przywitaniu, nazwała go Osipem Fedorowiczem i prosiła siadać. Inwalida powiesił najpierw swoją czapkę na kołku, a potem dopiero usiadł prawie przy samym progu na czymś w rodzaju taboretu. Ta skromność spodobała mi się, zwłaszcza u wojskowego. Zacząłem go uważnie obserwować. Był to młody, zdrowy mężczyzna o czarnych twardych włosach, krótko ostrzyżonych, o takich samych czarnych gęstych brwiach i małych wyrównanych wąsikach. Ciągłe spuszczał oczy

i chował je pod długimi czarnymi rzęsami, toteż nic konkretnego nie można było o nich powiedzieć, jak również o górnej wardze, której zarys ukryty był pod wąsami; dolna warga natomiast była pięknie zarysowana, tylko trochę grubawa. W ogóle wydawał się człowiekiem o fizjonomii pospolitej, ale takiej łagodnej i wyrazistej, że mimo woli patrzyłem na niego z zachwytem. Do rozmowy naszej nie wtrącał się, jak to zwykle czynią ludzie bywali ze stanu wojskowego. Jeżeli ojciec Sawa zwracał się do niego z jakimś pytaniem, to inwalida odpowiadał krótko i wyczerpująco. Na pytanie popadzi, kiedy ich zamierza odwiedzić pan Kur-natowski, odpowiedział: — Przed wieczorem — i na tym koniec.

Nalubowawszy się skromnym inwalidą, podziękowałem gospodarzom za przyjęcie i wyszedłem, a Trochima Sydorowicza mateczka Eudokia zatrzymała na obiad. Przez resztę dnia nieznamy nie wychodził mi z głowy. I sam nie wiem, czym on mógł mię tak zainteresować. Wysłuzony żołnierz, i nic więcej. Przy obiedzie zamierzałem już spytać kuzynki, czy to nie brat panny młodej stał na klirosie, ale kuzynka była dzisiaj nie w humorze, więc schowałem do kieszeni swoje niewczesne pytanie. Chciałem po obiedzie zaindagaować o to kuzyna, ale ten już w czasie jedzenia o mało nie zaczął chrapać. Trochim nie pokazywał się aż do wieczora i moja ciekawość pozostała również do wieczora nie zaspokojona.

X

Dni oczekiwania tak są nudne i tak się dłużą, jak ta niezbyt zawile pomyślana opowieść. A godziny oczekiwania są jeszcze nudniejsze i jeszcze bardziej się dłużą. I dziwna rzecz: stale żywimy jakoweś na-

dzieje, stale na coś czekamy, a nie możemy się przyzwyczaić do tego dręczącego uczucia, nie potrafimy skrócić nieskończonej godziny czekania nawet o jedną sekundę. Mimo to, że źle spałem w nocy i że nie całkiem umiarkowanie zjadłem obiad, wszelako, chociaż próbowałem zasnąć po obiedzie, nie udało mi się tego dokonać. A wszystko z powodu tego niemądrego stanu oczekiwania. Na cóż czekam i co mię niepokoi? I sam nie wiem, a czuję, że noszę w sobie jakiś niepokój. Żeby się uwolnić od tego czegoś, włożyłem roboczą bluzę, wziąłem torbę, kij i poszedłem na swój ulubiony pagórek, uwieńczony dębowym krzyżem. Dzień był piękny, niebo czyste, błękitne, głębokie i jasne jak myśl wielkiego poety. Białe przezrocze chmurki-śli-cznotki, niby niewinne sny dziecięcia, zmieniały się jedna po drugiej i przelatując przez obszar nieba, rzucały szerokie ciemne plamy na moją uroczą panoramę. Z tymi czarującymi plamami panorama wydawała się rozleglejsza, głębsza i bardziej bezgraniczna. Oczu nie mogłem oderwać od tego improwizowanego oświetlenia. Wydawało mi się, że widzę na bezkresnym horyzoncie Zwienigródkę, Talne i nawet Humań.

Wziąłem się do roboty. Rozłożyłem ciemne i jasne plamy na moim nie dokończonym szkicu i rysunek ożył, przemówił, sam jakby nabrał gotowych kształtów. Oto gdzie są twoje czary, twoja bajeczna potęga, niezrównany Canaletto!

Oświetlenie się zmieniło. Włożyłem rysunek do teczki i chciałem już iść na wieś. Patrząc, złote słońce zawisło nad fioletowym horyzontem i rozsypało swoje szmaragdowe promienie po całym bezkresnym przestworze. Nowe piękno! Nowe oczarowanie! Olśniony cudną harmonią, w milczeniu opuściłem ręce i z zapar-

tym tchem patrzyłem na to wspaniałe oratorium bez dźwięków.

Słońce już zaszło, a ja wciąż jeszcze stałem koło krzyża i czy to nie dziwne? — z gaju brzozowego jakby dołatywały dźwięki fletu grającego preludium do walca Aurory. A nic takiego nie było, o flecie nikt nawet nie słyszał w tej miejscowości. Krewniak mój powiada, że kiedyś doskonale grał na flecie, ale zgubił klucz od futerału i przestał grać. I nie żartuje: w jego pojęciu wszystko to się zgadza z naturalnym porządkiem rzeczy. W owe niedługie chwile byłem prawdziwym poetą i bujałem myślą Bóg wie gdzie, w jakichś nadgwiezdnych regionach. Wszakże jako mieszkaniec Ziemi przypomniałem sobie, wprawdzie dość późno, o sprawie ziemskiej, to znaczy o weselu. Pfe! Co za cynik! — powie zakochana czytelniczka. — Wesele nazywa po prostu ziemską sprawą. — Zgadzam się, niech to będzie sprawa samego Oriona, ale przypomniałem sobie o niej dopiero o zmierzchu.

Potykając się o pnie i kępki mchu, przedostałem się jakoś przez brzozowy gaj i wyszedłem na groblę. Patrzą, cerkiew już oświetlona. Przyśpieszyłem kroku i tak jak byłem, z torbą i w bluzie, poszedłem prosto do cerkwi, a dobrze jeszcze, że pamiętałem zdjąć czapkę. Schowałem się za jakiegoś barczystego kmiotka i wyglądam jak mysz ze skrzyni. Obrządek zaczął się już, a mój bezręki kawaler-nieznajomy trzyma koronę nad głową oblubienicy. Z boku widzę, że panna młoda jest bardzo piękna, ale całej twarzy dojrzeć nie można. Złość mię bierze. Wynika z tego, że ów bezręki inwalida jest jej bratem; nikt inny, tylko on. Szkoda, że nie poznałem się z nim bliżej. Kryje się tu z pewnością jakiś romantyczny dramat. Bo i jakież mogą być stosunki między bogatym właścicielem ziemskim a biedakiem, okaleczonym żołnierzem? Trzeba polecić Trochimowi, aby się

o wszystkim dokładnie wywiedział — może się wykroi z tego jaka historyjka, a może operetka, coś w rodzaju *Zołnierza-czarodzieja* ⁵³. Tak, ani chybi, tylko czarami zmusza on dumnego rotmistrza do ożenienia się z pańszczyźnianą wieśniaczką. Jakkolwiek starannie chowałem swoją osobę za barczystym chłopem, jednak przed bystrym okiem Trochima ukryć jej nie mogłem. Zauważył mnie, podszedł i powiedział szeptem:

— Państwo młodzi zostali zaproszeni na herbatę do domu. Jeżeli i pan pójdzie, to trzeba przygotować frak i oczyścić buty.

— Idź, czyść — rozkazałem mu lakonicznie.

Trochim wyszedł. Doczekawszy się pieśni weselnej, kończącej obrządek zaślubin, opuściłem cerkiew i pędem ruszyłem do mieszkania. I co za nieszczęście! W mojej wykwintnej garderobie nie znalazłem białej krawatki, a jest mi teraz niezbędna. Co robić? Trochim wpadł na pomysł: złożył białą chusteczkę do nosa i wyszła całkiem porządna krawatka, tylko z za dużą trochę kokardą. Doprowadziwszy do końca swoje obłóczyny, włożyłem frak i poszedłem do pokoju. W drzwiach powitano mię chóralnym śmiechem; zwłaszcza kuzynka tak się rżęsiście zaśmiewała, że sobie pomyślałem, czy to aby nie z mojej krawatki się śmieją, i okropnie się zmieszałem. Okazało się zupełnie co innego. Po pierwszym paroksyzmie śmiechu kuzynka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do lustra. O zgrozo! Całą twarz miałem pobrudzoną ołówkiem. Nie mówiąc ani słowa, wybiegłem z pokoju. W czasie pracy odpędzałem komary zabrudzonymi ołówkiem rękami, no i wymalowałem sobie fizjonomię á la Otello, bystre zaś oko Trochima nie dostrzegło tego, kiedy mi zawiązywał krawatkę.

Przeobraziwszy się, po raz drugi zjawiłem się w salonie i po zwykłych ukłonach oraz grzecznościach spoj-

rzałem na oblubienicę. Mój Boże, cóż to za skończona piękność! Dożyłem do siwizny, a nie widziałem niczego podobnego do tej nieopisanej urody. Słynna piękność, hrabina Kolovrat (którą widziałem na paryskiej litografii), przy zastosowaniu wszelkich możliwych środków kosmetycznych, z trudnością mogłaby odegrać rolę służebnicy u boku naszej skromnej heroiny. Długo nie mogłem oderwać oczu od tego wzoru doskonałego piękna. A im uważniej i spokojniej patrzyłem na nią, tym więcej wdzięku i harmonii widziałem w rysach jej cudnej twarzy. Boskiemu Rafaelowi nawet się we śnie nie marzyła podobna uroda i harmonia rysów. A znamienity Canova⁵⁴ rozbiłby na kawałki swoją cukrową *Psyche*, gdyby zobaczył to bóstwo z taką gracją odbierające szklankę herbaty. A z tym wszystkim w jej urodzie nie było nic banalnego, było to zgoła niepowседневne, uduchowione piękno. Był to typ mojej rodaczki, w najwyższym stopniu doskonały. I jakeś ty zbladła, jak przygasłaś, moja biedna kuzynko, przy tej świeżo rozkwitłej lilii! Gdzie twój śmiech? Gdzie twoje chytre wczorajsze zamysły? Nie pomogły ci ani masaże, ani przymoczki, ani nawet suknia gazowa! Biednaś ty, lichaś ty krasawica!

Młodzi niedługo bawili z wizytą. Po herbacie zaraz odjechali; ja też się pożegnałem i poszedłem do swojego przybytku bynajmniej nie w normalnym stanie ducha. Piękno, w czymkolwiek przejawione, czy w istocie żyjącej, czy tylko wegetującej, wywiera na mnie zawsze jednakowy i dobroczynny wpływ. Pozostając pod działaniem piękna czuję się innym, odmienionym człowiekiem, czymś w rodzaju starego dziecka. Potrzebny mi jest wtedy jakikolwiek drugi człowiek, żeby z nim podzielić moje szlachetne doznania albo przynajmniej wygadać się do syta. W przeciwnym razie jestem jak ten pijak, który nie zaśnie, dopóki nie wy-

trzeźwieje. Ja też długo nie mogłem zasnąć, ale nie była to męcząca, lecz uspokajająca bezsenność. Przyjemne, nad wyraz przyjemne wrażenie! Dzięki ci, wszechmocny Boże, iż obdarzyłeś mnie uczuciem człowieka, który kocha i widzi piękno zawarte w twoim bezgranicznym, wiekuistym dziele. Gdyby piękno we wszystkich swoich przejawach wywierało swój dobroczynny wpływ chociażby na połowę ludzkości, wtedy szybko zbliżylibyśmy się do doskonałości i na koniec urzeczywistnilibyśmy w sobie boskie przykazanie naszego boskiego Nauczyciela. Wtedy Schwartz⁵⁵ i Rivallier⁵⁶ zbankrutowałiby ze swoimi genialnymi wynalazkami albo znaleźliby lepsze i szlachetniejsze sposoby ulepszania warunków ludzkiej egzystencji.

Długo fantazjowałem na ten doniosły temat, póki nareszcie fizyka nie zwyciężyła moralności. Zasnąłem. We śnie powtórzyło się to, co widziałem na jawie, z tą tylko różnicą, że zamiast rotmistrza koło oblubienicy siedział rubensowski satyr z kozłimi nogami i rogami, z twarzy podobny bardzo do rotmistrza. Satyr przyciska się do nimfy, szepcze jej coś do ucha. Nimfa uśmiechnęła się, a ja drgnąłem i otworzyłem oczy. Słońce już zaglądało do gotyckiego okna mojej miniaturowej celi. I zaraz po moim przebudzeniu się, niechcący, ale nadzwyczaj w porę zjawił się przede mną Trochim. Oznajmiłem mu, że zamierzam dziś jeszcze po obiedzie wyjechać do Łysianki, wziąć pocztowe konie i — hajda do domu. Trochim wbrew zwyczajowi nie sprzeciwiał się mojej woli, i natychmiast zaczął pakować frak i inne części garderoby, które mi żywo przypominały wczorajszą przygodę. Przygoda taka sobie, nic nadzwyczajnego, stara piosenka w nowym wydaniu.

Dawniejsi szlacheccy właściciele pańszczyźnianych dusz tylko haremy urządzali ze swoich dziewczyn, a obecnie zaczęli się żenić. Wynika z tego, że idea komu-

nizmu nie jest wyłącznie pustą ideą, nie jest głosem wołającego na pustyni, lecz da się praktycznie zastosować w codziennym, prozaicznym życiu. Cześć i chwała szermierzom nowej cywilizacji! Trochim gorliwie zaczął się walizą, a ja, żeby mu nie przeszkadzać, postanowiłem złożyć pożegnalną wizytę ojcu Sawie. Ale na progu mojego idyllicznie spokojnego przybytku powitał mnie sam ojciec Sawa wraz z bezrękim kawalerem krzyża św. Jerzego.

— Pan do nas, a my do pana wybraliśmy się z wizytacją — mówił wesoło ojciec Sawa. — Ten oto człowiek boży — dodał wskazując na kawalera — ma do pana ekstraordinaryjną sprawę.

Nie zdążyłem popaść w zdumienie na skutek tej niespodzianki, kiedy „boży człowiek” wyjął z pustego rękawa maleńką, wymalowaną niczym cukierek kopertę i podając mi ją, oświadczył:

— Szwagier i siostra, wielmożny panie, kłaniają się i proszą, aby pan raczył odwiedzić ich dziś wieczorem.

Nie wymawiałem się jak pijak od kieliszka wódki i nie czytając uperfumowanej epistoły, powiedziałem: — Będę.

Wtedy inwalida podał mi drugą taką samą kopertę i prosił doręczyć ją małżonce Łukiana Aleksiejewicza, to znaczy mojej kuzynce. Przyobiecałem to zrobić. Ojciec Sawa zauważył, że wypadaloby, aby sam pan kawaler krzyża św. Jerzego doręczył list i osobiście zaprosił jej wielmożność. Kawaler nie odrzekł ani słowa na tę uwagę, tylko jakoś nadzwyczaj ujmująco się uśmiechnął. Podziękowawszy ojcu Sawie za herbatę, którą mi zaproponował u siebie, pożegnałem się z nimi i wróciłem do swojego mieszkania powiedzieć Trochimowi, żeby fraka nie pakował.

— A bodajby się spalił ten pański przeklęty frak!

Tylko wciąż nim się trzeba zajmować. Nie ma człowiek czasu na obiad.

I wiele jeszcze innych rzeczy powiedział co do fraka, których już jednak nie słyszałem, gdyż poszedłem doręczyć przyjazną epistołę kuzynce. Kuzynka powitała mnie okrzykiem:

— No, i panna młoda!...

Odpowiedziałem, że w życiu swoim nie widziałem takiej piękności.

— Więc pan nie jest taki wybredny, jak przypuszczałam — odparła zimno. — Więc dla pana — dodała tym samym tonem — wykształcenie jest rzeczą zupełnie zbędną dla kobiety?

„Nie tyś powinna o tym mówić ani ja powinienem słuchać” — pomyślałem i zamiast repliki wręczyłem jej naperfumowany liścik.

Przy obiedzie rozmowa znowu zesła na pannę młodą i kuzynka znowu wytknęła mi zjadliwie to, że za nic mam dobre maniery i wykształcenie u kobiet. Zbywałem jej słowa milczeniem i to ją doprowadzało do wściekłości.

— Tak! — powiedziała zieleniejąc. — Pan jest artystą-malarzem, a malarzowi potrzebną jedynie modelka, nie kobieta.

Pomyślałem znowu: „Nie ty powinnaś mówić i nie ja powinienem słuchać.” Na głos jednak trudno mi było grzecznie odpowiedzieć na jej nader niedelikatną uwagę; zapanowało więc milczenie.

Jak prawdziwy bohater Homera krewniak mój spalałszował nieomal całą pieczoną gęś z kapustą, smakowicie popił jedzenie pokaźnych rozmiarów szklanką śliwownicy i uśmiechnąwszy się, z samozadowoleniem powiedział:

— No to świetnie! Dawaj no, co tam jeszcze masz — zwrócił się do kozaczka.

Kozaczek wyszedł.

— Tak — ciągnął dalej jakimś tajemniczym tonem — taka to jest, proszę państwa, historia, że można by ją bodaj w gazecie opublikować.

— Co za historia? — spytałem nie całkiem obojętnie.

— Ano, to wczorajsze wesele — odrzekł spojrzawszy na żonę.

— Mianowicie? — zwróciłem się znowu do niego i również spojrzałem na kuzynkę.

— A tak, nic szczególnego — oznajmił tonem człowieka, który posiada wielką tajemnicę. — Zauważyli państwo wczoraj družbę panny młodej? — spytał mnie i znowu spojrzał na swoją posępną małżonkę.

— Nawet dzisiaj miałem zaszczyt go widzieć — odrzekłem.

— Jest to ni mniej, ni więcej, tylko wysłużony marynarz, rodzony i jedyny brat obecnej pani Kurnatowskiej, właścicielki pięciuset chłopskich dusz, czystych, nie zastawionych — powiedział nalewając jeszcze szklanek śliwownicy.

Przy słowie „marynarz” mimo woli drgnąłem: „Czy to nie bohater mojego poematu?” — pomyślałem i zwracając się do krewniaka, prosiłem go o wyjaśnienie mi tej tajemniczej historii.

— Historia jest następująca...

Kuzynka parsknęła, wyskoczyła zza stołu i już z drugiego pokoju odezwała się:

— Gburze, chłopie! Od ciebie prócz trywialności nic się nie usłyszy.

Krewniak mój ze spokojem przeżegnał drzwi, zza których biegły te słowa, i powiedział:

— Historia jest następująca. Pan Kurnatowski albo, jak ona go nazywa, mosje Kurnatowski to człowiek ze wszech miar szlachetny. Kochamy go z całego serca, jak pan to mógł sam zauważyć. Jedną ma tylko wadę

— mimo swojej nobliwej powierzchowności: jest okropnym donżuanem. Po pierwszym ożenku opuścił służbę i przyjechał, jak się to mówi, do spokojnego życia na wsi; żona — wspaniała zaiste kobieta — nie wytrzymała pierwszego porodu i umarła zostawiając mu jako rękojmię swojej miłości zdrowiutkie, przepiękne dziecię. Zuch nasz, jako troskliwy i czuły ojciec, oprócz mamki, w celu zapewnienia najlepszej opieki dziecku, przystawił do niego jeszcze cztery młode, urodziwe nianki. Z całej wsi wybrał, zbereźnik. W liczbie tych nianiek znalazła się i obecna jego żona. Dziecko wkrótce umarło. Ojciec mamkę zwolnił, ale nianki zostały na dworze. Filut miał niby zamiar, widzi pan, założyć fabrykę dywanów! Jednakoż zamiast fabryki zorganizował nieduży podręczny haremik. No i nic, wszystko szło jak najlepiej. Żonaci sąsiedzi początkowo przestali go przyjmować w swoich domach, ale później zmienili postępowanie. Według mnie, najlepiej nie zwracać uwagi na cudze wady. „Każdy niech sobie swoją rzepkę skrobie” — jak powiada przysłowie. Dobrze. I oto doszła kolej do Oleńki, obecnej pani Kurnatowskiej. Ale tu trafiła kosa na kamień. Oleńka stanowczo się oparła, on do niej i tak, i siak — nie, i basta! Ani prośby, ani groźby, ani perswazje — nic nie pomogło. A główną przyczyną oporu był jej brat, obecny wysłużony marynarz. Żeby usunąć tę zawadę, nasz zuch wcale się nie namyślał — przy pierwszym poborze do wojska oddał chłopaka „w żołdacy”. Jednym ciosem rozstrzygnął wszystko. Tak sobie przynajmniej wyobrażał, ale w rzeczywistości nie ułożyło się tak, jak sobie wyobrażał. Krasawica uparła się jeszcze bardziej — nawet mu nie pozwoliła podejść do siebie! Uciekła raz nawet do Kijowa, do gubernatora, ale, chwała Bogu, w porę się spostrzegli i złapali ją już za Łysianką. Narobiłaby galimatiasu, gdyby się jej

udało dostać do Kijowa! Przyjaciel nasz niemałego się najadł strachu. Sprawa zapachniała sądową opieką, jeśli nie czymś więcej. A z jakiego powodu? Z powodu głupstwa! Z powodu kaprysu dziewczuchy. Prawdę mówiąc, nasi obywatele ziemscy są porządnie rozpuszczeni — pozwalają sobie na takie wybryki, za które gdzie indziej nie patrzono by, że to dziedzic... no, ale po co mam to roztrząsać, to nie moja rzecz. Mija rok, minął drugi, przyjaciel nasz wyłazi ze skóry, a sprawa nie posunęła się nawet o krok naprzód. Zmienił się na twarzy, zzieleniał. „Daj spokój — mówię — pluń na nią.” „Nie mogę” — powiada. Co to znaczy ta przekłeta namiętność! Z początku trzymał ją pod kluczem jak niewolnicę, kiedy jednak zobaczył, że to nie pomaga, dał jej zupełną swobodę. Mało tego: oddał jej cały dom do dyspozycji, otoczył ją wszelakim przepychem. Sam stał się jej lokajem, czegóż ona mogłaby chcieć więcej? Nie, proszę łaskawego pana, całkiem inaczej wyszło! Na oczy go nie chciała widzieć. Oto prawdziwy chochłacki upór albo w ogóle upór kobiecy. Pomęczył się z nią jeszcze pół roku i zamierzał już ją rzucić, tę przeklętnicę, i jechać leczyć się do wód, aż tu bęc! — od marszałka szlachty list albo, ściślej mówiąc, formalny nakaz, aby on, rotmistrz taki a taki, na zlecenie władz wyższych określił cenę poddanej swojej włościanki takiej a takiej i podjął pieniądze z komitetu opieki nad rannymi na zasadzie odnośnych przepisów prawnych. Przyleciał z tym papierem do mnie; przeczytałem i, przyznam się, zbaraniałem. „Czy aby władze wyższe nie dowiedziały się czegoś o jego postępkach?” — pomyślałem sobie. Ale chyba władze wyższe mają teraz inne zmartwienia⁵⁷. Myśleliśmy, myśleli i stanęło na tym, że niceśmy nie wymyślili. Minął jeszcze miesiąc. Przyjaciel nasz ani mru-mru; czeka, czy burza nie przejdzie bo-

kiem. Nie przeszła burza: nadchodzi drugi papier od tegoż marszałka szlachty z wyjaśnieniem, że taki a taki marynarz Oberemenko za dzielność i kalectwo, które poniósł w czasie obrony Sewastopola, prosi komitet opieki nad rannymi o uwolnienie jego rodzonej siostry od poddaństwa i pańszczyzny, a na zakończenie było powiedziane, żeby Kurnatowski albo sam, albo przez pełnomocnika odebrał w Kijowie pieniądze — sumę, jaką sam wyznaczy. A on, żeby nie wyznaczać i nie odbierać tej sumy, wyjechał z nią do Kijowa i tam się zaręczył. Taki zuch! Zamierzał tam nawet ślub wziąć, ale jej się zachciało, żeby brat asystował przy obrzędku zaślubin.

„To ci dopiero bohaterski poemat!” — pomyślałem.

— Prawda, że piękna historia? — spytał krewniak ziewając.

— Owszem, niebrzydka! — odpowiedziałem z roz-targnieniem.

Na jakieś dwie godziny przed zachodem słońca kuzynka owiązała sobie policzek i została w domu, a ja pojechałem z krewniakiem do nowożeńców.

Po drodze przerobiłem swój bohaterski poemat na niniejszą *Przejażdżkę z przyjemnością i nie bez morału*, a co będzie dalej — zobaczymy.

K. Darmohraj

30 listopada 1856 roku

CZEŚĆ DRUGA

I

Tak więc we dwóch, to znaczy ja i mój przyjaciel, czyli krewniak, pojechaliśmy z wizytą do nowożeńców, zostawiwszy rzekomo chorą kuzynkę w domu, aby mając dużo wolnego czasu obmyślała, jak się ma zachowywać względem czarującej sąsiadki-parweniuszki. Wyjechawszy ze wsi i potem z ciemnego lipowego zagajnika, znaleźliśmy się na krętej drodze polnej, wijącej się po szczerym polu, z rzadka wysadzonej olbrzymimi dębami o suchych wierzchołkach. Przejechaliśmy truchtem ze dwie wiorsty, po czym krewniak mój kazał stangretowi zatrzymać się obok kolosalnego suchego dębu, który swoje obnażone uschłe korzenie, niczym długie szkaradne łapy, położył w poprzek drogi.

— Chce pan — powiedział krewniak zwracając się do mnie — to panu pokażę historyczną tajemnicę? Pan jest człowiekiem uczonym, nie to, co my, więc może pan ją odczyta.

Prosiłem krewniaka, żeby mi pokazał tę „historyczną tajemnicę”. Pokazał mi okrągłą dziurę w pniu drzewa, z której w tym momencie wyleciała sowa.

— Patrzcie no, gdzie się to schowała — powiedział stangret patrząc na odlatującą sowę. A krewniak spytał mnie, czy znam tę dziuplę. Odpowiedziałem, że nie znam.

— Więc niech pan odgadnie, jeśli pan jest mędrcom, skąd się ona wzięła — ciągnął dalej tajemniczo.

— Myślę, że ją wykuł dzieciół w wolnych chwilach — rzekłem o niczym nie myśląc.

— Dzieciół, ale nie zwyczajny, tylko żelazny. Niech się pan przyjrzy dobrze i pomaca, to się pan dowie, jaki tam siedzi dzieciół — oświadczył zadowolony z siebie.

Wyszedłem z pojazdu, popatrzyłem w zagadkową dziuplę i, jak państwo myślą, co tam zobaczyłem? Kulę armatnią wielkości tęgiego kułaka.

— Ładny dzieciół, co? — spytał ze śmiechem krewniak.

— Ładny — potwierdziłem wracając do pojazdu. — W jakiż sposób i kiedy tutaj zaleciała ta kula? — spytałem swojego współtowarzysza podróży.

— To już pańska rzecz. My jesteśmy ludzie ciemni jak ta historyczna tajemnica. Więc i pan nie potrafi rozszyfrować? — ciągnął dalej ironicznie.

— Nie — odrzekłem wsiadając do powozu.

— Należy przypuszczać, że tu odbywała się kiedyś wielka bitwa — oświadczył znaczącym tonem i po namyśle dodał: — Ale może i cel, do którego strzelała artyleria, znajdował się tu gdzieś blisko.

— I to być może — przytaknałem i puściliśmy się w dalszą drogę.

Jego prosty domysł za jednym zamachem zburzył moje ponure historyczne wnioski co do tkwiącej w dziupli kuli, spojrzałem tedy weselej na ledwo pozieleniałe pole z rzadko rozstawionymi po nim dębami o suchych wierzchołkach. „Jakaż to mogła być bitwa w tej rajskiej miejscowości?” — spytałem sam siebie prostodusznie, zapominając, że nawet w samym raju zarznął brat brata. Ledwo zdążyłem sobie przypomnieć to pierwsze bratobójstwo, kiedy na horyzoncie rajskiego pola zarysowały się dwa kurhany; na jednym z nich

wznosiła się jakaś piramidalna wieża. Za dwoma dużymi kurhanami wyłoniło się jeszcze kilka mogił mniejszych rozmiarów, a na samym skraju ciemnego lasu, w którym kryła się nasza kręta wieś, ukazała się niewielka, zbudowana z ziemi, ośmiokątna reduta. Takiego samego kształtu i wielkości jak na polu koło Listewna w pobliżu Czernihowa, gdzie Mścisław Udały⁵⁸ ciął się z rodzonym bratem swoim Jarosławem — z tą różnicą, że listweńska reduta zasiewana jest zbożem, a na tym zapomnianym przez historię bastionie pomysłowy gospodarz ułożył w stogi zboże zebrane z pola. Dawne bojowe ogrodzenie zabezpiecza teraz plony pracowitego rolnika. Pociuszająca odmiana!

— A u mnie głupi ekonom nie pomyśli, żeby urządzić podobny spichlerz — przemówił mój współtowarzysz podróży, patrząc na fortyfikację ozdobioną sterkami zeszłorocznego zboża.

— A czy pan ma u siebie takie gniazdo? — spytałem go.

— Mam, tylko porośnięte lasem — odpowiedział. — A to jest znakomity pomysł! Koniecznie każę wyrębać las i urządzić u siebie taką samą sztukę.

Nie powiedziałem mu ani słowa na to genialne agromomiczne przedsięwzięcie i w milczeniu wjechaliśmy do ciemnego, milczącego lasu.

Od brzegów cichego Donu do kamienistych brzegów wartko płynącego Dniestru — jeden rodzaj ziemi, jedna mowa, jeden obyczaj, jedna fizjonomia ludu; nawet pieśni jedne i te same, jak dzieci jednej matki. A mione życie tej gromady marzycielskich dzieci wielkiej rodziny słowiańskiej nie jest jednakowe. Na polach Wołynia i Podola często można podziwiać malownicze ruiny masywnych starożytnych zamków i pałaców, niegdyś wspaniałych, jak na przykład w Ostrogu albo

Korcu. W Korcu nawet kościół, schronisko zabalsamowanych trupów rodziny hrabiów Koreckich, zamienił się w ruinę. Cóż tedy mówią, o czym świadczą ci ponurzy świadkowie przeszłości? O despotyzmie i niewoli! O chłopach i magnatach! Mogiła albo kurhan na Wołyniu i Podolu jest dużą rzadkością. Natomiast nad brzegiem Dniepru, w guberniach kijowskiej i połtawskiej, nie przejdzie się nawet wiorsty pola nie przystrojonego wysoką mogiłą, a czasem nawet kilkoma. I nie zobaczy się ani jednej ruiny na obszarze trzech guberni, chyba u jakiegoś pomysłowego właściciela ziemskiego — umyślnie rozwalona stoi w parku świątynia Westy á la rotunda w Tivoli. Cóż mówią dociekliwemu potomkowi te częste ciemne mogiły na brzegach Dniepru i gigantyczne ruiny pałaców i zamków na brzegach Dniestru? Mówią o niewoli i wolności. Biedne, bezsilne Podole i Wołyń! Tych, co się nad nimi pastwili, chroniły one w niedostępnych zamkach i okazałych pałacach. A moja piękna, potężna, miłująca wolność Ukraina napychała swoimi wolnymi oraz wraźymi trupami niezliczone olbrzymie kurhany. Nie dawała swojej sławy na pohańbienie, wroga-despotę nogami deptała i — swobodna, niepodległa — umierała. Oto co znaczą mogiły i ruiny. Niedarmo smutne i posępne są wasze pieśni, moi marzycielscy rodacy. Ułożyła je miłość wolności, a śpiewała ciężka, samotna niewola.

Podczas gdy rozwiązywałem to ponure archeologiczne zadanie, ciemny las, przez który jechaliśmy, stał się jeszcze ciemniejszy. Wierzchołki starych klonów i jesionów, niedawno jeszcze błyszczących na jasnofioletowym tle nieba, zagasty. To znaczy, że słońce zaszło. „Nie zaszkodziłoby przyspieszyć jazdę” — pomyślałem. Nie tak to łatwo jednak zrobić: na każdym kroku albo wybój napełniony rzadkim błotem, albo korzeń drzewa niby kłoda rozciągnięty w poprzek drogi czeka,

żeby dobremu człowiekowi złamać koło albo inaczej jakoś zaszkodzić.

Zdarzy się wprawdzie czasem dwadzieścia i trzydzieści kroków dobrej drogi. Za to później, jak na złość, suchy pień wyjdzie z lasu niczym rozbójnik Garkusza⁵⁹ i stanie pośrodku aksamitnej drogi. I rób, co chcesz. Kilka pokoleń czubatych rodaków moich łamie osie o takiego rozbójnika, a on stoi sobie jakby nigdy nic, tylko białe boki ma trochę zabrudzone smołą, i nic więcej. Żeby choć widoczne były na nim ślady siekiery, jakowys cień zamiaru unieszkodliwienia tego łamacza osi. Nic, nawet najmniejszego znaku. „Niechaj sobie stoi, gdzie go Bóg postawił” — mówią naiwnie moi rodacy i najspokojniej w świecie łamią w dalszym ciągu swoje mocne grabowe osie. Ale to jeszcze nic. W lesie nie sztuka złamać parę osi. Las jest lasem. Spróbujcie jednak dokonać takiego czynu pośród białego dnia i pośród równego szerokiego stepu. To jest dopiero sztuka, której nawet sprytny Niemiec nie potrafi zrobić! A mój rodak potrafił. Jechał, proszę łaskawych państwa, pocztowym traktem, wioził siano do miasta na sprzedaż ułanom. Było to wczesnym rankiem. Woły posuwały się wolno naprzód, a rodak mój leżąc na sianie, pośpiewywał sobie cichutko piosnkę — zapewne jakiś panegiryk na cześć swoich krętorogich towarzyszy. Śpiewał, śpiewał, aż wreszcie, nie skończywszy pieśni, usnął. A krętorogie stworzenia szły, szły sobie powolutku, no i stanęły zawadziwszy osią o świeżo wymalowany nowy słup wiorstowy, jakby naumyślnie postawiony na skraju drogi. Pod wpływem aromatycznego siana i obfitego snidania, czyli śniadania, rodak mój dobrze sobie chrapnął. Obudził się w samo południe wskutek palących promieni słońca. Obudził się i widzi, że jego krętorodzy bracia próżnują, nie ciągną wozu. Machnął na nich długim swoim batogiem, bracia ruszy-

li i przedniej osi tak jakby nie było wcale, a zdumiony mój rodak z miękkiego, pachnącego posłania stoczył się na twardą, suchą ziemię. Podniósł się leniwie, obejrział dokoła siebie i widząc malowaną przyczynę katastrofy, rzekł wolno, dzieląc zgłoski:

— Proklataja nimota szczo narobyła. Dobromu czołowikowi i w stepu tisno stało! ⁶⁰

O moi mili, zacni rodacy moi! Gdybyście pod względem materialnym byli tak bogaci, jak moralnie bogate są poczciwe serca wasze, stanowilibyście najszczęśliwszy naród na świecie! Ale niestety! Ziemia wasza jest niby raj, niby sad założony ręką Boga, który umiłował ludzi, a wy jesteście tylko niepłatnymi robotnikami w tym owocodajnym, przepysznym ogrodzie. Jesteście ubogimi Łazarzami, co się żywią okruczem wspaniałej biesiady waszych nienasyconych żarłocznych braci.

— Niepotrzebnie — rzekłem zwracając się do krewniaka — wziął pan powóz, bryczką prędzej byśmy dojechali.

— Myśleliśmy, że i pani dziedziczka z nami pojedzie — odpowiedział stangret za beztrosko chrapiącego swego pana.

— A daleko jeszcze do Kurnatówki? — spytałem stangreta.

— Bóg to wie — odparł. — Gdyby wyrąbać ten przekłety las i postawić słupy wiorstowe, można by je wtedy liczyć i odpowiedzieć na pytanie. A tak, co się powie, może być kłamstwem, do grzechu niewiele potrzeba. A jeżeli się nie wyrąbie lasu i postawi słupy wiorstowe, to panu powiem, że i one nic nie pomogą. Las to jest las — dodał zwracając się do mnie twarzą. — Puszcza nieprzebyta! Tylko patrzeć, jak się powóz połamie i będzie się stało później dobę albo dwie. I masz ci słupy wiorstowe! W lesie tylko przeszkadzają, nic więcej.

— Jak przeszkadzają? — spytałem go.

— A tak. Zapatrzy się człowiek na takiego malowanego bałwana, a tymczasem wpadnie na jaki pień albo w jakiś wybój. Jakby sam diabeł, uchwaj Boże — w tym miejscu stangret przeżegnał się — naprowadził powóz na przeszkodę. I ma pan wiorsty. Panu to, ma się rozumieć, nie przeszkadza. Pan sobie patrzy na malowane słupy, ile pan chce, przeczyta pan cyfry i więcej nic, ale nam, furmanom, nie przystoi się tym zajmować. Chwała Bogu, że nie umiem czytać, bo często bym obrywał za te paskudne wiorsty. Kto to je wymyślił? Pewnie żołnierze, aby im było weselej w czasie marszu. Nikt inny nie mógłby tego wymyślić.

Wypowiedziawszy dowcipną konkluzję, wyjął zza pazuchy fajkę, krzesiwo i zaczął krzesać ogień.

Gęsta, ciemna puszcza zaczynała powoli rzednąć, przejaśniać się i wreszcie całkiem się rozstała. Zostały tylko czarne olbrzymie dęby po obydwóch stronach drogi niczym zaczarowani pasterze dokoła zaczarowanego czarnego stada.

Droga była równa, gładka. Powóz jednakże poruszał się tak powoli jak w lesie. Ostrożny stangret-filozof pykał fajeczkę i nie puszczał w ruch bata. A rozumne konie tym bardziej nie kwapiły się z puszczeniem w ruch swoich bystrych nóg. Poruszaliśmy się w całym tego słowa znaczeniu po omacku. Po kilku minutach konie jeszcze bardziej skróciły swój i tak krótki krok. Uczułem, że zjeżdżamy z góry.

— Czy nie trzeba przyhamować? — spytałem stangreta.

— Nie trzeba. Góra nie jest stroma i droga dobra — odpowiedział nie wyjmując fajki z ust. I w dalszym ciągu zjeżdżaliśmy powoli. Zjechawszy z góry, znowu znaleźliśmy się w lesie. Tylko ta droga była już wyraźnie szersza i równiejsza. Na prawo ukazały się stożkowe czarne wierzchołki topoli. W pobliżu tych drzew stan-

gret skrzył ostro na prawo i znaleźliśmy się w szerokiej topolowej alei. Na linii widnokręgu ukazały się światełka w nierównej odległości jedno od drugiego.

— To już jest Kurnatówka — oznajmił stangret, wciąż nie wyjmując fajki z ust.

— A gdzie te światła widać? Czy to nie jakaś fabryka? — spytałem go patrząc na świecące się jednakowe plamy.

— Jaka tam fabryka! To pański dwór — odpowiedział drwiącym tonem. — Są tam takie pokoje, że się człowiek nie nadziwi. U naszego pana owczarnia lepiej wygląda — dodał tym samym tonem i z wolna machnął batem.

Konie parsknęły od tej niespodzianki i poszły lekkim truchtem. Z szerokiej topolowej alei wjechaliśmy na obszerny dziedziniec, otoczony z trzech stron niskim parterowym gmachem. W kącie na lewo, nad otwartymi niedużymi drzwiami, płonęły dwie pochodnie. Czyżby to było paradne wejście? Nie zdążyłem sobie zadać tego pytania, kiedy powóz zatrzymał się właśnie przy tych drzwiach, oświetlonych dwiema pochodniami.

II

Nie bez trudu obudziłem swego miłego współtowarzysza podróży i wyładowaliśmy się z powozu. W drzwiach przywitał nas olbrzymi majestatyczny szwajcar z buławą w ręku i w najpiękniejszym moim ojczystym narzeczu spytał, jak rozkażemy o sobie zameldować p a n o w i. Zameldowanie okazało się zbyteczne, gdyż sam pan wybiegł do przedpokoju i porwał nas w swoje zamaszyste objęcia. Po wielokrotnych ucałowaniach gospodarz wyprowadził nas z wąziutkiego przedpokoju do dużej, ale niskiej i brudnej komnaty, oświet-

lonej jedną lustrzaną, podobną do słońca lampą. Komnata pachniała piwnicą. Oddaliśmy wierzchnie okrycia zapanemu i tak samo olbrzymiemu lokajowi i poszliśmy za gospodarzem. Weszliśmy do długiego, wąskiego i również niskiego, przypominającego korytarz pokoju, obitego czerwoną, imitującą wełniany materiał tapetą i oświetlonego okazałą lampą z papierowym różnobarwnym abażurem. Oprócz owalnego stołu i czerwonej długiej otomany w tym potwornym pokoju nie było żadnych mebli. Stąd, postępując wciąż za gospodarzem, weszliśmy w potajemne — inaczej wyrazić się nie można — drzwiczki, wąskie i niskie, obite taką samą tapetą jak ściany pokoju, a dalej — na nieskończenie długi wąski korytarz oświetlony dwoma słońcokształtnymi lampami. Nie dochodząc do połowy korytarza, gospodarz otworzył takie same potajemne drzwiczki i wpuścił nas do dużego czworokątnego pokoju, zastawionego przeróżnymi sofkami nie domowej, lecz bodaj że samego Gambsa roboty i także oświetlonego stołową lampą z jakimś brodatym giermkim trzymającym na kopii różnobarwny papierowy abażur.

— A czemuż to pańska najdroższa Agata nie wybrała się do nas? — spytał gospodarz mojego krewniaka, ściskając mu rękę.

— Jakoś nie bardzo jest zdrowa — odpowiedział jękając się mój współtowarzysz podróży.

— Szkoda, wielka szkoda! — przemówił gospodarz tonem żalu i też się jękając. — Zagrilibyśmy w preferansika. Szkoda, wielka szkoda. Proszę, niechże panowie spoczną! — dodał swobodnie, szerokim gestem wskazując przeróżne sofki, i uśmiechając się chytrze, dopowiedział: — Na jakim sobie panowie życzą instrumencie?

Klasnął w dłonie i na ten sułtański zew zjawił się chłopczyk w czerwonej huzarskiej kurtce.

— Herbata i fajki! — rozkazał gospodarz i huzarek zniknął.

Z tych samych drzwi, za którymi skrył się miniaturowy huzar, wylazła wysoka, chuda, łysa, z ogromnymi wąsiskami, dość brudna postać w wojskowej kurtce bez naramienników.

— Pozwolą panowie, że im przedstawię — rzekł gospodarz, pokazując na przybyłą postać: — kolega z mojego pułku, z jednego kotła kasześmy jedli, Iwan Iwanowicz porucznik Berghof.

Nieznajomy w milczeniu skłonił się i podał nam kolejno swoją długą, kościstą rękę. Odpowiedzieliśmy tym samym i chuda, długa postać odeszła do kąta i ulokowała się na jednym z „instrumentów”. Ciszę zakłócił miniaturowy huzar, który zjawił się z nieskończone długimi cybuchami i nieskończone długim jak cybuch lokajem, niosącym na olbrzymiej srebrnej tacy herbatę w szklankach i rum w zielonej karafce kształtu rzepy, nie miniaturowej wielkości. Gospodarz bez ceremonii dolał rumu do umyślnie niepełnej szklanki mojego krewniaka i wręczył karafkę mnie.

— Helena moja... — powiedział gospodarz i urwał.
— Helena moja — ciągnął dalej siadając na sofce z nogami — dziś też jest nie całkiem zdrowa.

— Cóż jej jest? — spytałem ze współczuciem.

— Tak, w ogóle... Odnoszę się do tych rzeczy jak prawdziwy filozof, niech sobie, co chcą, mówią. Psy poszczekają i przestaną.

Nic zgoła nie zrozumiałem z tego, co powiedział gospodarz-filozof. Krewniak mój znacząco kiwał głową i uśmiechał się, z czego wywnioskowałem, że i on rozumiał nie więcej niż ja.

Po trzech szklankach herbaty z dodatkiem rumu rozmowa zeszała na konie i psy, a wreszcie na sąsiadów i sąsiadki. W liczbie ostatnich kilka razy wymieniono

nazwisko madame Prechtel i za każdym razem z jakimś epitetem, na przykład, ośmiornica albo beczka.

Niewątpliwie owa madame Prechtel była przyzwoitą niewiastą, gdyż inaczej nie mówiono by o niej z takim respektem. Rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona, coraz bardziej bezsensowna, mętna i zakończyła się tym, że pan gospodarz kazał podać stół, karty oraz poprosić pannę Dorotę. W jednej chwili wszystko było wykonane, a na uwieńczenie całości zjawiła się panna Dorota. W milczeniu, kokieteryjnie podeszła i przysiadła się do stołu. Nie bez zdziwienia poznałem w panie Dorocie tę samą starą duenię, której tak bezceremonialnie odebrałem swoją herbatę na stacji pocztowej. Gracze zajęli miejsca przy stole, a ja zostałem, jak się to mówi, na koszu.

W towarzystwie karciarzy zajętych swoją profesją najnędniejszą i najtrywialniejszą figurą jest postronny widz. A kuzynka moja, odpuść jej Panie Boże, nie zna w życiu większej przyjemności niżli tę, żeby w milczeniu oglądać cudze dwójki i trójki. Jest to dla niej widok piękniejszy od widoku jakiegokolwiek galerii obrazów, to samo, co dla Skotinina widok chlewu, a może nawet coś jeszcze milszego. Niestety, nie przewidziała tego szczęścia, które niechcący przypadło mi w udziale i niezbyt mądrze postąpiła obwiązując sobie policzek i zostając w domu. Naiwna kobieta! A jam nieokrzesany osioł! Żeby nie grać roli automatu, roli ulubionej przez moją piękną kuzynkę, obojętnie porzuciłem towarzystwo karciarzy i wyszedłem z gabinetu czy też salonu — diabli wiedzą, jak to nazwać — przez te same drzwi, przez które wpełzła małomówna panna Dorota. Przeszedłszy wąski, niedługi korytarzyk znalazłem się w dużym okrągłym pokoju, wymalowanym w niebieskie i czerwone pasy na wzór tureckiego namiotu. Okrągły, duży, stojący pośrodku stół i czerwona turecka kana-

pa pod ścianą stanowiły ozdobę i umeblowanie pokoju, a jeszcze wisząca, o czterech rostkach lampa jasno oświetlała ten fantazyjny salon tudzież dryblasowatego lokaja zbierającego ze stołu przybory do herbaty. Prostack, nie widząc mnie, przyłożył szyjkę zielonej rzepokształtnej karafki do swoich wydatnych warg, ale, niestety, nic nie wysączył, gdyż goście i gospodarz nic nie zostawili.

Z fałszywego tureckiego namiotu były cztery wyjścia. Wybrałem przeciwległe do tego, którym wszedłem do tej komnaty. Nowy, zupełnie nowy otworzył się przede mną widok! Długa galeria, oświetlona również kilkoma słońcokształtnymi lampami, podzielona była z jednej strony na nieduże alkowy, ponumerowane złotymi rzymskimi cyframi. Alkówek było dziesięć i każda z nich była ozdobiona garbatą sofką oraz prymitywnej roboty obrazkiem o niemoralnej treści. To nic innego tylko domowy harem pana Kurnatowskiego, otwarty i oświetlony lampami wertep rozpusty! Ohyda! Straszna ohyda! Czy to aby nie jest ten różnorodny przepych, jakim eks-rotmistrz otoczył swoją obecną żonę i o jakim opowiadał mi mój prostoduszny krewniak? To byłoby coś jeszcze bardziej ohydneho i niegodziwego! Zobaczymy, co jest w dalszych pomieszczeniach. Z oburzającej galerii wszedłem do dużego ośmiokątnego pokoju, wymalowanego na sposób chiński i oświetlonego chińskimi lampionami. Pokój miał też cztery wyjścia; nad każdym z nich był napis złożony z czerwonych liter. Nad drzwiami, z których wyszedłem było napisane: „Rozkosz”, nad przeciwległymi drzwiami — „Ruch”, na prawo — „Ulga”, a na lewo — „Nagroda”. Od strony „Ulgi” i „Nagrody” załatywało stajnię i psiarnię, wybrałem więc drzwi z napisem „Ruch” i znalazłem się w ciemnym aromatycznym ogrodzie.

Nie zdążyłem zrobić kilku kroków po wąskiej dróżce, kiedy usłyszałem dźwięki katarynki wygrywającej jakiegoś walca. Dźwięki napływały z lewej strony i wydawały się niezbyt oddalone ode mnie. Postąpiłem kilka kroków naprzód i stanąłem. Na lewo ciągnęła się długa i wąska topolowa aleja, a na końcu jej paliła się czerwona latarnia. Skierowałem swe kroki w tamtą stronę. Przeszedłszy całą aleję zatrzymałem się zdumiony. Przedemną wznosił się rzęście oświetlony pawilon albo coś w rodzaju szopy; tam właśnie piszczała niezmordowana katarynka i poruszały się jakieś białe postacie. Katarynka wygrywała walca, a postacie nie wirowały, jakby się tego można było spodziewać, lecz poruszały się naprzód i w tył, głośno przytupując nogami. „Dziwna dysharmonia” — pomyślałem zbliżając się po cichutku do pawilonu. Ostrożnie jak kot podkradłem się do jednego okna i ujrzałem... Jak państwo myślą, co ujrzałem? Tłum prześlicznych wiejskich dziewcząt wystrojonych w białe świtki i gorliwie tańczących metelicyę⁶¹. A mój wielkoduszny jednoręki bohater jeszcze gorliwiej wygrywa na katarynce walca!

Z tłumu pięknych tancerek jedna rzuciła mi się w oczy, piękniejsza i zgrabniejsza od swoich koleżanek, z wiankiem barwinków na głowie. Była to siostra mojego bohatera, madame Helena Kurnatowska. Przyłgnałem do okna tak szczelnie, że o mało nie wygniotłem szyby swoją łysą facjatą. Tancerki tak szczerze, z całego serca pochłonięte były tańcem, że nie obawiałem się o ujawnienie mojej niedyskrecji. Nie tylko mnie — nawet pożaru nie dostrzegłyby w owych pełnych szczęśliwości chwilach.

To zresztą bynajmniej mię nie usprawiedliwia. Trochę, mimo wszystko, przypominałem namiętnego Akte-

ona⁶². Brakowało tylko bystrookiej Diany, żeby mnie przystroić wieńcem, na jaki zasługują podejrzliwi mężowie.

Wczoraj — dumna, piękna oblubienica bogatego pana, a dzisiaj — wieśniaczka, koleżanka swoich biednych koleżanek. Dzisiaj jest piękniejsza i wspanialsza od wczorajszej dumnej oblubienicy. A jakże ona szczerze ściska i całuje swoje przyjaciółki... Rozpływałem się w rozczuleniu patrząc na te przejawy niewinnego, a wysoce szlachetnego serca.

Więc to znaczy, że pan Kurnatowski skłamał. Jego Helenka jest zdrowa i całkiem szczęśliwa. Wcale nawet nie zamierzała spraszać do siebie swoich pyszałkowatych i próżnych sąsiadek. Jego wierna, kochająca żona zaprosiła swoje tak samo wierne i kochające przyjaciółki i prostodusznie, radośnie obchodzi z nimi swoje niezwykłe wesele.

Niez mordowany wirtuoz wreszcie przestał kręcić karynkę, odjął swoją jedyną rękę od błyszczącej korbey i powoli osunął się na krzesło. Taniec się skończył. Jako pierwsza z tancerek podeszła ku niemu siostra, pokłoniła mu się prawie do ziemi, zapłakała, zaszlochala, spazmatycznie objęła jego szerokie ramiona swoimi białymi rękami i przytuliła do surowej twarzy swoją delikatną, piękną twarzyczkę. Surowy obrońca Sewastopola nie wytrzymał. Niczym jasne brylanty błysnęły mu wielkie łzy na śniadych policzkach i potoczyły się na rozplecione czarne warkocze jego najszczęśliwszej siostry.

Jeżeli to nie jest zupełne szczęście, to zupełnego szczęścia nie ma wśród ludzi. Przyłgnałem jeszcze mocniej do szyby, a piękna oblubienica, zdrajczyni, odskończyła od swojego szlochającego brata i schowała się w tłumie również popłakujących przyjaciółek. Przyjaciółki jedna po drugiej poważnie podchodziły do pra-

cowitego grajka, kłaniały się w pas i dziękowały za muzykę. A tymczasem zjawiała się panna młoda, zapłoniona, z olbrzymią tacą w rękach, pełną najróżniejszych słodczy i grzecznie prosząc, częstowała swoich zaiste drogich gości.

Niezmordowany wirtuoz, przyjąwszy należne mu hołdy i podziękowania za trud i kunszt, spokojnie wstał z krzeselka, pomacał katarynkę z drugiej strony i zaczął kręcić korbą. Katarynka zamiast walca zaczęła wygrywać poloneza Ogińskiego, a tancerki pośpiesznie zawinawszy w chusteczki nie dojedzone łakocie, stanęły jedna naprzeciwko drugiej w dawniejszym porządku i wszystkie jednocześnie zatańczyły tę samą, co poprzednio, metelicyę.

Po dość długim tańczeniu znowu oddane zostały te same honory pracowitemu muzykantowi i ten sam poczęstunek zaofiarowany niestrudżonym tancerkom. Skończywszy częstowanie, gospodyni postawiła ciężką tacę na katarynce, powiedziała coś szeptem do brata, a zwracając się do przyjaciółek, wyrzekła na głos:

— Numo, siostry, wczerać! ⁶³

— Numo — odpowiedziały jednogłośnie.

Uważałem w tej chwili za stosowne opuścić swój punkt obserwacyjny i wynieść się stąd gdzie indziej, aby rozpamiętywać wszystko, co widziałem. Bo i cóż teraz będzie ciekawego: żujący ludzie, zwłaszcza dziewczyny? Mięsożerne i roślinożerne zwierzęta, nic więcej. Nie jest to ciekawe nawet pod względem zoologicznym.

Jak zręczny złodziej dałem nieznaczenie nura w jakieś kolące krzewy, przedostałem się do czerwonej latarni i wydostałem na znajomą topolową aleję.

Ledwo się poczułem bezpieczny od nagłego ujawnienia mojej osoby, gdy przede mną ukazali się dwaj chłopcy z dużymi koszami na głowach. To nieoczekiwane spotkanie tak mnie oszołomiło, że doszczętnie się zmie-

szałem, stanąłem pośrodku alei i nie wiedziałem, co z sobą robić. Chłopi przechodzili obok mnie i jeden z nich, zapomniawszy o swoim ciężarze, umyślił mi się pokłonić. Koszyk stracił równowagę i dźwięczne talerze z trzaskiem posypały się na ziemię. To ostatecznie zbiło mnie z pantałyku. Na ten zdradziecki łoskot wybiegła z pawilonu sama gospodyni, a za nią jeszcze kilka dziewcząt. Postąpiłem może ze trzy kroki — nic głupszego zrobić nie mogłem — i stanąłem. A grzeszny winowajca tego całego popłochu na pytanie gospodyni — co się stało? — zbierając stłuczone talerze i starannie składając je do kosza, przemówił ledwo do słyszalnie:

— Panycz! (tak chłopi nazywali Kurnatowskiego).

Gospodyni spojrzała dokoła i zobaczywszy mnie, rzuciła się ku mnie, objęła rękami moją występłą głowę i zaczęła mię całować, przemawiając z zachwytem:

— Serce moje! Mężu mój! — aż poczułem jej ciepłą łzę na swojej twarzy. — Przyszedłeś popatrzeć na moje wesele, na moją radość?

Tu się domyśliłem, o co chodzi; wzięła mnie za swojego męża. Z żalem, co prawda, odsunąłem swoją twarz od jej twarzy. Spojrzeliśmy na siebie.

— Mój Boże, co ja zrobiłam! — krzyknęła i zasłoniła twarz rękami.

Po chwili odsłoniła ją i zwracając się do mnie, rzekła:

— Proszę mi wybaczyć, wzięłam pana za swojego męża. Myślałam, że przyszedł popatrzeć na moje wiejskie wesele.

— Ale czy pani mi daruje moją niedyskrecję? — spytałam i oznajmiłem jej o swoich przygodach.

— Więc pan jest gościem naszych dobrych sąsiadów? — wyrzekła powoli i wzięwszy mnie za rękę, dodała: — Niechże pan wobec tego będzie i moim dro-

gim gościem. Proszę wstąpić chociaż na chwilkę, chociaż tylko okiem rzucić na moje wesele i na mojego jedyne go przyjaciela, mojego miłego brata!

Ledwo skończyła zdanie, kiedy brat jej już stał przed nami i niezgrabnie się kłaniał. Wyciągnąłem do niego rękę jak do starego znajomego, panna młoda wzięła mnie za drugą i poszliśmy do pawilonu. Przed samym wejściem zrodziła mi się w głowie oryginalna myśl. Zatrzymałem się, poprosiłem siostrę i brata, żeby mnie zostawili za drzwiami i przysłali do mnie chłopca — sprawcę popłochu. Chłop natychmiast się zjawił. Nie bez trudu namówiłem go do przywdziania mojego fraka, sam zaś wystroiłem się w jego białą odświętną świtkę. Przeobraziwszy się w ten sposób i wzięwszy się za ręce, weszliśmy obaj do pawilonu. Brat i siostra po chwilowym zaskoczeniu objęli mię z zachwytem, ujęli pod rękę mnie i mojego towarzysza i zaprowadzili do stłoczonych w drugim końcu sali dziewcząt. Dziewczęta z początku milczały, ale spojrzawszy na swojego Gerasima we fraku i bezgranicznie szerokich szarawarach, parsknęły i zaniosły się młodym, dziewczęcym śmiechem.

— Majster! Majster! Herasym majster! — powtarzały śmiejąc się bez ustanku.

A Gerasim, majster od tłuczenia talerzy, nie na żarty się rozsierdził i zaczął już zdejmować z siebie powodujący takie wybuchy śmiechu frak, na co mu jednakże nie pozwolono. A kiedy dziewczęta się ustatkowały i przyjrzały się mojemu ubiorowi, to jednogłośnie uznały mię za prawdziwego hreczkosija, z czego byłem serdecznie zadowolony. Prostuduszne istoty! Nie wiedziały, że jako aktorowi wyraziły mi największy komplement. Po tym szczerym komplemente tak wszedłem w swoją rolę, że nie mówiąc już o gościach, nawet sama gospodyni i jej brat, zaniechawszy

wymuszonej wielkorosyjskiej mowy, zaczęli gawędzić ze mną po swojemu, to jest po małosyjsku.

O ile ja byłem wesóły, swobodny i szczęśliwy, o tyle biedny „majster” Gerasim — ponury, skrzepowany i nieszczęśliwy. Pochopne do kpinek dziewczęta nie dawały mu spokoju i doprowadziły biedaka do tego, że zdjął frak i gdyby pani domu nie powstrzymała jego krzepkich rąk, nie prezentowałbym się już więcej na weselach i chrzcinach w moim długowiecznym, mocnym, nie do zdarcia fraku. Chłop poszarpałby go i rzucił jak ścierkę nie zdatną nawet na onuce, z czego, między nami mówiąc, Trochim byłby bardzo zadowolony, a ja musiałbym grać dalej rolę hreczkosija aż do powrotu na łono krewniaków. Skończyło się jednakże na tym, że uległszy namowom gospodyni, majster Gerasim znowu przywdział frak. I tak poweselał, tak się rozruszał niezgrabny Gerasim, że kiedy po kolacji wyniesiono stół z pawilonu i katarynka zahuczała zrowu jakimś walcem, majster Gerasim, wzięwszy się pod boki, zatańczył takiego dziarskiego kozaczka, iż tylko szyby w oknach dzwoniły. Gospodyni, goście, ja i nawet małomówny obrońca Sewastopola zanieśliśmy się najserdeczniejszym śmiechem.

I, prawdę mówiąc, było się z czego śmiać. Gdyby jakiś nieboszczyk wstał z grobu i spojrzał na mojego ziomka ubranego tak, jak Gerasim teraz był ubrany i tańczącego w dodatku kozaczka, zapewniam państwa, iż o ile by nie wybuchnął śmiechem, to przynajmniej uśmiechnąłby się. Taka zabawna przemiana nie przyszła do głowy samemu Owidiuszowi.

Gospodyni i goście zmęczeni się już śmiechem i tylko się uśmiechali spoglądając po sobie, a niestrudzony majster Gerasim, zdawało się, dopiero zaczął wchodzić w taneczny trans, wyczyniając swoje nieskończone wyraziste pas. Hoże żartownisie przestały się w koń-

cu uśmiechać, tylko niektóre z nich z nadmiaru zdumienia wykrzykiwały: Oce to tak! — Nastojaszczyj pan w kurhuzomu żupani! ⁶⁴ — dodawały inne. Ale Gerasim nic nie widząc i nie słysząc z powodzeniem ciągnął dalej rozpoczęte pokazy choreograficzne.

— Ta cur tobi, Herasymie! — powiedziały dziewczęta jednogłośnie. — Takyj ty tam u czorta pan! Ty nasz nastojaszczyj majster Herasym! ⁶⁵

Tancerz usłyszawszy, że mu odjęto pogardliwą nazwę pana, zatrzymał się, wyszarpnął spod rękawa fraka szeroki rękaw swojej białej koszuli, wytarł nim mokrą twarz i poczynając od gospodyni wycalaował wszystkie żartownisie przygadując:

— Ot wam i pan! Ot wam i pan!

Potem zdjął z siebie frak i podając mi go z ukłonem, rzekł:

— Spasybi za pozyczki! ⁶⁶

— I wam spasybi, panie majstre Herasymie! — powiedziałem oddając mu świtkę. Włożył swoją świtkę, pokłonił się gospodyni i wyszedł z pawilonu. Wtedy zwróciłem się do jednej z dziewczyn i spytałem:

— Co to za majster?

— Wszelaki — odpowiedziała — co zechce, to zrobi.

Niewiele się tedy dowiedziałem o prawdziwej profesji Gerasima.

Goście poczuli chyba, że lepszego finału nie wymyślą, podziękowali głośnymi pocałunkami swojej szczęśliwej przyjaciółce za przyjęcie i wyszli zaraz po Gerasimie.

Gospodyni kazała drugiemu chłopu, towarzyszowi Gerasima, zgasić światła i położyć się spać, gdzie mu się spodoba. Potem wzięwszy mnie i brata za ręce, wyprowadziła nas do ogrodu. W ogrodzie rzekła do brata:

— Idź, Osipie, przygotuj nocleg naszemu drogiemu gościowi w nowym domu i daj mu do posługi starego

Prochora. A pan, mój drogi, jedyny gościu — dodała ściskając przyjaźnie moją rękę — pan będzie łaskaw odprowadzić mnie na pokoje.

Pożegnawszy się z bezrękim bohaterem, poszliśmy wolno wzdłuż alei.

IV

Przechodząc w milczeniu znajomą lipową aleją, kilka razy zatrzymywaliśmy się i słuchaliśmy, jak wesole przyjaciółki mojej pięknej, smutnej towarzyszki śpiewały pieśni, weselne oddalając się od pawilonu. Po raz ostatni zatrzymaliśmy się przy samych drzwiach prowadzących do domu, pod nazwą „Ruch”, i długo przysłuchiwaliśmy się zanikającym dźwiękom wesolej pieśni. Powoli oddalając się dźwięki na koniec ucichły całkiem, a towarzyszka moja wciąż jeszcze stała w milczeniu, jakby wchłaniała te miłe, bliskie sercu melodie.

— Rozeszły się po chatach moje przyjaciółki — ledwo dosłyszalnie przemówiła i zaszlochała jak dziecko.

Najmniejszym ruchem nie śmiałem zakłócić jej bolesnego, cichego lamentu. A ona szczerze, serdecznie żegnała się ze swoimi przyjaciółkami, ze swoją ubogą dziewczęcą wolnością. Teraz dopiero uświadomiła sobie swoją ciężką niewolę. Teraz dopiero poczuła nad sobą władzę niemiłego jej i obcego pod każdym względem człowieka. Biedaczko, cóż cię czeka w przyszłości? Co znajdziesz na wybranej przez siebie drodze?

— Wszak prawda, że jestem zupełnie szczęśliwa? — odezwała się wreszcie ocierając łzy i kurczowo ściskając mi rękę.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, a ona ciągnęła dalej:

— Nie wierzy pan? Niechże mi pan powie, mój dobry przyjacielu, czy choć jedna siostra na całym świecie miała takiego brata, jak ja mam? I jakże ja jestem winna wobec niego! — dodała półgłosem. — Powinnam była wstąpić do klasztoru i modlić się za niego do Boga, a ja co zrobiłam?

I znowu zaczęła płakać.

„Minęły chwile szczęścia, nadeszły lata doświadczeń!” — mówi jakiś poeta, a ja patrząc na moją bohaterkę, powiedziałem w duchu: „Jeżeli zostaniesz na zawsze taka czysta i nieposzlakowana jak teraz, to chwila twojej promiennej radości przedłuży się do grobu.” Ona jakby podsłuchiwała moją myśl, nagle przestała płakać, przeżegnała się, łagodnie spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i w milczeniu weszliśmy do chińskiego pokoju.

— Widzi pan, jakie dzisiaj mamy świąteczne oświetlenie w domu? — powiedziała zdejmując z głowy wianek z barwinków. — Mąż mój spodziewał się przyjazdu gości, ale nikt oprócz panów nie przyjechał. To znaczy, że na pół zgadłam. Bo i któż teraz do niego przyjedzie? Nikt oprócz Prechtłów, a on sam od nich stroni.

— Proszę mi powiedzieć, na miłość boską, co to za ludzie ci Prechtlowie? — przerwałem jej.

— Nasi bliscy sąsiedzi, dobrzy ludzie. On jest zdolnym lekarzem, a ona najzacniejszą kobietą w całej okolicy.

A więc nie omyliłem się, wyciągając odpowiednie wnioski ze słów mojej miłej kuzynki i jej szlachetnego przyjaciela.

W milczeniu i szybko przeszliśmy galerię z dziesięcioma niezagadkowymi alkowami i znaleźliśmy się w okrągłym pokoju, wymalowanym na turecki namiot, przed obliczem samej panny Doroty.

Panna Dorota stała przy okrągłym stole, nakrytym

białym, czystym obrusem. Zakasawszy rękawy i zawiąawszy sobie serwetkę zamiast fartucha, z poważną miną przygotowywała do kolacji sałatkę z brukwi i pachnącego ogórecznika.

— Kochana panno Doroto — powiedziała po polsku moja towarzyszka — zabaw mojego drogiego gościa, zanim się nie przebiorę.

I w mgnieniu oka znikła.

Panna Dorota z wolna podniosła głowę, niepewnie spojrzała na mnie i ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową. Zrobiłem to samo. Panna Dorota wyszeptała:

— Proszę siadać.

Usiadłem. Czułem, że moja sytuacja bynajmniej nie jest godna zazdrości, jeśli nie całkiem głupia. W krytycznych okolicznościach, w takich na przykład jak teraz, nie umiem się po prostu znaleźć, a panna Dorota też chyba nie góruje w tym względzie nade mną. Długo w milczeniu siedziałem i patrzyłem na starą, wreszcie pomyślałem:

„Więc to jest twoja matka, nauczycielka i guwernantka? Dobra, nie ma co! Od kogoż ty, moja droga bohaterko, nauczyłaś się rosyjskiego i polskiego? A najważniejsze, od kogo przejęłaś i tak głęboko sobie przyswoiłaś ten delikatny takt i te miłe, ujmujące maniery? Od Boga, od przyrody! Tak, ale pomoc ludzka też jest tutaj nieodzowna.”

Takie i tym podobne pytania kręciły mi się po głowie dotąd, aż cicho, niby łagodny kotek, weszła do pokoju moja piękna towarzyszka, ubrana wykwintnie i skromnie. Podczas gdy ja podziwiałem jej przeistoczenie się, ona przyłożywszy palec do ust, zbliżyła się na paluszkach od tyłu do panny Doroty i szybko zasłoniła jej spuszczone oczy swoimi dziecinnymi, małymi rączkami. Panna Dorota zaczęła wycierać serwetką mokre ręce, a psotnica tymczasem zręcznie jak kotka odsko-

czyła ode mnie i padając na otomanę, głośno się roześmiała.

— Swawolisz, Heleno! — mruzczała niezadowolona panna Dorota poprawiając swój pognieciony czepek.

— Już nie będę, nie będę, moja dobra, moja miła materko! — mówiła Helena i podszedłszy do gderliwej staruszki, czule ucałowała ją w czoło.

Staruszka uśmiechnęła się i oddając psotnicy pocałunek, spytała ją o coś szeptem. Ta odpowiedziała jej tym samym tonem. Rozmawiały zapewne o mnie. W czasie gdy się to wszystko działo, w dalszym ciągu podziwiałem przeobrażenie się swawolnicy: ani cienia dawnej wieśniaczki, od włoska do paznokietka panna, i to jeszcze jaka panna! Najelegantsza, jaka może być. W jakiej szkole, w jakim instytucie nauczyła się ubierać tak twarzowo, tak prosto, a ze smakiem? Zadziwiające jest to poczucie dobrego smaku! Miała na sobie ciemnoszarą jedwabną suknię z takimi gustownymi szerokimi fałdami, jakimi popisać się mogą jedynie muzy Rafaela. W ciemnym wspaniałym warkoczku wśród kilku zielonych listków niby szafir połyskiwał jasnoniebieski barwinek. Wąziutki kołnierzyk i także rękawki dopełniały jej wykwintnego ubioru. Komu by do głowy przyszło, patrząc na tę czwartą grację⁶⁷, spytać, czy umie czytać po rosyjsku? A mnie przyszło do głowy właśnie takie, rzekłbym, zasadnicze pytanie.

— O czym to się pan tak zamyślił, mój drogi gościu? — przemówiła podchodząc do mnie.

— O tym, o tym... — mówiłem spoglądając w jej piękne, rozumne oczy i o mało się nie wygadałem.

— O czym, niechże pan powie? — spytała przymilnym tonem.

— Jutro powiem, a dziś nie mogę. Albo co innego — dodałem w niezdecydowaniu: — niech pani zno-

wu włoży na głowę wianek z barwinków, wtedy powiem.

— Powie pan?

Nie zdążyłem wymówić „tak”, gdy wyfrunęła do galerii z obrzydliwymi alkowami i podczas kiedym ja wstawał z miękkiej otomany, przyfrunęła znowu do okrągłego pokoju z barwinkowym wiankiem na głowie.

— Muza Terpsychora! — zawołałem pełen podziwu.

— Gdzie muzyka? — spytała naiwnie.

— Pani jest muzą harmonii! Pani jest wcieleniem najwznioślejszej, najbardziej natchnionej muzyki! — odrzekłem z entuzjazmem.

Zachwycąłem się jej zmieszaniem, jej prześliczną, malowniczą młodą główką w barwinkowym wieńcu z jasnoniebieskich kwiatów. Inny na moim miejscu, większy ode mnie zuch, padłby tu zaraz na kolana jak przed boginią i wyznałby jej swoją miłość. Ja zrobiłem inaczej. Napatrzywszy się z lubością na moją muzę, posadziłem ją na otomanie i po chwili dalszego zachwytu, rzekłem:

— Pani doskonale mówi po rosyjsku i po polsku, a czy umie pani czytać chociażby w jednym języku?

— Czytam — odpowiedziała bez najmniejszego zażenowania — i nawet zaczynam pisać. Po polsku uczy mnie panna Dorota, a po rosyjsku stary Prochor, ten sam, który będzie panu usługiwał.

— Niechże mi pani daruje moje niedelikatne, ale przyjacielskie pytanie, madame Hélène — dodałem z szacunkiem.

— Proszę mnie nazywać, jak się panu podoba, ale proszę lubić mnie i mojego jedyne go brata — wyrzekła uśmiechając się przez łzy. — A za pańskie pytanie jestem panu serdecznie wdzięczna. Pan mi dobrze życzy...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, kiedy właśnie wszedł

do pokoju dryblasowaty lokaj i podszedłszy do milczącej słuchaczki naszej rozmowy, spytał:

— Czy nie czas już nakrywać do stołu?

Panna Dorota odpowiedziała lekkim skinieniem głowy i zwracając się do nas, przemówiła po rosyjsku:

— Może państwo zechcą pofatygować się do gabinetu?

— Może państwo sami przejdą do gabinetu? Ja tu dopilnuję porządków. Jestem teraz gospodynią — oświadczyła pani Kurnatowska.

— Doskonale — zgodziłem się po przyjacielsku i podążyłem za potulną panną Dorotą do gabinetu.

W milczeniu, jak potworne widma, w chmurach tytoniowego dymu siedzieli przyjaciele i różnili w sztosy albo, jak się wyraża mój niezbyt rozmowny krewniak, ścigali zaległe należności.

Ponieważ partia była w toku — karty sypały się z mistrzowsko wprawnych, kościstych rąk Iwana Iwanowicza Berghofa — przeto nasza obecność w gabinecie nie była przez nikogo zauważona. Korzystając z tego wcisnąłem się w najciemniejszy kąt i jako tako usadowiłem się na garbatej sofce. Panna Dorota wzięła ze mnie przykład i nachmurzona oddaliła się od niemiłosiernie dymiących rycerzy zielonego stolika, też się ułokowała na garbatej sofce i pogrążyła w zadumie. Ejże, czy na pewno? Zdaje się, że po prostu bezmyślnie patrzyła na gęsty dym tytoniowy i zupełnie o niczym nie myślała. Patrząc na jej mizerną postać, po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, kto to jest i jaką rolę spełnia u pana Kurnatowskiego. Czy to jaka daleka kuzynka jego, szlachcianka, bezdomna? A może jego niania, sierota ze szlacheckiej rodziny? Może i jedno, i drugie, tylko nie uczciwa kobieta? Szanująca siebie kobieta nie mogłaby znaleźć miejsca w domu człowieka, nawet blis-

kiego krewnego, który zakłada harem z własnych poddanych wieśniaczek i ożeniwszy się z jedną ze swoich odalisek, wcale nie zamierza stać się jej przyjacielem, jej opiekunem. Jest po dawnemu jej władcą, prawdziwym sułtanem, huzarem: następnego dnia po ślubie siada sobie do kart i wiedzieć o niczym nie chce. Zrobił swoje, i basta. A ona, w prostocie ducha, z radością wita go w ogrodzie, myśli, że on, jak kto poczciwy, idzie podzielić z nią jej niewinną uciechę, chociaż przez okno spojrzeć na jej szczęście, na jej wymarzone święto! A on... jest zwierzęciem! Najobrzydliwszym zwierzęciem! A panna Dorota? Też brudne zwierzę. Uczciwa kobieta prędzej rękę wyciągnie po kawałek spleśniałego chleba, niżli będzie przyrządzała sałatkę na wystawne przyjęcie u lubieżnika i rozpustnika.

Czy jednak nie za bardzo surowo oceniłem pannę Dorotę? Wszakże ona, jeśli nie kocha, to w każdym razie nie pogardza byłą niewolnicą. A to jest dużo. Zepsuta kobieta nie robi tego. Kuzynka moja? To inna sprawa. Czymże wreszcie jest ta małomówna panna Dorota? Hieroglifem, na razie tajemniczym hieroglifem, nad którym zastanowiłby się mocno sam Champollion⁶⁸. Ale czas odsłania prawdę. Czas i pilne badania ujawniają oburzające sprawy możnych tego świata, dawno już zapomnianych przez wielkoduszne potomstwo. Czas, mam nadzieję, odsłoni i wobec mnie również postać tej zagadkowej na razie, żalostnej panny Doroty.

A zanim wejdzie lokaj i obwieści o przygotowanej uczcie, namaluję wam, łaskawi czytelnicy, obrazek namiętnej rozgrywki sztosy, a w szczególności wizerunek sztosmajstra, czyli bankiera. Nie, nie mogę! Nie jestem malarzem trywialnych, odrażających scen i bladych, drewnianych fizjonomii. Cóż zresztą jest nowego, oryginalnego w tym niemoralnym i szpetnym obrazie?

Treść ta sama — i w San Francisco, i w gabinecie Kur-natowskiego, i na pierwszym lepszym jarmarku. Deko-racja tylko nie jest ta sama. W San Francisco, na przy-kład, właściciel jaskini gry wynajmuje kobietę, a raczej imitację kobiety, żeby jak królowa piekiel Prozerpina była na tronie obecna przy turniejach szulerów.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dob-rze, że moja miła kuzynka nic nie czyta — w przeciwnym razie przeczytałaby zapiski Rotczewa o Kalifornii⁶⁹ i kazałaby swojemu mężulkowi ograbić chłopów i pojechać prosto do San Francisco po to tylko, żeby miała możliwość wystąpienia w ponętnej roli Prozerpiny. Może jej kiedy napomknąć o tej budującej roli? Ależ ona mnie wyczuje za tę wiadomość, zapomni o wszyst-kich przykrościach, jakie jej wyrządziłem, zapomni również o tym, że ja pierwszy zakomunikowałem jej nowinę o skasowaniu jej fetysza — naramienników; zapomni o wszystkim, ale mimo to nie będzie wierzyła w takie niesłychane szczęście na ziemi.

Ale nie o niej mowa — ona mi się przypadkiem na-winęła pod pióro; mowa o tym, gdzie się u nas w Ro-sji znajduje ta wielka akademia, która kształci takie bezduszne automaty, sztosmajstrów i bankmajstrów, jak na przykład Iwan Iwanowicz Berghof? Nigdzie indziej, sądzę, tylko w kawalerii. Chociaż niejednen pie-chur, mając po temu sposobność, też się nie skompromi-tuje, ale kawalerzyście nigdy nie dorówna. Nigdy. Nie darmo miła kuzynka moja przejęta jest taką czcią dla kawalerzystów, zwłaszcza dla huzarów.

Na koniec zjawił się długi lokaj i ochryplym basem oznajmił o przygotowanej uczcie. Karciarze nawet się nie poruszyli, jakby nic nie słyszeli, a ja i panna Doro-ta w milczeniu wyszliśmy do okrągłej sali będącej za-razem jadalnią.

Pośrodku sali stał okrągły, wspaniale nakryty stół, a pośrodku stołu wznosiła się zatknięta w srebrną wazę antycznego kształtu sosnowa gałąź, obwieszona cukierkami, pęczkami kłosów owsa i spowita girlandą barwinkowych kwiatków. Nie była to niemiecka choinka, lecz tak zwane hilce ⁷⁰, stanowiące konieczną ozdobę weselnego stołu u Małorosjan.

Milcząca panna Dorota spozrzała na miłą niespodziankę, sprawioną nam przez młodą panią Kurnatowską, uśmiechnęła się i przeszła do kanapy. Ja też zatrzymałem się w milczeniu przed naiwną ozdobą, która nabrała cech wykwintu. Sam Pan Bóg kształci twój umysł, moja piękna Heleno. Pięknej Heleny nie było w sali, kiedy tak myślałem przypatrując się z lubością jej dziełu. Żeby więc z kimkolwiek podzielić swój cichy zachwyty, zwróciłem się do uśmiechniętej i wciąż milczącej panny Doroty i powiedziałem jej po polsku jakiś właściwy czasom jej młodości komplement z powodu wychowania miłej Heleny. Panna Dorota zrobiła grymas mający naśladować uśmiech i na tym skończyła się jej uprzejmość.

Jeden po drugim weszli do sali karciarze i na nic nie zwracając uwagi, w milczeniu, pospiesznie siedli do stołu, nie obok siebie i nie jeden naprzeciwko drugiego, lecz tak, jak popadło.

— Podawaj! — rozkazał pan domu długiemu lokajowi. Lokaj zniknął za jednymi drzwiami, a z drugich drzwi lekko, cicho, jak promienista Aurora wyszła pani domu w białej jedwabnej sukni takiego samego kroju jak poprzednia. Zamarłem z zachwyty i ledwo mogłem się podnieść z otomany, żeby z pokorą przywitać wschodzącą gwiazdę. Karciarze nie zauważyli jej uroczystego wejścia. Z ponurym wyrazem twarzy zagłę-

bili się w swoje srebrne przybory. A ona, niczym przelekła biała gołąbka, na mgnienie oka przystanęła, nieśmiało spojrzała na gości, cicho, bezszelestnie podeszła do męża, pocałowała go w zaczerwienione czoło i w milezeniu siadła koło niego, dając mi znak, żebym zajął miejsce przy niej. Spełniłem jej wolę. Panna Dorota usiadła z drugiej strony, obok swego faworyta. Cisza panowała w naszym różnorodnym towarzystwie. Wreszcie gospodarz zamącił jej posępne królowanie, zwracając się do żony i mówiąc:

— Myślałem, że jesteś dzisiaj nie całkiem zdrowa.

— Zupełnie dobrze się czuję — odrzekła z wymuszonym uśmiechem. — I zupełnie jestem szczęśliwa — dodała patrząc mu w oczy.

— A ja nie jestem zupełnie szczęśliwy — burknął.

— Co się stało? — spytała szybko.

— Nic, moja droga, troszkę się zgrałem — odpowiedział wymuszenie.

Ona najwidoczniej nie zrozumiała, o co chodzi, i po chwili milczenia odezwała się:

— A ja dzisiaj miałam u siebie gości, moje przyjaciółki. I tak tańczyłyśmy! Jak było wesoło! Zwłaszcza kiedy przyszedł do nas nasz drogi gość — spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Któż to taki ten nasz drogi gość? — spytał gospodarz napychając sobie szerokie usta aromatycznym pâté de foie ⁷¹.

— Mój sąsiad — rzekła pokazując na mnie.

— Przypuszczam, że było panu przyjemnie w tak miłym towarzystwie? — powiedział ironicznie gospodarz.

— Więcej niż przyjemnie, wesoło! — odparłem.

— Prawda, pan jest artystą-malarzem, więc to w pana guście — wyrzekł obgryzając kostkę.

Nie uważałem za stosowne potwierdzić jego słusznej uwagi i znowu zapanowała cisza.

Piękna gospodyni straciła kontenans i nie znajdowała słów dla swoich ponurych gości. Jak głodne psy w milczeniu obgryzali kostki i popijali jakimś winem. Śpieszyli się i dławili tymi kostkami — szkoda im było czasu. Zdumiona i dotknięta pani domu niby łagodna owieczka nieśmiało spoglądała na te wilki, swoich gości, i nie wiedziała, czemu przypisać ten ponury pośpiech. Po zjedzeniu pieczystego karczarze wypili po szklance szampana, nalali po drugiej, spojrzeli po sobie, wstali od stołu, w milczeniu ukłonili się gospodyni i wyszli do gabinetu razem z gospodarzem i ze szklankami w rękach.

— A tort, a jabłka! — powiedziała zmieszana gospodyni.

— Przyślij nam do gabinetu — mówił rotmistrz wracając i wyszczerzywszy swoje białe, duże zęby, wyciągnął do żony rękę i dodał: — Podaj mi na szczęście swoją rękę.

Żona w milczeniu podała mu rękę i krzyknęła od niespodziewanie mocnego uścisku. A on jakby nigdy nic odwrócił się i wyszedł z sali.

Niczym nagrobny posąg z białego marmuru opuściła swoją uroczą główkę na wysokie piersi i nieruchomo, w milczeniu siedziała zgnębiona moja piękna Helena. Patrzyłem na nią, na jej urodę, na jej boleść i z zamierzającym sercem czekałem na coś. A ona westchnęła ciężko, smutnie się uśmiechnęła, spojrzała mi w oczy i ledwo dosłyszalnie wyszeptała:

— Wesele! — i duże, błyszczące jak diamenty łyzy połały się spod jej długich, opuszczonych rzęs.

Panna Dorota patrzyła na nią i milczała. Ja również nie mogłem wymówić ani słowa. A ona płakała, cicho

i gorzko płakała. Nie śmiałem zamącić nawet oddechem tej ciszy, podczas której na ołtarzu szczęścia domowego była składana wielka tajemnicza ofiara. Ona prosta, biedna wieśniaczka, ona, płomiennie uczuciowa, nieskazitelna, kochająca i tak brutalnie dotknięta — głęboko i po raz pierwszy w życiu odczuła tę trującą gorycz doznanej obelgi i zapłakała, nie jak zwykła kobieta, lecz jak kobieta wzniosła, która doskonale uświadamia sobie własną i w ogóle kobiecą godność. Biada ci, ledwo rozkwitła lilio Edenu! Zerwała cię burza życia i rzuciła pod nogi człowieka brutalnego, zimnego rozpustnika. Teraz dopiero poznałaś prawdziwe zmartwienie i jak nad drogim sercu nieboszczykiem zapłakałaś nad swoim umarłym szczęściem.

— Takie to wesele! — powiedziała uśmiechając się i ocierając łzy. — Myślałam, że nie będę dzisiaj płakać i zapłakałam... A pani, moja miła panno Doroto — ciągnęła dalej drżącym głosem — czemuż nie płacze? Pani jest moją matką, pani mnie za mąż wydaje. — I znowu zaczęła płakać.

Panna Dorota popatrzyła na nią badawczo i wzięła się do obierania jabłka. Pojmowałem przyczynę jej łez i jak mogłem, wytłumaczyłem jej, co to znaczy karciarz. Zrozumiała mnie i naprawdę się uspokoiła, a wkrótce tak się rozweseliła, że sobie, mnie i pannie Dorocie naląła do kielichów szampana.

— Za zdrowie pani brata! — rzekłem wznosząc kielich.

Powoli, serdecznie, czule zajrzała mi w oczy, bez słowa podała mi rękę, stuknęliśmy się kielichami i jednocześnie wypiliśmy.

— Heleno, swawolisz! — mruknęła gderliwie panna Dorota. A Helena zamiast odpowiedzi zanuciła półgłosem:

*Upytasia ja,
Ne za waszi ja.
W mene kurka nestasia,
Ja za jajcia wpytasia.* ⁷²

I dokończywszy kupletu nachyliła się do swojej starej a zrzędnej opiekunki i mocno pocałowała ją w zamurzone czoło:

— Swawolisz, Hèleno! — powtórzyła panna Dorota i wstaliśmy od stołu.

— Cóż teraz będziemy robić? — rzekła gospodyni sadowiac się na otomanie.

— Spać — doradziłem jak najzyczliwiej.

— Spać mi się nie chce. Teraz bym tańczyła, do samego rana bym tańczyła. — Mówiąc to, z uśmiechem i figlarnie spoglądała na pannę Dorotę.

— Nic łatwiejszego — stwierdziłem. — Pójdziemy znowu do pawilonu, ja będę kręcił katarynkę, a pani będzie tańczyła z panną Dorotą.

— Nie, nie tak — pannie Dorocie każemy grać, a sami będziemy tańczyć. Mamuniu moja! — dodała całując tkliwie swoją duenię. — Chodźmy do pawilonu.

— Swawolisz, Heleno! — wymruczała niewzruszona staruszka i przecząco kiwnęła głową.

— To nie będę pani czytała *Ostapa* i *Ułany* ⁷³, kiedy pani pójdzie spać. Czytam pannie Dorocie co noc — ciągnęła dalej zwracając się do mnie, — a ona jedną godzinę nie chce dla mnie pokręcić katarynki. Doprawdy, nie będę czytała! A jutro też kwiatków nie podleję przed wschodem słońca. Niech więdną! Pani więcej na tym straci. Będzie pani musiała sadzić inne, a ja tych innych też nie podleję. Pójdźmyż, moja mamusieńko, choć na godzinkę! — i wdzięcznie przytuliła się do panny Doroty.

— Swawolisz, Heleno! — odezwała się tamta swoim drewnianym głosem.

Helena zamyśliła się na chwilę i potem rzekła zwracając się do swojej duenii:

— Chodźmy lepiej spać. Rozbiorę panią, moja matenka, przykryję i będę czytała pani, do samego rana będę czytała.

— Życzę paniom dobrej nocy — rzekłem kłaniając się.

— Proszę zaczekać, zaprowadzę pana do szwajcara, bo gotów pan zabłądzić w naszym Babilonie, i oddam pana w ręce starego Prochora — mówiła wstając i poprawiając włosy.

Nie wymawiałem się od tej miłej przysługi i podążając za gospodynią, wyszedłem przez jedne z czworga drzwi. Przeszedłszy wąski korytarz i znaną już czytelnikowi czerwoną komnatę, wyszliśmy znowu na korytarz i znaleźliśmy się przy wyjściu na dwór. Moja towarzyszka zapukała we drzwi i zamiast kolosalnego szwajcara zjawił się mały, szczupły staruszek z latarnią w ręku.

— Oto pański Prochor — powiedziała do mnie, a zwracając się do staruszka, ciągnęła dalej: — A ty, Prochorze, bądź łaskaw strzec tego pana jak oka w głowie. Do widzenia — zakończyła podając mi rękę.

Ledwo zdążyłem wymówić „do widzenia”, kiedy już znikła w głębi korytarza i tylko szelest jedwabnej sukni dolatywał do moich uszu.

Stałem nieruchomo i słuchałem tego harmonijnego szelestu. Prochor też zdaje się był pod wrażeniem tej bezgłośnej harmonii. Tak upłynęło kilka minut. Prochor pierwszy ocknął się i wypuścił mię na podwórze.

Przeszedłszy niewielką przestrzeń za Prochosem albo raczej za latarnią, znalazłem się na schodach, wstąpiliśmy po nich na piętro i weszliśmy najpierw do niewielkiego, schludnego pokoiku, a potem do dużego,

oświetlonego woskową świecą. Podziękowałem i zwolniłem Prochora, rozebrałem się, zgasilem świecę i ułożyłem w czystej, świeżej pościeli.

VI

Wbrew zwyczajowi prędko zasnąłem. Spałem twardo, ale niedługo. Ledwo przez białe przezroczyste story zaczęło przenikać słabe światło, kiedy się obudziłem. Odwróciwszy się do ściany próbowałem znowu zasnąć, ale bezskutecznie. Wydarzenia minionej nocy wszystkie jednocześnie zaczęły wirować w mojej wyobraźni i nie dawały mi spokoju. Nie przypominam sobie, którą nogą wstałem z łóżka i podszedłem do okna, żeby spojrzeć na fasadę tego potwornego labiryntu, w którym spotkałem taką piękną czarodziejkę.

Podniosłem storę i pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to stary Prochor. Szedł przez podwórze z miednicą w rękach i ręcznikiem na ramieniu. Nic nie mogło mi być teraz bardziej potrzebne. Więc Prochor nie jest fuszerem w lokajskiej profesji, a z wyglądu wcale nie przypomina członka tego licznego, próżniaczego i zdemoralizowanego stanu. Podobny był raczej do krowiarza, dozorca albo ogrodnika, ale bynajmniej nie do lokaja. I skąd jej przyszło do głowy, żeby mi wyznaczyć do pomocy takiego niefachowca? Czy jej ktoś nie powiedział, że znieść nie mogę cechowych majstrów lokajskiego zawodu? Współczucie, nic więcej. Tymczasem do małego pokoiku cicho wszedł mój służący. W chwilę później z lekka zakasłał i uchyliwszy delikatnie drzwi, ukazał mi swoją łagodną, chudą fizjonomię.

— Dobry dzień panu! — powiedział ochryplym dyszkantem. — Czto że wy ne spyte? ⁷⁴ — dodał otwierając drzwi.

— Nie chce mi się spać, Prochorze! — odpowiedziałem mu w jego narzeczu.

— Nie chce się spać? — powtórzył ledwo dosłyszalnie. — Dziwy! I w karty pan nie gra, i nie śpi. Jeśli tak, to się umyjemy — mówił stawiając miednicę na krześle.

— A czyż panowie nadal grają w karty? — spytałem go.

— Grają — odparł lakonicznie.

„Zuchy” — pomyślałem również lakonicznie i przypatrując się łagodnej, smutnie uśmiechniętej twarzy Prochora, spytałem go, czy nie był kiedy ogrodnikiem albo pastuchem cudzego stada.

— Byłem i pastuchem, i ogrodnikiem — odrzekł patrząc na mnie badawczo.

— I jeszcze czym byłeś? — spytałem.

— I pałamarzem, i włóczęgą, i lirnika ślepego prowadzałem, jak jeszcze byłem mały. A teraz i lokajem wypadło mi być z woli Pana Boga. — Ostatnie słowa wymówił niemal szeptem.

Po umyciu się naprędce przy pomocy Prochora, włożyłem ubranie, wziąłem czapkę, laskę i wyszedłem do przedpokoju.

— Pan jest chyba takim samym panem jak ja pańskim lokajem — ozwał się Prochor. — Jeszcze butów nie zdążyłem wytrzeć, a pan się już ubrał.

— Jutro wyczyścisz, Prochorze — odrzekłem i wyszedłem za drzwi.

— Niech pan nie pobłądzi w naszych wertepach — poradził domyślny Prochor przysmykając drzwi.

Wyszedłem na środek szerokiego, porośniętego zieloną murawą podwórza i rozejrzałem się dokoła. Nawet we śnie nie widziałem gmachu bardziej oryginalnego i szkaradnego jak ten, który teraz zobaczyłem na jawie. Ani śladu harmonii, ani najmniejszej symetrii! W ca-

łym gmachu nie znajdzie się dwóch okien tej samej wielkości. Cały gmach jest jakoś umyślnie szpetnie urozmaïcony. Okna, drzwi, dachy, kominy — wszystko klóciło się ze sobą jak pijane baby na jarmarku. Zza jakiejś szopy z okrągłym oknem i sześciokątnymi drzwiami wyglądały trzy stare wiązy, jakby trzej chłopci podeszli popatrzeć na swoje zapijaczone, kłótlive żoniska. Wszystko, co widziałem dokoła siebie, było rzeczywiście podobne do jarmarku w momencie większego ożywienia. Z jaką myślą, w jakim celu nagromadzone tu zostało tyle bezsensownego szkaradzieństwa?

Trzeba koniecznie wejść w bliższą komitywę z Prochorem. Powinien znać chociażby ze słyszenia tego zwariowanego architekta. Ciekawe byłoby poznanie takiego dziwaka. Zdaje mi się, że jest coś wspólnego między panną Dorotą a tym gmachem. A czy nie krążą jeszcze wśród ludu podania albo pieśni o tym Babilonie? Jeżeli tak, to Prochor zapewne je zna. Stanowczo, za wszelką cenę muszę znaleźć wytłumaczenie tej niesamowitej historii.

A tymczasem wyszedłem z podwórza na szeroką topolową aleję, którą wczoraj wjechaliśmy do tego labiryntu. Z alei wydostałem się na wzgórek. Popatrzyłem dokoła — las nieprzebyty, z lasu gdzieniegdzie rzędami w różnych kierunkach sterczały wierzchołki topoli i snuł się jaskrawobłękitny dymek w stronie domu. „Czy to nie dawna kryjówka rozbójników?” — zadałem sobie pytanie i wróciłem tą samą drogą z powrotem, dziwiąc się wszystkiemu, co widziałem.

Miałem ochotę przedostać się jakoś do ogrodu. Ale jak? Tego nie wiedziałem i rozsądnie pozostawiłem tę rzecz przypadkowi. Przypadek nie omieszkał się nastęrczyć. Z alei, którą wychodziłem i teraz wracałem do domu, ukazała mi się po prawej ręce wąska drożyna

albo, jak mówią moi ziomkowie, wilcza steżka. Skorzystałem z wilczej drogi i wszedłem w ciemny lipowy las. Przeszedłszy ze sto kroków, ujrzałem w lesie sad owocowy bez żadnego ogrodzenia. Przeszedłszy sad, jak bohater z bajki stanąłem przed trzema rozgałęzieniami drożyny. Pomyślałem chwilę i wybrałem skrajną prawą ścieżkę, wiodącą, jak mi się wydawało, do domu. Wybrana przeze mnie ścieżka wiła się pomiędzy starą leszczyną, wśród której sterczały również stare, grube, rozłożyste lipy i także o suchych wierzchołkach graby i klony. Wszystko to było oświetlone ciepłym słońcem i, jak się mówi, samo aż się prosiło o pędzel malarza. Ale ja wówczas nie myślałem o malarstwie, zajmowało mnie pytanie, dokąd mnie zaprowadzi wilcza ścieżka. Żeby rozstrzygnąć tę kwestię, podwoiłem kroki, a ledwom to uczynił, natknąłem się na gruby biały korzeń leżący w poprzek dróżki. Stanąłem, podniosłem głowę. Patrzą — i widzę: stary, suchy, ogromny klon rozłożył swoje obnażone gałęzie, jak gdyby siwy patriarcha wznosił drżące ze strości dłonie nad umiłowanymi dziecięciami, modląc się dla nich o błogosławieństwo boże.

Jakkolwiek byłem zajęty myślą o kierunku tajemniczej dróżki, wszelako przed sędziwym praojcem leszczyny zatrzymałem się i o mało nie zdjąłem czapki. Tak się czasami zdarza spotkać na ulicy starca o szlachetnym obliczu i ręka mimo woli podnosi się do czapki. Myślę, że to piękne uczucie wrodzone jest człowiekowi, a nie nabyte przez wychowanie. Jakkolwiekby tam było, z prawdziwą czią zatrzymałem się przed uschłym majestatycznym klonem niby przed żywą istotą. Promienie słońca, prześliznąwszy się przez gęste gałęzie leszczyny, padły na jego starodawne obnażone stopy, to jest na korzenie, i tak efektownie, tak osobliwie pięknie oświetliły je, że odsunąłem się możliwie najdalej, siadłem w cieniu orzecha i jak prawdziwy ma-

larz jąłem się przyglądać z lubością jasnym, wspaniałym plamom na ciemnym, szarozielonym tle.

Nie pamiętam, jak długo rozkoszowałem się tym obrazem. Pamiętam tylko, że duża kropla rosy z liści orzechowego drzewa spadła mi na twarz i obudziła mnie.

Ocknąwszy się doszedłem do wniosku, że nie mam tu co robić, gdyż jasne plamy znikły. Został tylko suchy klon i jego najzwyczajniejsze korzenie. Podniosłem się leniwie, strząsałem z siebie suche liście i jakby nigdy nic puściłem się w dalszą wędrówkę po wilczej ścieżce. Ścieżka doprowadziła mnie do jakiejś szopy bez okien i drzwi, przytykającej do głównego pawilonu dworu z oknami o różnych wymiarach. Szopa mieściła w sobie zapewne jakąś firmę, „Ulęgę” albo „Rozkosz”, to znaczy stajnię albo psiarnię. Ścieżka dotknąwszy wspomnianej szopy skręciła na prawo. Poszedłem dalej. Krzewy leszczyny ustąpiły miejsca krzewom leśnego bzu, agrestu i porzeczek. Chyba więc dotarłem już do właściwego sadu dworskiego. „Dobrze”, myślę sobie i ciągnę dalej swoją zagadkową drogą. Wkrótce znalazłem się w topolowej alei. Patrząc, w końcu alei bieli się jakiś budynek. Czy to nie wczorajszy pawilon? Tak, ten sam. Przyśpieszyłem kroku i po upływie minuty stałem już przy znajomym pawilonie. Drzwi były otwarte, wchodzę i widzę milczącą pannę Dorotę siedzącą przy okrągłym stole przed ogromnym błyszczącym srebrnym imbrykiem do kawy.

— Dobry ranek — rzekłem do niej z ukłonem.

— Dobre południe — odpowiedziała kiwnąwszy głową i prawie się uśmiechnęła.

Ledwo zdążyłem bezceremonialnie usiąść naprzeciwko panny Doroty, kiedy wbiegła albo raczej przyfrunęła do pawilonu niby poranny ptaszek moja piękna Helena i zawisła na mojej szyi.

— Swawolisz, Heleno! — wymruczała gderliwie duenia i wzięła się do rozlewania kawy.

— Gdzież pan zginął? — spytała mnie szybko figlarna Helena i nie dając mi słowa wymówić, ciągnęła dalej: — A brat chciał już po pana jechać do Budziszcz. A biedny Prochor płacze ze zmartwienia. Ja też się o mało nie rozplakałam — dodała z uśmiechem. — Tak! — rzekła po chwili jakby coś wspominając. — Muszę panu powiedzieć w sekrecie pewną miłą nowinę.

I nachylając się do mnie szepnęła:

— Spodobał się pan panie Dorocie!

— Bardzo mi przyjemnie — odrzekłem śmiejąc się, a w duchu pomyślałem: „To mam dopiero szczęście!”

— Niech się pan nie śmieje — powiedziała poważnie — to bardzo rzadki traf. Jej się nie podoba nawet mój brat. Nie wiem o nikim, kto by się jej podobał, prócz mnie i Prochora. A pan trzeci, ot co! — dodała spojrzawszy na milczącą pannę Dorotę.

— A skoro tak — powiedziałem żartobliwie — to szkoda tracić drogiego czasu: swatajmy się i róbmy weselisko.

— Panna Dorota nie wyjdzie za mąż — odparła najpoważniej w świecie piękna Helena. — Od dawna jest już zakonnicą, siostrą-karmelitką i tylko ze względu na mnie przebywa tutaj i nie jedzie do swojego klasztoru.

— Heleno! Kawa stygnie! — przypomniała głośno panna Dorota.

— Zaraz, mateńko! — odrzekła czule moja piękna rozmówczyni i wyciągnęła rękę po filiżankę.

Po chwili milczenia znowu zwróciła się do mnie i powiedziała:

— Słyszałam, że pan umie malować portrety. Niech pan mi namaluje moją mateńkę, moją miłą pannę Dorotę.

— Swawolisz, Heleno! — wymruczała gderliwie panna Dorota i nieznacznie się uśmiechnęła.

— Nie swawolę, moja kochana mamuniu, nie swawolę. Kiedy pani pojedzie do swojego klasztoru, będę patrzyła na portret i będę mu czytała książkę, tak jak teraz pani czytam. Namaluje pan? — dodała, szybko zwracając się do mnie.

— I brata pan namaluje? — spytała naiwnie.

— I panią, i brata, i wszystkich namaluję.

— Jak się cieszę! Jak się cieszę! — zawołała klaszcząc w dłonie.

— A ma pan farby? — spytała po chwilowym uniesieniu.

— Mam w Budziszczach — odrzekłem.

— To tak jakby tutaj — stwierdziła i wybiegła z pawilonu.

Po upływie pół godziny wróciła i oznajmiła:

— Brat sam jedzie do Budziszcz i przywiezie panu wszystko, nawet pańskiego Trochima. Brat mój bardzo go lubi, a ja go jeszcze nawet nie znam — dodała. — Musi być dobrym człowiekiem, jeżeli brat go polubił.

— Wykapany Prochor — powiedziałem.

— To na pewno jest dobry. A czytać umie?

— Umie — odrzekłem.

— Jakżebym była rada i szczęśliwa, gdyby mój brat nauczył się czytać — powiedziała jakby do siebie i zamysliła się, oparłszy swoją piękną główkę o ramię uzałobionej, nieruchomej panny Doroty.

— Sama go nauczę czytać — wyrzekła, jakby budząc się ze snu. — Ale kto go pisać nauczy? Prochor też pisać nie umie, a czyta tylko psalterz. Niech pan poradzi, co mam robić? — dodała zwracając się do mnie.

— Nie tylko poradzę, ale i pomogę w tej złożonej sprawie — oświadczyłem i natychmiast zaproponowa-

łem Trochima na nauczyciela mojego bezrękiego bohatera.

Teraz już nie z przyzwyczajenia i nie bez powodu zawołała zgorziona panna Dorota: — Swawolisz, Heleno! — gdyż jej figlarna wychowanica nie dosłuchała do końca mojej propozycji, rzuciła mi się na szyję i zaczęła mnie całować z czułością szczerze kochającej siostry.

— Czymże się panu ja i brat wywdzięczymy za pańską uczynność? — rzekła uspokoiwszy się nieco.

— Uczynnością — odpowiedziałem spokojnie. — Proszę mnie wysłuchać — ciągnąłem dalej. — Mam taki plan. Zostawię pani swojego Trochima na cały rok. A pani puści ze mną do Kijowa swojego Prochora również na cały rok.

Panna Dorota spojrzała na mnie i jakby się przestraszyła.

— Jeśli tylko Prochor zgodzi się opuścić panią... — dodałem.

Panna Dorota znowu opuściła głowę.

— O, na pewno się zgodzi. Namówię go — oznajmiła piękna pani Kurnatowska.

Panna Dorota nachmurzyła się i spojrzała na swoją Helenę, a ta, zrozumiałwszy jej spojrzenie, ze łzami w oczach padła na kolana przed nią i całując jej ręce, mówiła:

— Mamuniu moja! Serce moje! Sama wezmę łopate i będę kopać twoje grządki jeszcze lepiej niż Prochor. Tylko pozwól mu jechać, moja mateczko, serdenko moje!

Panna Dorota chwilę milczała, potem nachyliła się do niej, pocałowała ją w głowę i ledwo dosłyszalnie rzekła:

— Zgoda.

W tym czasie nieśmiało wszedł do pawilonu Prochor i ujrawszy mnie, przeżegnał się i powiedział:

— Chwała ci, Panie Boże, królu niebieski! Znalazł się pan jednak! A ja myślałem, że pan już od nas powędrował do Besarabii — dodał uśmiechając się i ocierając pot z twarzy.

Podszedłszy do Prochora objaśniłem mu, o co chodzi, i nie przypuszczałem nawet z jego strony odmowy. Stało się inaczej. Wysłuchał mię uważnie, zamyślił się, a po kilku minutach zastanowienia popatrzył na pannę Dorotę i lakonicznie oświadczył:

— Nie pojedę.

— Dlaczego? — spytałem również lakonicznie.

— A w czyich rękach zostawię panią? — powiedział wskazując na pannę Dorotę.

— W rękach pani rotmistrzowej — rzekłem wskazując na gospodynię.

— Za młode! — stwierdził i wyszedł z pawilonu.

Stanowcza odmowa tego zupełnego biedaka bardzo mi się spodobała. Zadrasnęło to jednak moją chochłacką ambicję. To jest człowiek, a nie biernie usposobiony niewolnik, który umie tylko powiedzieć: jak pan rozkaże! Natychmiast dałem sobie słowo, że go przeciągnę na swoją stronę. W tym niezłomnym zamiarze zwróciłem się do swoich rozmówczyń, powiedziałem im o odmowie Prochora i prosiłem wpłynąć na niego, żeby pojechał ze mną do Kijowa, chociażby po to tylko, by się pokłonić pieczerskim cudotwórcom.

— Od pań teraz zależy — dodałem — czy będę mógł urzeczywistnić swój projekt.

Panna Dorota obiecała swoje współdziałanie; pocałowałem jej kościstą rękę i zaproponowałem pięknej Helenie przechadzkę ze mną, ale piękna Helena mnie, swojemu Parysowi, odmówiła. Ukłoniłem się i poszedłem do ogrodu sam.

— A dokądże pana teraz Bóg niesie? — spytał mnie stojący za drzwiami Prochor.

— Dokąd oczy poniosą — odparłem.

— Dokąd oczy poniosą — powtórzył szeptem. — A gdzie pana wtedy szukać, jak pan zabłądzi w naszym Babilonie?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć na jego rozsądne pytanie, a on patrząc na mnie, uśmiechał się i obracał w rękę swoją pasterską czapkę.

Nigdy nie lubiłem przechadzki z kimkolwiek, nawet z piękną i niesentymentalną kobietą. Przechadzka sama na sam ma dla mnie jakiś wyjątkowy urok, byłem więc w duchu zadowolony z odmowy nawet pięknej Heleny. Teraz natomiast, uznając słuszność odezwania się przewidującego Prochora, gotów byłem prosić go o towarzyszenie mi w wędrówce po zagadkowym labiryncie, czyli, jak się on sam wyraził, po Babilonie. Byłoby to nader stosowne: w czasie spaceru mógłbym wszcząć rozmowę o pannie Dorocie i dowiedzieć się wszystkich jej tajników, które mnie żywo interesowały.

— Może byś przeszedł się ze mną, Prochorze, po waszym Babilonie?

— Chodźmy — powiedział z uśmiechem i nakrył swoją łysinę czapką.

W tej samej chwili wyjrzała zza drzwi czarująca Helena i zawezwała Prochora do panny Doroty. Zrozumiałem przyczynę tej nagłej audiencji i odłożyłem śledztwo w sprawie panny Doroty do innej okazji, na razie ruszając przed siebie, dokąd oczy poniosą.

Pomiędzy dzikimi, kołącymi krzakami porzeczek i agrestu przedostałem się do lekkiego zmurszałego mostku, przerzuconego przez burozieloną kałużę bez żadnej potrzeby, gdyż kałużę tę prędzej i bezpieczniej można

było obejść. Rozsądnie obszedłem błoto i po występach między takimi samymi kolącymi krzakami wdrapałem się na górę. Na górze sterczały w nieładzie stare, na pół uschnięte topole i jedna szeroka, rozłożysta lipa, niczym tęga kupcowa wśród chudych urzędniczych żon. Położyłem się, by odpocząć na górze, ma się rozumieć, obok kupcowej. Otworzyła się przede mną panorama, ku mojemu zdziwieniu bynajmniej nie malownicza w tym nader malowniczym zakątku mojej przepięknej ojczyzny. Prosto przed oczyma miałem rozległe, nieprzerwane pasmo czarnego lasu, z którego sterczały gdzieniegdzie stożkowate wierzchołki topoli i wyglądały szeroko i nieregularnie rozrzucone, kryte dachówką budynki pańskiego dworu, zastawione szkaradnymi kominami z wijącym się z nich błękitnawym dymem. Po prawej stronie lasu błyszczał obszerny staw. Za stawem na pochyłości rozrzucona była mizerna wioska, a w jej środku wznosiła się równie mizerna drewniana cerkiewka nieokreślonej architektury. Za wioską, na spadzistym wzgórzu, machały skrzydłami, jakby się zawzięcie kłóciły z sobą, dwa wiatraki, a pomiędzy nimi po zielonym polu wiła się ciemna dróżka i ginęła w wąskim jednostajnym widnokręgu, ozdobionym dwiema niedużymi mogiłami.

Niezbyt odległy horyzont ma dla mnie, nie powiem — urok, ale pewnego rodzaju czar. Zawsze mnie coś korci, żeby się wydostać na linię horyzontu i zobaczyć, co się za nim kryje. To natarczywe uczucie nie dawało mi spokoju jeszcze w dzieciństwie. Pewnego razu, kiedy byłem sześć- czy siedmioletnim chłopczykiem, patrzyłem na podobny horyzont i wyobraziłem sobie, że za nim niebo schyliło się do ziemi i na pewno oparło się na żelaznych słupach, bo inaczej jakżeby się trzymało? Nie mogłem odmówić sobie przyjemności obejrzenia tej interesującej kolumnady. Poszedłem — i

ku niewymownemu rozczarowaniu zobaczyłem na powoli odsłaniającym się takim samym horyzoncie dokładnie taką samą wioskę jak nasza. I teraz również: leżę pod lipą, a coś mnie aż ponosi, żeby popatrzeć, co za widok otworzy się za tymi nie pohamowanymi wiatrakami. Ale filozof Bacon radzi namprzód zaspokajać pierwsze potrzeby, a potem dopiero ciekawość. Poszedłem za jego mądrą radą, tym bardziej, że żółądek mój zaczynał się już dopominać o swoje prawa.

Zaspokojenie ciekawości odłożyłem do następnego razu i tą samą drogą wróciłem do pawilonu. Nie było tam już nikogo. Nie zmieniając poprzedniej marszruty, po upływie godziny szczęśliwie przywędrowałem do kwatery głównej. Na dziedzińcu stał powóz, jak należy przypuszczać, mojego krewniaka, a jego stangret prowadził przez dziedziniec konie do powozu.

— Pojedziemy do domu? — spytałem stangreta.

— Poidemo nazad p'jatamy ⁷⁵ — odpowiedział z niezadowolaniem, okręcając lejce dokoła dyszla.

Cóż by znaczyła jego dziwaczna odpowiedź? Czyżby mój zrównoważony, beznamiętny krewniak był w rzeczy samej nie taki znowu zrównoważony i beznamiętny? Czyżby się nie oparł pokusie i jako stawkę w kartach zaryzykował swoją podstawową ruchomość? Ale „przed wyciągnięciem wniosku trzeba się przekonać” — naucza już nie Bacon, lecz jakiś inny filozof—jurysta.

Wszedłszy do swojego pokoju na pół się rozebrałem, ułożyłem swoje ciało w pozycji horyzontalnej i zamyśliłem się o tym, co widziałem wczoraj i dzisiaj. Myśli te napełniły mnie nieprzyjemnym, odrażającym uczuciem. Ona jedna tylko, moja piękna, nieskazitelna Helena, jak jasna gwiazdka świeci w tym gęstym, zabójczym mroku, a niczym obłok Magellana kontrastuje z nią ta ciemna, nieodgadniona stara panna Dorota! Cie-

kawa rzecz, jak załatwiła ostatecznie sprawę z Prochorem: jedzie Prochor ze mną do Kijowa, czy postawił na swoim? Ta właśnie myśl czy coś innego zmusiło mię, by wstać i podejść do okna. Prochor powoli szedł przez dziedziniec do mojego mieszkania, a stangret mojego krewniaka, też powoli, szedł naprzeciwko niemu. Spotkali się, dotknęli ręką czapek, na minutę zatrzymali się i rozeszli.

— Co przegrał? — spytałem wchodzącego Prochora.

— I konie, i powóz, i Kornija. Do naszego Iwana Iwanowicza. A zanim wieczór nastanie — dodał — może, jak Bóg da, przegra i siebie samego. Nasz Iwan Iwanowicz to zuch!

„Krewniak mój też się, jak widać, niezgorzej popisuje” — pomyślałem i spytałem Prochora, czym zakończył rozmowę z panną Dorotą.

— Zawiozę pana do Kijowa — odrzekł z przymusem.

— Dawno już tak powinieneś był zdecydować — powiedziałem ciesząc się serdecznie z tego, że przezwyciężyłem upór starego Chochła. Przyjrząwszy się z upodobaniem jego łagodnej fizjonomii, zadowolony z siebie, wróciłem do pokoju w zamiarze ponownego ułożenia swego ciała i godnego uczczenia osiągniętego zwycięstwa. Tuż za mną wszedł do pokoju Prochor i swoją obecnością zniweczył mój dumny zamiar. Stał przy drzwiach w milczeniu, a ja chodziłem po pokoju i też milczałem. On, zdaje się, czekał, aż ja zacznę mówić, a ja czekałem, co on mi powie. Nasze milczące tête-à-tête mogło trwać bardzo długo — zgodne to jest z chochłacką naturą — gdyby go nie przerwał stukot kół, który się rozległ pod oknami mojego mieszkania. Ów nieoczekiwany stukot skłonił Prochora do otwarczenia ust w zamiarze krzyknięcia: „Ach!” — ale ten poważny zamiar mu się nie udał. Stukot kół jeszcze od-

bijał się w moich uszach, kiedy do pokoju wszedł mój jednoręki bohater i po przywitaniu zaraportował mi, że rozkazy moje zostały ściśle wykonane.

— A gdzie Trochim? — spytałem mojego bohatera, gorliwie ściskając mu rękę.

— Jedzie karetą — odparł.

— Trochim? Karetą? — zawołałem w zdumieniu. — Proszę mi opowiedzieć na miłość boską, jakim cudem Trochim znalazł się w karecie? — spytałem uśmiechającego się brata pięknej Heleny.

— W bardzo prosty sposób. Tutejsza podróżna karetka od wielkiego postu znajdowała się w Budziszczach, więc żeby tam nie gniła na dworze, umyśliłem przywieść ją na swoje miejsce.

— Doskonale! — przerwałem mu. — Czyli że konie wziął pan u mojego kuzyna? — Pytanie to zadałem w tym celu, by konie natychmiast odesłać z powrotem. Obawiałem się, że znowu padną ofiarą jakiejś nieszczęśliwej szóstki albo czwórki.

— Po co na próżno męczyć koniska? — odpowiedział. — Pożyczyłem dwie pary wołów u ojca Sawy i te woły przyciągną tu karetę razem z pańskimi rzeczami i Trochitem Sidoru... — Ostatniego słowa nie wiadomo dlaczego nie domówił.

Śmiałem się w duchu, wyobrażając sobie mojego Trochima majestatycznie wyglądającego ze wspaniałej dormezy, ciągnionej przez cztery woły. Podziękowałem mojemu bohaterowi za trudy i chciałem już iść na powitanie Trochima.

— Bóg wie, kto dla kogo się trudzi — rzekł z prostotą i nader ujmująco, chwytając mnie za rękę. Cofnąłem rękę; wtedy objął mnie za szyję swoją jedyną ręką i jego ciemne oczy błysnęły łzami. Zaczął mnie całować po głowie. Tę wymowną scenę bez słów przerwał stary Prochor, który wszedł i spytał mnie, gdzie

sobie życzę jeść obiad: z panami w gabinecie czy z paniami w ogrodzie.

— Ani tam, ani tam — odrzekłem — przynieś nam obiad tutaj i zjemy go razem z Osipem Fedorowiczem.

— I tak dobrze! — powiedział Prochor i znikł za drzwiami.

Bohater mój zaczął się wymawiać od tej zaimprovizowanej grzeczności, zapewniłem go jednak, że jego towarzystwo jest dla mnie ciekawsze niżli towarzystwo generałów, a nawet admirałów. Ostatni wyraz przyprawił biednego inwalidę o zmieszanie, starał się je ukryć w kolorowej bawełnianej chustce do nosa.

A Prochor — stary, niedołężny Prochor! — niby kozaczek pokojowy biega a biega tam i z powrotem. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy już wszystko było gotowe: wódka, przekąski; i srebrna waza z zupą dymiła na stole. A Prochor jakby nigdy nic stał sobie przy drzwiach z serwetką w rękę i tylko się uśmiechał.

Ledwo zdążyliśmy zasiąść do stołu, a już drzwi się otwały i przyfrunęła do nas niczym lekkoskrzydły motylek sama czarująca pani domu.

— I ja będę z panami jadła obiad — oświadczyła siadając między mną a bratem. — Panna Dorota lubi ceremonie, niechaj więc sama się posila.

— Sądzę, że jej jest wszystko jedno — rzekłem.

— O, nie! Panna Dorota lubi wesołe towarzystwo.

Kiedy wymówiła te słowa, wszedł długi lokaj z wysokim srebrnym wiaderkiem i ze sterczącą w nim butelką szampana. Stawiając na stole to interesujące naczynie, lokaj wyjaśnił:

— Panna Dorota kazała.

— Podziękuj panie Dorocie. A ty, Prochorze, przynieś puchary — dodała.

W czesie obiadu Prochor zwijał się szybciej i zręczniejsz niż niejedna francuska pokojówka. Zachwycąłem

się moim przyszłym sługą. Ale kiedy doszło do butelki szampańskiego wina, to nie tylko Prochor i mój szlachetny bohater, ale nawet ja sam się zastanowiłem. Arkana tej huzarskiej sztuki pozostawały dla mnie nieznane, ponieważ jednak nie miał mnie kto zastąpić, więc wziąłem się do dzieła. Po długich wysiłkach korek nareszcie wyleciał i uderzył o sufit, a wino fontanną trysnęło na stół. Wszelako nie straciłem głowy, lecz zrećźnie skierowałem szalony strumień we właściwe koryto. Moja pomysłowa operacja wzbudziła w starym Prochorze entuzjazm. Ażeby przedłużyć ten naiwny zachwyt, zaproponowałem mu do wypicia puchar „wściekłej” wody. Prochor stanowczo odmówił. Przy pomocy miłej gospodyni przekonałem go w końcu, że nie taki straszny diabeł, jak go malują. Przeciwno takiemu argumentowi trudno było oponować, więc wszyscy czterej stuknęliśmy się i jednocześnie wypiliśmy „rozniewane” wino. Prochor lekko chrząknął i ledwo dosłyszalnie stwierdził:

— Nyczoho skazat', smaszna sobaka! ⁷⁶

VIII

Czarująca pani domu zaraz po obiedzie oddaliła się ze swoim bratem. Za nimi podążył również domyślny Prochor, a ja, po krótkim zastanowieniu, słodko, łagodnie przymknąłem swoje ociężałe powieki i ułożyłem swoją osobę na miękkim posłaniu. Ale niestety! Nie zdążyłem przekroczyć granicy, na której kończy się jawa; a zaczyna sen, kiedy do uszu moich dobiegły jakieś dziwne, niewyraźne dźwięki, podobne do wygłaszania modlitwy nad nieboszczykiem. I głos był jak gdyby znajomy, ale gdzie ten znajomy głos przemawiał, za ścianą czy pod podłogą, nie mogłem się zorientować. Otworzyłem oczy, wzrok jednakowoż nie po-

mógł słuchowi. Wstałem, podszedłem cichutko do drzwi, uchyliłem je, patrzę — w przedpokoju nie ma nikogo, a dźwięki stały się wyraźniejsze, choć w dalszym ciągu podobne były do czytania psalmów żałobnych. Może istotnie któryś z moich sąsiadów przeniósł się do wieczności? Otwieram drugie drzwi, wychodzę na schody — i co się okazuje — rzecz bardzo prosta: mój sługa Prochor, amator psalmów, żeby mi nie przeszkadzać swoim psalmolubstwem, umieścił się na ostatnim stopniu schodów i wedle wszelkich reguł cerkiewnej deklamacji donośnym głosem wygłasza: „Nie bądź zawistny ludziom chytrym ani nie zazdrość czyniącym nieprawości.” Z satysfakcją wysłuchałem psalmu do końca i wróciłem do swego pokoju dziwiąc się temu, co widziałem.

Pobożna deklamacja Prochora działała na mnie teraz inaczej. Po kilku minutach niewyraźne dźwięki zupełnie ucichły i zaczęła mi się już śnić jakaś czarowna zjawa w rodzaju pięknej Heleny, kiedy nagle rozległo się prozaiczne głośne: „Cabe-cabe!... sob! prr!” Nie mogę powiedzieć, co mianowicie, ale wydało mi się coś strasznego. Zerwałem się, podbiegłem do okna i — o widoku, godny pędzla Wquwermana! ⁷⁷ — Wspaniała dormeza, zaprzęzona w cztery olbrzymie szare woły, zatrzymała się naprzeciwko mojego mieszkania. Prochor otworzył drzwiczki i niby jakiegoś kardynała wysadzał z karety mojego skromnego Trochima. Ta oryginalna scena odpędziła ode mnie myśl nie tylko o tym, żeby się przespać, ale nawet żeby trochę poleżeć.

Ziomkowie moi, w tej liczbie i ja, najpoważniejszą materię lubią przetkać chociaż trochę, chociaż ledwo widoczną nicią humoru. Ziomek mój (ma się rozumieć, mimo woli) do tragicznego finału *Hamleta* potrafi wtrącić takie słówko, że człowiek chcąc nie chcąc się us-

miecznie. Na dowód tego wskazać mogę przykład historyczny.

Wspólnicy Iskry⁷⁸ i Koczubeja⁷⁹, pop N. N. i pisarz Podobajło, po otrzymaniu dobrej porcji batogów leżeli okrwawieni na podłodze pod rogożą i rozważali taką kwestię, czy nie zawadziłoby pożyczyć od żołnierza kropidla (batoga) na swoje nieposłuszne żony. Wszak prawda, że żarcik całkiem na miejscu i na czasie?

Przygotowuję teraz swojego Trochima do spełniania funkcji pedagoga, funkcji w najwyższym stopniu szlachetnej i poważnej. Tak też należałoby zacząć tę zbożną sprawę. A ja nie, umyśliłem ją zacząć od żarcika i żarcik ten o mało nie zniweczył mojego dobrego i poważnego zamiaru.

Bez najmniejszego powodu przyszła mi do głowy niemądra fantazja, żeby udać zagniewanego i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Kiedy Trochim przy pomocy Prochora wniósł walizę do pokoju, nawet nie spojrzałem na niego, czyli na Trochima. Zauważył to i spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Grałem swoją rolę w dalszym ciągu. Nie zwracając uwagi na zmieszanego Trochima, każę Prochorowi przyjąć według wykazu bieliznę, książki i inne rzeczy, a sam napędce ubieram się i wychodzę. Głupio, nad podziw głupio postąpiłem! Ale jak szkolarz byłem zadowolony z tego zaimprovizowanego głupstwa.

Znaną już czytelnikom wilczą ścieżką przeszedłem obok klonu-patriarchy do również znanej alei i potem do pamiętnego pawilonu. Tu powitała mnie wspólnie z bratem piękna Helena oraz panna Dorota z filiżanką herbaty w ręku. Po herbacie i wesołej, ożywionej pogawędce bohater mój wziął się do katarynki. Katarynka zaczęła piskliwie wygrywać jakiegoś walca, a ja z piękną Heleną, jak zwariowany Niemiec,

puściłem się w wir tańca. Panna Dorota wyglądała zza samowara i wyraźnie się uśmiechała. Tymczasem zaczęło się już na dobre ściemniać w pawilonie. Wyszliśmy do ogrodu i tu dopiero przypomniałem sobie o Trochimie i zakomunikowałem o jego przybyciu mojemu bohaterowi. Bohater pożegnał się, jak umiał, ukłonami i poszedł przywitać swojego profesora. Za proponowałem moim towarzyszkom spacer po wilczej ścieżce; chętnie się zgodziły i bez żadnych nadzwyczajnych przygód, jeszcze za dnia dotarliśmy do dużej topolowej alei prowadzącej do domu. W alei spotkaliśmy Iwaną Iwanowicza Berghofa, który jechał czwórką koni w powozie mojego kochanego krewniaka. Dumny z sukcesu, Iwan Iwanowicz udał, że nas nie widzi, a myśmy się też odwrócili, kiedy przejeżdżał obok nas. I dobrze ci tak, niemiecki szulerze!

Przy wejściu na niezmiernie rozległy dziedziniec spotkaliśmy naszego bohatera, który ze zgrozą powiadomił nas, że Trochim zginął.

„Oto są skutki żarcika” — pomyślałem, skłoniłem się swoim towarzyszkom i pobiegłem do mieszkania.

— Gdzie Trochim? — spytałem pośpiesznie Prochora.

— A Bóg go raczy wiedzieć — odpowiedział obojętnie.

— Nic ci nie powiedział, kiedy wychodził? — spytałem niecierpliwie.

— Powiedział... — i Prochor urwał.

— Cóż ci powiedział, mów prędzej!

— Powiedział... niech go licha... powiedział brzydkie słowo.

— Mów prędzej, wszystko chcę wiedzieć!

— Powiedział, że panu nie tylko dobry człowiek, ale sam diabeł nie dogodzi i że kiedy będzie panu potrzebny, to niech go pan w Kijowie nie szuka.

— Poproś do mnie Osipa Fedorowicza — poleciłem Prochorowi.

Prochor natychmiast wybiegł, a po chwili zjawił się u mnie zasmucony mój bohater. Wyjaśniłem mu, o co chodzi, i poprosiłem, by nie zwlekając udał się w pogoń za Trochimem.

— Na pewno jest teraz w Budziszczach u ojca Sawy — dodałem.

Bohater mój wyszedł. Po jego wyjściu, nie mając nic lepszego do roboty, zacząłem zgłębiać sens swojego głupiego żarcika.

To znaczy, że źle znałem mojego Trochima, skoro pozwoliłem sobie na podobny figiel. Głupio i jeszcze raz głupio postąpiłem! I nawet nieoryginalnie głupio! Prochor pierwszy myśli teraz, że ja jestem tyranem, że jestem wściekłym psem, że ze mną nie tylko dobry człowiek, ale sam diabeł nie wytrzyma. Jeszcze raz: głupio postąpiłem!

— Pan będzie łaskaw, jest pan proszony na pokój — oznajmił Prochor otwierając drzwi.

— A na pokojach nic nie mówią o Trochimie? — spytałem od razu.

— Bóg ich tam raczy wiedzieć. Lokaj Nazar powiada, że...

— Co powiada lokaj Nazar? — przerwałem mu.

— Że Trochim od pana uciekł.

— Kłamstwo! Trochim zostawił w Budziszczach bardzo ważną dla mnie książkę i poszedł po nią. Któż tu zawinił? Niech nie zapomina! — dodałem bez namysłu, bardzo niezręcznie, nawet niewybaczalnie głupio. I co mi strzeliło do głowy, żeby skłamać Prochorowi? W ten sposób mogłem tylko utwierdzić go w przekonaniu, że istotnie jestem wściekłym psem, i w dodatku jeszcze złośliwym psem. Jeden błąd pociąga za sobą

drugi. Jest to naturalna kolej rzeczy. Jakby się tu jednakże wyrwać z tej niemądrej kolei?

Prochor chytrze popatrzył na mnie, a ja, jakby niczego nie dostrzegając, najspokojniej pogwizdywałem cachuchę⁸⁰, a potem wzięłem czapkę i wyszedłem.

„Kłamie i jeszcze pogwizduje” — tak na pewno pomyślał sobie Prochor. Ze ściśniętym sercem wszedłem do znanej okrągłej sali imitującej namiot turecki. W sali nie było nikogo, więc rad nierad usadowiłem się na otomanie czekając, aż się ktoś pokaże. Znudziwszy się wyczekiwaniem, zdobyłem się na śmiały krok — wszedłem do gabinetu gospodarza i natrafiłem tam na scenę tego rodzaju: gospodarz i mój ukochany krewniak siedzieli w milczeniu przy wybrudzonym stoliku do gry w karty, zwiesiwszy czerwone nosy i także oczy nad szklanicami z dymiącym ponczem. Od czasu do czasu rozbrzmiewało słowo: „Moja”, i zaraz potem przesuwiał się rubel z jednego końca stołu na drugi. Długo nie mogłem zrozumieć, co się między nimi odbywa. Grają, to rzecz pewna, ale w jaką grę? Wreszcie się domyśliłem. Bawią się w „muchę”, to znaczy, w czyją szklankę pierwszej wpadnie mucha, ten wygrywa stawkę. „Wesołe chłopaki!” — pomyślałem sobie, patrząc na przyjaciół i odczuwając wstręt na widok ich obrzydliwej zabawy. Wszedłem z gabinetu nie zauważony przez nich.

W sali-namiocie w dalszym ciągu nikogo nie było. Obok dziesięciu plugawych alkówek przeszedłem do pokoju chińskiego z tajemniczymi napisami. Tam też nikogo nie zastałem. Wszedłem do ogrodu — nikogo, w pawilonie — również. Gdzież się podziała moja piękna Helena ze swoją duenią? Zadawszy sobie takie pytanie, wróciłem tą samą drogą do swojego mieszkania, położyłem się i wbiłem oczy w sufit. Po krótkim czasie Prochor otworzył drzwi i zawiadomił mnie, że je-

stem proszony na kolację i znowu jałem się wpatrywać w sufit. Nie pamiętam, do czego doszedłem w swoich drobiazgowych obserwacjach, pamiętam tylko, że się ocknąłem, zgasilem świecę, odwróciłem się do ściany i znowu usnąłem.

Obudziłem się wcześniej i przed oczyma mojej wyobraźni stanął jak żywy ponętny horyzont z dwoma wiatrakami. Muszę spenetrować, co się tam dzieje za tymi wiatrakami! Wstałem, włożyłem czapkę, wziąłem laskę i wyszedłem.

Złotowłosa, rumianolica Aurora już się umyła brylantową rosą i słała radosne uśmiechy słodko drzemiącej ziemi. Odetchnąwszy świeżym, chłodnym powietrzem, zmówiłem pacierz i skierowałem się ku szerokiej topolowej alei. Przeszedłszy aleją zatrzymałem się na rozstaju dwóch dróg. Jedną znam: prowadzi do wsi Budziszczka, a druga — Bóg wie dokąd mnie zawiedzie. Wybrałem tę, która Bóg wie dokąd mnie zawiedzie. Idę. Na prawo las, na lewo pole, a przede mną szarzej wieś zaciągnięta chmurą przezroczyściego dymu. Wchodzę do wsi. Kręta uliczka zbiega w dół i łączy się z groblą. Poniżej grobli widać młyn i gorzelnię, a z drugiej strony, niemal równo z groblą, rozległy błyszcząca staw. Za stawem tak samo szarawa wieś i kręta ulica wijąca się po czerwonym wzgórzu. Na szczycie wzgórza karczma, za karczmą wygon, pole i dwa wiatraki. O was mi właśnie chodzi, moje gołębki!

— Dobry dzień, ojczy! — zwróciłem się do siwowłosego starca, przymierzającego prymitywne drzwi do swojej kurnej chaty. — Panie Boże dopomóż! — dodałem uchylając czapki.

— Dobry dzień, synu! I tobie niechaj Bóg pomaga — odrzekł zdejmując czapkę. — A dokąd to Bóg niesie? — spytał z szacunkiem.

— Przechadzam się, ojczy! — odparłem przechodząc koło niego.

— Przechadzaj się z Bogiem, synu! — powiedział, nakrył głowę czapką i znowu wziął się do przymierzania drzwi. A ja wyszedłem na pole i poszedłem sobie polną drogą, pogwizdując jakąś ukraińską piosenkę.

Minąłem wiatraki i krok po kroku, nie wiedzieć kiedy wyostałem się na szczyt nęcącej wyżyny. I nagle stanąłem. Otworzył się przede mną widok nieoryginalny i nienowy dla mnie, ale czarowny. Obramowana ciemnym lasem, szeroka i nieskończenie długa polana rozpostarła się na pochyłym zboczu płaskowzgórza; rosły na niej w nieładzie stare dęby o suchych wierzchołkach. Napatrzywszy się do syta poczułem nagle chęć, by pomacać stopami ten stary, nieoryginalny obraz. Mocno zapragnąć, to tak jakby w połowie wykonać. Przypomniawszy sobie tę świętą prawdę ruszyłem naprzód i przechodząc od dębu do dębu niechcący natrafiłem na szeroki i głęboki rów. Patrząc, za rowem na dużej przestrzeni, liczącej chyba ze dwie wiorsty kwadratowe, zieleni się młoda aksamitna ruń. A pośród owej żywej wspaniałej zieleni jak ciemne wstążki wyciągnęły się dwa obniżki, czyli miedze, i po jednej z nich spaceruje wysoki człowiek cały w bieli. Daleki jestem od wiary w zaczarowane skarby, które szczęśliwym znalazcom ukazują się również w bieli. Ale w tym momencie o mało nie poddałem się działaniu tego bzdurnego przesądu. Dobrze, iż ów rzekomy skarb ujrzawszy mię, zaczął się do mnie zbliżać. Kiedy podszedł na kilka kroków do rowu, uchyliłem czapki, powitałem go życzeniem dobrego ranka i spytałem:

— Czyjaż to taka piękna pszenica?

— Doktora Prechtla, to jest moja. — Uchylił białego kaszkietu i dodał: — Mam honor się przedstawić.

Popatrzyłem na niego uważnie. Był to biały, czers-

twy, chudy i wysoki starzec w białej kawaleryjskiej kurtce i również białych obszernych szarawarach. Z minutę staliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie. Zamierzałem już coś powiedzieć, kiedy on niespodzianie zniweczył mój projekt pytaniem:

— Pan jest nietutejszy i zapewne pan zabłądził?

— Ma pan rację, jestem nietutejszy. Jestem artysta-malarz Darmohraj — odpowiedziałem lekko zmieszany, co mi się zawsze zdarza przy pierwszym spotkaniu.

— Pańską dłoń! Lubię artystów, prawdziwe boże dzieci — wyrzekł szybko i wyciągnął do mnie rękę. Zrobiłem to samo i znalazłem się w rowie. Skarcił mię nasamprzód za nieostrożność, potem podał mi rękę i wyciągnął mnie z rowu niczym proroka Daniela z lwiej paszczy — trochę upapranego błotem.

— Teraz przywitajmy się jak należy! — powiedział uśmiechając się i ściskając moje ręce.

— Pańskie imię? — spytałem go.

— Stepan Osipowicz Prechtel. A pańskie? — dodał szybko.

Wymieniłem mu swoje imię.

— Bardzo dobrze. Teraz chodźmy do mojej staruszki. Tak samo jak ja uwielbia artystów. — Mówiąc to wyprowadził mnie na miedzę. Ponieważ jednak droga ta okazała się za wąska dla dwóch piechurów, więc puścił mnie naprzód, a sam podążył za mną. W milczeniu przebyliśmy zieloną niwę i wkroczyliśmy do młodego, starannie utrzymanego dębowego gaju. Tu nas powitał tęgi parobczak w czystej białej koszuli i takich samych obszernych szarawarach. Chłopak zdjął czarną barankową czapkę i kłaniając się, powiedział:

— Dobry dzień, wujaszku!

— Dobry dzień, Sydorze! — odwzajemnił mi się mój nowy znajomy. — Co powiesz dobrego, Sydorze? — spytał.

— Ciotunia Zofia Samojłowna posłała mnie, żebym pana odszukał — odparł chłopak z ukłonem.

— Dobrze, skaży — pryjdemo! ⁸¹ — rzekł doktor Prechtel w moim ojcystym narzeczu, co mię niemało zdziwiło, ponieważ miałem w pamięci jego stopień naukowy i niemieckie nazwisko.

Przeszedłszy dębowy gaj znaleźliśmy się przed dużym białym domem z hankiem, czyli werandą, tudzież czterema jednakowej wielkości oknami. Zza chaty wyglądały jeszcze jakieś zabudowania, ale nie zdążyłem im się przyjrzeć, gdyż w drzwiach ukazała się dość krępa, czerstwa, ruchliwa staruszka w białym czepku o szerokim rondzie i w śnieżnobiałej obszernej bluzie.

— Przedstawiam panu moją Zofię Samojłownę — powiedział Prechtel wskazując zbliżającą się do nas staruszkę.

Ukloniłem się i wymieniłem swoje nazwisko oraz tytuł.

— Ach! — zawołała moja nowa znajoma i zwracając się do męża, spytała:

— Skąd wziąłeś takiego drogiego gościa?

— Bóg nam go zesłał, moja duszko — powiedział, czule całując swoją Zofię Samojłownę.

— Przyślę panom kawę tu do gaju, bo w pokojach jeszcze nieład — wyrzekła i szybko znikła w domu.

„Filemon i Baucis” ⁸² — pomyślałem wracając z gospodarzem do gaju.

IX

— Teraz sobie odpoczniemy — oświadczył mój przewodnik, siadając na darniowej półokrągłej ławce.

— Odpoczniemy — przytaknałem sadowiąc się obok.

Po chwili podeszła do nas białolica hoża dziewczoja w

ubiorze małosyjskim i z pokłonem powiedziała ci-
chutko:

— Gdzie pan rozkaże stół postawić?

— Nawet za wrótami, wszystko mi jedno, byleś nam
dała kawę — odparł mój amfitrion z uśmiechem.

Dziewoja spłoszyła i zasłoniła twarz białym szeroki-
m rękawem koszuli.

— Nigdy nic do rzeczy nie powiesz — odezwała się
Zofia Samożłowna, która właśnie nadeszła. — Przynieś
prędeż, Parasko, okrągły stolik — dodała zwracając się
do swojej skonfundowanej pracownicy. A starzec spoj-
rzył na mnie i chytrze mrugnął okiem, jakby mówiąc:
patrzcie, taki to ja jestem!

W ciągu jednej minuty białolica Paraska przygoto-
wała nam ucztę z najdrobniejszymi szczegółami. Na
niedużym okrągłym stoliczku pomieściła wszystko:
i dzbanek, i imbryczek do kawy, i gotowaną śmietankę
w miniaturowych garnuszkach, i bułki, i bułeczki, i su-
charki, i wreszcie dwa okazałe czarne cygara tudzież
zapałki. Brakowało tylko Zofii Samożłowny. Nie omie-
szkała i ona się ukazać, ale już nie w bluzie, tylko w
czarnej jedwabnej pelerynce i eleganckim świeżym
czepeczku. Przyłączyła się do naszego towarzystwa i po
pierwszej filiżance kawy wszczęła z nami ożywioną roz-
mowę. Opowiedziałem im szczegółowo, kim jestem i co
porabiam. A oni, albo raczej ona opowiedziała mi, nie
wdając się w drobiazgi, jak to zwykle z kobietami w jej
wieku, o swoim codziennym życiu nie napomykając
ani jednym słowem o sąsiadkach. To nader rzadkie zja-
wisko nawet u kobiet nie w jej wieku. Na zakończenie
poinformowała mnie, że ma córkę, prawdziwą piękność,
na pensji w Kijowie, i że za miesiąc jej córka opuści
szkołę, i o tym, jak córkę będzie w domu uczyła gospodar-
stwa i jak zamierza wydać ją za mąż. Tu dopiero

zaczęła się rozwodzić nad każdym szczegółem swego planu, matce jednak trzeba to wybaczyć.

Są na świecie tacy szczęśliwi ludzie, którzy nie wymagają żadnej rekomendacji, z którymi każdy, kto ich ledwo pozna, nie wiezieć kiedy zbliża się, staje się dla nich jakby krewnym bez żadnego ze swej strony wysiłku. A są też tacy najnieszczęśliwsi ludzie, z którymi zje się beczkę soli, a nie będzie się wiedziało, co to takiego: człowiek czy amfibia.

Nie wstając z darniowej ławki i nawet do połowy nie dopaliwszy cygara, dowiedziałem się, że Stepan Osipowicz Prechtel był ongiś sztabslekarzem w pułku dragonów, teraz ułanów kurlandzkich, że studia odbywał w Dorpacie i że Zofia Samojłowna jest wychowanicą hrabiny Gudowicz, żony pułkownika tegoż samego kurlandzkiego pułku dragonów, w którym on służył jako medyk, i że w miasteczku Olszanach (guberni kijowskiej) poznał się z Zofią Samojłowną, tam też pobrali się, i że z początku było im trochę ciężko, zanim Stepan Osipowicz nie dochrapał się czegoś, to znaczy zanim nie wysłużył emerytury i nie porzucił służby. Potem kupili sobie ten folwarczek, założyli gospodarstwo i żyją sobie jak u Pana Boga za piecem.

Rozgadałem się i ja ze swej strony i odmalowałem im w tęczy barwach moją piękną Helenę i jej szlachetnego, wielkodusznego brata-rycerza. Tak zaciekawilem staruszków swoim malowidłem, że ze łzami w oczach zaczęli mię prosić, abym ich poznał z bratem i siostrą, o których już słyszeli, ale jeszcze nie mieli szczęścia poznać owej zacnej pary. Obiecałem. Spodziewałem się po tej znajomości wiele pięknych i pożytecznych rzeczy dla mojej bohaterki, a jeszcze więcej dla wykształconej a pięknej panny, córki Zofii Samojłowny. Podziela się wzajemnie swoim bogactwem moralnym jak rodzone siostry, i obie będą bogate.

Staruszkowie zaprosili mnie, żebym został u nich na obiedzie. Nie odmówiłem, a w porze przedobiedniej stosownie do propozycji Stepana Osipowicza udaliśmy się na przechadzkę po jego posiadłości. Wypuściliśmy się, aby obejrzeć jego niewielkie, ale przyjemne, czyste, dobrze urządzone gospodarstwo lekarza-agronoma.

O szczegółach tego, co widziałem, będę mówił szerzej w innym miejscu, obecnie zaś nie czas i nie miejsce po temu, gdyż Zofia Samojłowna posłała już swojego Merkuriusza — Sydora, by nas zawiadomił o obiedzie. Jednakże omyliłem się: Sydor rzeczywiście szedł szukać do obiadu, ale nie nas, lecz karasi w stawie. I kiedy przechodziliśmy przez groblę, zobaczyłem skroś trzcinę, jak wyciągnął ciężką wierszę i z niej posypały się do czółna duże złociste karasie. Popatrzyłem i tylko się oblizałem. „Jakież one będą pyszne, kiedy się je usmaży i przyprawi śmietaną!” — pomyślałem i jeszcze raz się oblizałem. Karasie okazały się rzeczywiście takie, jak sobie wyobrażałem. A w ogóle obiad przeszedł wszelkie moje oczekiwania, jeśli chodzi o prostotę i czystość posuniętą aż do pedantyzmu. Po obiedzie Stepan Osipowicz zaprowadził mnie do swojej biblioteki, będącej też laboratorium, abyśmy tam przeczytali, jak się wyraził, znakomite dzieło ósmego i pierwszego mędrca Morfeusza. Minąwszy ciemną sień, wkroczyliśmy do apartamentu Stepana Osipowicza. Był to duży pokój z czterema niedużymi oknami, na których stały różnej wielkości gąsiory z różnokolorowymi płynami. Pomiedzy oknami mieściły się szafy — jedne z aptekarskimi słojami, a drugie z książkami. Na stołach suszyły się wczesnowiosenne aromatyczne zioła, a największą ozdobą pokoju były dwa łóżka z czystą, świeżą pościelą. Na tych właśnie łóżkach położyliśmy się i zasnęli, i to nie jakoś tam po złodziejsku, ale iście po gospodarsku, to znaczy do zachodu słońca.

Czytanie znakomitego utworu mędrca Morfeusza przedłużyłoby się jeszcze bardziej, gdyby się nie rozległ zza drzwi znajomy dźwięczny głos pani doktorowej, która zapytywała, czy nie chcemy się napić herbaty, na co Stepan Osipowicz lakonicznie odpowiedział:

— Chcemy!

— Skoro chcecie, to wyjdźcie do ogrodu — rzekła Zofia Samojłowna stuknąwszy czymś metalicznym w drzwi, prawdopodobnie kluczami.

Wstaliśmy, umyliśmy się, ubrali i jakby nigdy nie wyszliśmy już nie do dębowego gaju, lecz do prawdziwego sadu owocowego, znajdującego się z drugiej strony domu. Usiedliśmy na darniowej ławce pod starą, olbrzymią lipą, rosnącą pośrodku ogrodu.

— Gdyby nam ktoś tak podał wody i cukru albo konfitur — powiedział Stepan Osipowicz do idącej ku nam Zofii Samojłowny.

— Prawdziwy z ciebie Niemiec! — odrzekła uśmiechając się jednym kącikiem ust, co czyniło z niej niezwykle miłą starowinkę. — Wciąż tylko woda i cukier. A herbata gdzie? Prawdziwy Niemiec! — powtórzyła.

— Nawet nie siedziałem koło Niemca! — oświadczył bez uśmiechu Stepan Osipowicz zapalając cygaro.

Zofia Samojłowna wróciła do domu. I wkrótce potem białolica, czarnobrewa Paraska wyniosła na tacy żądany produkt, postawiła na ławce i powiedziała rumieniąc się:

— Wujaszku!... Ciotunia kazała pana spytać, czy panu nie podać jeszcze czegoś?

— Poproś ciotunię o trochę pieprzu z cebulą i musztardą, a potem dopiero o herbatę — dodał nie uśmiechając się wcale.

Jak dojrzałe jabłko spąsowiała białolica Hebe i zasłoniwszy twarz rękawem, uciekła do domu.

Rozmowa przy herbacie toczyła się najpierw przy

zarcikach Stepana Osipowicza, potem zeszła na piękną siostrę i wielkodusznego brata, a wreszcie na pannę Dorotę.

— Co to za osoba ta milcząca panna Dorota? — spytałem Stepana Osipowicza.

— Ponury fenomen psychiczny — odpowiedział. — Idiotka wskutek oszustwa i zniewagi. Jej smutna historia ściśle, a nawet familijnie związana jest ze szkaradną historią starego Kurnatowskiego, ojca obecnego właściciela Kurnatówki. Opowiem panu tę historię, gdyż znam ją lepiej niż ktokolwiek inny. I według mnie takie historie należy nie tylko opowiadać, ale nawet drukować. Ci demoralizatorzy, którzy depczą wszelkie prawa, sami są prawem chronieni od batoga, trzeba ich więc demaskować i piętnować w druku, jako nikczemnych przestępców moralnych.

Ledwo Stepan Osipowicz rozpoczął właściwą opowieść, a ja się zamieniłem w słuch, kiedy podeszła do mnie białolica Hebe i czerwieniąc się, oznajmiła półgłosem, że pyta o mnie jakiś pan z jedną ręką. Teraz dopiero połapałem się, że palnąłem niewybaczalne głupstwo: wyszedłem z domu i nie zawiadomiłem nawet Prochora, dokąd idę. Zresztą, sam wtedy nie wiedziałem, dokąd mnie oczy zaniosą.

— Co się stało? — spytali mnie nagle oboje gospodarze.

— Nic szczególnego — odparłem zmieszany. — Poszukują mnie w całej okolicy jako zbiega.

— Kto pana poszukuje?

— Człowiek, którego wielkoduszością zachwycaliśmy się niedawno.

— Czyżby on sam? Gdzież on jest?

— Otut stoit' za chatoju ⁸³ — odpowiedziała dobrodusza Paraska.

— Czego tak sterczysz? Próż go tu do nas — rzekła Zofia Samojłowna zwracając się do dziewczyny.

— Podarował nam pan dzisiaj górę złota — mówił Stepan Osipowicz ściskając mi rękę.

Białolica Paraska poszła prosić gościa do towarzystwa, a my wszyscy ruszyliśmy za nią, żeby triumfalnie mojego bohatera powitać.

— Pan mnie zna, a ja pana znam jeszcze lepiej, i basta! — W ten sposób powitał gościa Stepan Osipowicz i ściskając mu rękę oraz wskazując na Zofię Samojłowną, dodał: — A oto moja stara Niemka. Proszę dla niej o względy.

Zofia Samojłowna zrobiła głęboki dyg i z respektem popatrzyła na mojego bohatera. A on, pocziwina, zaczerwienił się jak dziewczę przy spotkaniu z nieznanym młodzieńcem i podszedłszy do mnie, szepnął mi do ucha:

— Za wrotami czeka na pana Trochim.

Zniknąłem jak kot. Za wrotami stała bryczka, a na bryczce siedział ze spuszczoną głową mój obrażony Trochim. Zobaczywszy mnie, odwrócił się. Widzę, że sprawa źle się przedstawia, zaszedłem z drugiej strony. On się wtedy odwrócił w przeciwną stronę. Kiepsko; trzeba zmienić taktykę.

— Dzień dobry, Trochimie Sydorowiczu! — powiedziałem ledwo się powstrzymując od śmiechu.

— Dzień dobry panu! — odrzekł i znowu odwrócił się ode mnie.

— Może by pan co zjadł?

— Ne chcuzu — odpowiedział przeciągle i obrócił się do mnie plecami.

Nie bez trudności udobruchałem mojego Trochima i wprowadziłem go do oświetlonego gineceum⁸⁴ Zofii Samojłowny. Na dworze już było ciemno. Przedstawi-

łem go jako wiernego sługę i współpracownika tudzież jako przysłego nauczyciela mojego bohatera.

— Brawo, młody profesorze! Będziemy się uczyli i wszystko będzie dobrze — wyrzekł Stepan Osipowicz ściskając mu rękę.

Zofia Samojłowna przyjęła go jak syna, poczęstowała sernikiem i posadziła obok siebie na kanapie. Trochim nie bez ceremonii skorzystał z jej zaproszenia, ucałowawszy przedtem jej rączkę, z czego wywnioskowałem, że jest chłopakiem obytym.

Po bynajmniej nie lekkiej kolacji ku niemałemu zdumieniu Zofii Samojłowny wybraliśmy się w drogę. Już nam bowiem kazała w stodole na słomie przygotować posłania. Gdy usłyszałem o takich wspaniałościach, zacząłem się wahać w postanowieniu wyjazdu, ale bohater mój, jak prawdziwy Spartańczyk, stanowczo wymówił się od tego niewinnego sybarytyzmu, tym bardziej że panna Dorota wczoraj wieczorem poważnie zachorowała i siostry nie ma kto zastąpić przy jej łóżku.

„Więc w tym się kryje przyczyna wczorajszej małomówności” — pomyślałem. I złożywszy gospodarzom życzenia dobrej nocy oraz obietnicę częstego ich odwiedzania, wyszliśmy na dwór.

— A jednak lepiej by panowie zrobili, gdyby prze-
nocowali u nas — mówiła stojąc w jasnym blasku świecy Zofia Samojłowna. Stepan Osipowicz odprowadził nas do wrót i przy pożegnaniu prosił nauczyciela i ucznia, aby się śmiało zwracali do niego po książki do nauki i zechcieli go informować o postępach w dziedzinie swojej pedagogicznej pracy. W milczeniu uścisnąłem mu rękę i rozstaliśmy się.

X

Zachodnia strona widnokregu jeszcze się płomieniła niczym gasnąca luna oddalonego pożaru. Na lekko czer-

wonawym tle rysował się ciemny przezroczy dębowy gaj. Zza gaju figlarną fioletową strugą wznosił się do góry dym, prawdopodobnie z kuchni Zofii Samożytowny. Gdy patrzyłem na ten niewzruszenie spokojny świat przyrody, słodkie, kojące marzenia nawiedziły moją wzburzoną duszę:

*Nie dla kramarstwa, nie dla bitwy —
Myśmy stworzeni dla natchnienia
Dla dźwięków słodkich i modlitwy.*⁸⁵

Wiersze Puszkina nie schodziły mi z języka, pókiśmy nie podjechali do wsi. Przy wjeździe do wsi zamiast pastwiskowego dida otworzył nam wrota Prochor i zamiast zwykłego powitania jął się zaklinać, że nie będzie Prochosem Chiwryczem, tylko psim synem, jeżeli od tego czasu pozwoli mi odejść od siebie chociażby na dwie piędzi. Wezmę, powiada, na sznur i będę prowadził jak tego niedźwiedzia, innej rady nie ma na takiego zwariowanego pana jak ja. Przy tych słowach Trochim popatrzył na mnie znacząco, jakby mówiąc: a co, może nieprawda?

— Posuń się na tamtą stronę — powiedział Prochor Trochimowi włączając na bryczkę. — Od samego ranka na nogach jak ten chart na polowaniu! Ruszaj — rzucił stangretowi rozkaz, sadowiąc się na siedzeniu.

Obok ledwo oświetlonej karczmy zjechaliśmy powoli z pagórka i znaleźliśmy się na grobli. Na gładkim lustrze stawu gdzieniegdzie pluskała rybka i zostawiała po sobie z wolna rozszerzający się po wodzie krąg. Przejechawszy wieś i topolową aleję, stanęliśmy na obszernym dziedzińcu. Z ciemnego tła wysunęła się czarna kobieca postać. Poznałem w niej moją piękną Helenę.

— Czy wszyscy są w domu? — spytała witając nas.

— Wszyscy! — odrzekłem i wyskoczyłem z bryczki.

— Gdzie się pan podziewał aż dotąd? — spytała

wziąwszy mnie za rękę. Powiedziałem jej o moim odkryciu.

— A co, czy nie mówiłam ci, że pan jest na pewno tam? — rzekła zwracając się do brata.

— Skądże pani doszła do wniosku, że tam mnie trzeba szukać? — spytałem mojej pięknej nocnej bohaterki.

— Ponieważ rano poszedł pan za pastwisko i nie wracał, a do folwarku doktora Prechtla jest stamtąd niedaleko, więc się domyśliłam.

„Sprytna niewiasta” — pomyślałem, podałem jej rękę i w milczeniu odeszliśmy od bryczki.

— Jak zdrowie panny Doroty? — zwróciłem się z pytaniem do mojej milczącej towarzyszki.

— Bardzo niedobrze. Jutro trzeba koniecznie wezwać Stepana Osipowicza i nie wiem, jak to zrobić. Mąż wyjechał, a ja...

— Dokąd wyjechał pani mąż? — przerwałem jej, jakby mi ciążyła jego obecność.

— Nie wiem dokąd. Wyjechał z pańskim krewniakiem, zapewne do Budziszcz — odpowiedziała nie zmieniając tonu.

Rozmowa jakoś nam się nie kleiła. Piękna Helena nie przypominała dzisiaj siebie. Podzieliłem się z nią tym swoim spostrzeżeniem i wyjaśniła mi, że jest jej dzisiaj nudno. Odmalowałem w powabnych kolorach Zofię Samojłownę i na zakończenie wyjawilem, że ma szczerą chęć bliższego poznania się z nią. Moja towarzyszka i to uprzejme oświadczenie przyjęła z wyraźną obojętnością, z czego mogłem się domyślić, że nic mi innego nie pozostaje, jak tylko życzyć jej przyjemnych marzeń i zrejterować do domu, co też całkiem rozsądnie uczyniłem.

Co ją tak bardzo niepokoi? Czyżby choroba panny Doroty, tego żywego automatu, czy nieobecność rozpustnego męża? Czy też jedno i drugie? I jedno, i drugie —

każde z osobna jest świństwem, a razem — niemoralną ohydą. A ona nudzi się bez nich. Dziwne!

Długo jeszcze wałęsałem się w ciemnościach po dziedzińcu i powtarzałem w myśli różne komunały, aż wreszcie zmęczyłem się i poszedłem do siebie do mieszkania.

W oczekiwaniu na mnie Trochim wygłaszał swojemu uczniowi wykład wstępny. Kiedy wchodziłem do pokoju, uczył go poznawać litery na okładce czasopisma „Przegląd Morski” i nader chytrze tłumaczył mu, co oznaczają dwie laseczki z kreską poprzeczną u góry i takie same dwie laseczki z kreską poprzeczną we środku. Prochor natomiast nie zwracając najmniejszej uwagi na żadną wiedzę młodzież, czytał na głos psalmy Dawida, ostrożnie przewracając poźółkłe kartki psalterza. Ta nowa scena uwolniła mię od męczącego wpływu poprzednich wrażeń. Pochwaliłem mojego bohatera za pojętność i pilność, Trochima za sumienne wypełnianie swoich nowych obowiązków, a Prochora za płynne czytanie Pisma Świętego; chciałem już pokłonić się im i iść spać, kiedy Prochor wystąpił naprzód i wziąwszy się na odwagę, zapytał mnie, co znaczą „Umiłowane przybytki Pańskie”. Przyznam się, że byłem zaskoczony tym nieoczekiwanym pytaniem, ale zaraz poszedłem po rozum do głowy i wyjaśniłem mu na chybił trafił:

— „Umiłowany przybytek Pański” — powiedziałem — nie oznacza nic innego jak tylko klasztor.

Prochor popatrzył na mnie z nabożną czcią, na obecnych ze zdumieniem, i nic więcej.

— Ja sam też tak myślałem — wyrzekł Prochor ochłonawszy z podziwu. — A może to tak nie jest, myślę sobie, a spytać nie mam kogo. Panna Dorota, chociaż czyta nasze książki, ale nie po naszemu, tylko po polsku, więc jej pytać nie ma co. Chwała Bogu, że pan się tutaj zjawił zrządzeniem boskim, bobym do końca

życia nie zrozumiał tego świętego słowa. Czy wy wczerały? — dodał zniechęca.

— Wczerał — odrzekłem.

— Kładytesia ż z Bohom ta spyt'. Chodymo, chłopcy! ⁸⁶ — zwrócił się do swoich współrozmówców.

Podczas gdy Prochor mówił, przerzucałem jakby od niechcienia „Przegląd Morski” i znalazłszy to miejsce, gdzie było powiedziane o czynie mojego bohatera, kazałem Trochimowi przeczytać na głos. Bohater mój na chwilę bardzo się stropił, słysząc swoją tajemnicę wydrukowaną w książce, ale niebawem odzyskał przytomność umysłu i powiedział:

— Gdyby nie to, że sam hrabia Wielhorski, Panie świeć nad jego duszą, przesłuchiwał nas wtedy, nikomu innemu słowa bym nie pisał.

„Niech ci ziemia lekka będzie, czcigodny rzeczniku miłości bliźniego!” — wymówiłem prawie na głos i złożwszy zacnemu gronu życzenia dobrej nocy odszedłem do swojego pokoju.

Rozstawszy się ze swoimi przyjaciółmi-protegowanymi, zacząłem gorliwie przemierzać pokój wszerek i wzdłuż. Jakkolwiek jednak z całą sumiennością wykonywałem tę pracę, skończyłem na tym, że nie ustalwszy dokładnych wymiarów pokoju, zgasilem światło i położyłem się spać. Liczyłem na twardy sen, ale wypadło całkiem inaczej. Coś mię niepokoiło, lecz co mianowicie, tego mimo wszelkich wysiłków określić nie mogłem. W owych męczących, nieskończenie długich minutach podobny byłem trochę do zakochanego, a więc tym samym do szaleńca. Ale całkowite podobieństwo w danym wypadku jest wykluczone, gdyż po pierwsze, nie jestem podchorążym, a po drugie, chociaż nie mam wysokiej rangi, mam już przecie swoje latka i przy tym wszystkim nie posiadam erotycznej kompleksji. Wszelakoż, o czymkolwiek bym się zamyślił — o starych, pięknych

dębach, o ubranym na biało Prechtlu czy o Zofii Samojłownie, o jej miłym, oryginalnym uśmiechu — zawsze i we wszystkim znajduje się ona, moja piękna i nieskazitelna, prostacza bohaterka. „Mój Boże! Mój Boże! — wołałem w myśli. — Czy zachowa ona zawsze tę świeżość, tę dziewczęcą czystość, jak zachowała ją Zofia Samojłowna? Rzecz to wątpliwa. Przepelniona jest ta moja bohaterka najczulszą, najwznieślejszą miłością. Potrzebne jej przynajmniej przywiązanie, potrzebne oparcie w kimś, gdyby się zachwiała, potrzebny wierny, rozumny przyjaciel, a nie pijany lubieżnik-remontier czy też politowania godna panna Dorota, do której przywiązała się, gdyż musiała się do kogoś przywiązać. A jeżeli ta nędzna ruina rozwali się do reszty, co wtedy? Wtedy... wtedy wszystko się może zdarzyć. Dobrze jeszcze, jeżeli wskutek dręczącej pustki uczuciowej stanie się tylko podobna do mojej bezdusznej kuzynki. A jeżeli, co też jest możliwe, utraciwszy swoją świętą godność niewieścią, stanie się po prostu służebnicą swojego męża-demoralizatora? I wreszcie wyczerpawszy resztki swojej siły moralnej, zobaczy nagle całą potworną ohydę własnego poniżenia i wtedy... wtedy stanie się budzącą litość kopia opętanej panny Doroty! Jakże odpędzić tę ciemną, złowrogą chmurę od jej zachwycająco pięknej główki?” I niby wielki Franklin zamyśliłem się nad takim moralnym piorunochronem.

Po długich rozważaniach zatrzymałem się na Zofii Samojłownie i jej córce pensjonarce. I nie odkładając tego na długi termin, postanowiłem zaraz jutro poznać ze sobą moje przyjaciółki. Ta niezbyt oryginalna myśl tak mi się spodobała, że rozwinąłem ją aż do najbardziej nieziszczalnych konsekwencji i ukołysany widokiem małych republikanów, wnucząt mojej pięknej Heleny, oraz innymi podobnymi marzeniami, zasnąłem snem sprawiedliwego.

Obudziłem się dość późno i pierwszą rzeczą, która odżyła w mojej uwolnionej z więzów snu wyobraźni, był wczorajszy projekt ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Mimo iż było to dziecię mojej własnej fantazji, nie poznałem go. Było zanadto wymyślne. Porzuciłem ten projekt i na tym samym, co poprzednio fundamentie zacząłem budować inny gmach — bardziej realny, trwały i bardziej przystosowany do miejscowego klimatu i obyczajów.

— Czy nie czas by już wstać? — powiedział Prochor delikatnie otwierając drzwi.

— Nie wiem, a jak ty sądzisz? — spytałem go podnosząc się z łóżka.

— Chyba czas. Już dwa razy przychodzili prosić pana na herbatę tam, do ogrodu — mówił rozwijając ręcznik.

Po kilku minutach podchodziłem do drzwi pamiętnego pawilonu, a ponieważ drzwi były otwarte, więc już z daleka widziałem wewnątrz niego białą, błyszczącą głowę Stepana Osipowicza.

— Jakże się pan tu znalazł? — rzekłem podchodząc do niego i kłaniając się jego rozmówczyni, pięknej Helenie.

— W bardzo prosty sposób: jestem lekarzem — odpowiedział podając mi na przywitanie rękę.

— A jak się miewa chora? — spytałem.

— Tak jak w ogóle chorzy — odparł z uśmiechem.

Pani domu poszła odwiedzić swoją chorą, ja się wzięłem do herbaty, a Stepan Osipowicz zapalił cygaro i jął wygłaszać panegiryk na cześć mojej pięknej Heleny. I właśnie doszedł do największego patosu, kiedy zjawiła się w pawilonie sama bohaterka i oznajmiła swojemu nowemu wielbicielowi, że chora śpi.

— No to chwała Bogu — powiedział uśmiechając się Stepan Osipowicz i zaproponował przechadzkę

najpierw po ogrodzie, a potem na jego folwark. „Sen się sprawdza”. — pomyślałem i, ma się rozumieć, chętnie się zgodziłem na jego uprzejmą propozycję. Piękna Helena obawiała się zostawić bez opieki chorą, ale Stepan Osipowicz, jako lekarz, zapewnił, że chora będzie spała do wieczora i obudzi się zdrowa. Pani domu wobec tego przystała również na propozycję, kazała przygotować powóz, który miał nas dogonić za pastwiskiem.

Po drodze wbiegłem na chwilę do mieszkania, wziąłem teczkę, ołówek i laskę i ruszyłem śladem moich współtowarzyszy przechadzki. Ledwo zdążyliśmy wyjść za wieś, kiedy dogonił nas powóz i przyjął do swego miękkiego wnętrza. Przejeżdżając koło jednego starego dębu kazałem stangretowi stanąć i ku zdumieniu moich współtowarzyszy wyszedłem z powozu. Na pytanie, co zamierzam robić, wskazałem na drzewo i oświadczyłem, że chcę namalować tego na poły uschniętego patriarchę. Stepan Osipowicz w milczeniu machnął ręką i kazał stangretowi jechać dalej, a ja w pewnej odległości od drzewa obszedłem wokół rozłożystego Matuzalema i nie znalazłszy odpowiedniego punktu z powodu południowego oświetlenia, położyłem się w cieniu tegoż Matuzalema, popatrzyłem z daleka na jego potężnych rówieśników i zapadłem w drzemkę.

Kiedy się obudziłem, ujrzałem, że gęsty leśny cień jakby mnie zdradził: odskoczył ode mnie na jakieś trzy sążnie. Dobrze jeszcze, że przed zaśnięciem pomyślałem o tym, by twarz zasłonić od much i komarów chustką, w przeciwnym razie zrobiłby się ze mnie istny Anglik. A gdzież jest moja teczka? Kostur pielgrzymi znajduje się na swoim miejscu, a teczki nie ma. Obszedłem kilka razy patriarchę dokoła, zajrzałem do jego szerokiej dziupli — nie ma teczki. A oś-

wietlenie jest teraz najlepsze, jakie może być, i łysy Matuzalem jakby się śmiał ze mnie, pokazując swoje kusząco wyraźnie oświetlone konary i gałęzie. Zirytowany, podszedłem do drugiego patriarchy — jeszcze lepszy, trzeci — jeszcze lepszy, a czwarty jakby uciekł z teki Calame'a i znowu aż się prosi o ołówek. O mało nie płakałem ze złości.

Skierowawszy tuzin przekleństw pod adresem niegodziwego złodzieja, wyszedłem na drogę i udałem się w stronę folwarku doktora Prechtla. Prócz Zofii Samojłowny i białolicej Paraski na folwarku nie zastałem nikogo więcej. Na pytanie, czy jadłem obiad, odpowiedziałem przecząco i natychmiast wprowadzono mnie do apartamentów pani domu i nakarmiono wszelakimi smakołykami. Dowiedziałem się przy tym, że bohaterka moja po prostu oczarowała Zofię Samojłowną, że gościła niedługo, gdyż bała się o swoją chorą pannę Dorotę i że Stepan Osipowicz pojechał razem z nią, a ona, Zofia Samojłowna, jedzie do niej na wieczorną herbatę i prosi, żebym był jej kawalerem — honor, od którego się nie wymówiłem. W pół godziny później ruszyliśmy w drogę.

XI

W topolowej alei, akurat naprzeciwko wilczej ścieżki, kazałem stanąć i poprosiłem swoją towarzyszkę, aby zeszła z bryczki, miałem bowiem zamiar zaprowadzić ją tą wilczą ścieżką wprost do pawilonu, gdzie spodziewałem się zastać panią domu i jej siwego gościa. Przypuszczenie moje nie sprawdziło się dlatego, że nie zdążyliśmy wkroczyć na ścieżkę, kiedy w końcu alei, bliżej domu, ukazała się sama gospodyni w towarzystwie Stepana Osipowicza i swego małżonka rotmistrza. Poszliśmy na ich spotkanie. Z niekła-

maną radością objęły się i ucałowały nowe znajome, a sam gospodarz z elegancją prawdziwego huzara przedstawił się Zofii Samojłownie i prosił ją, by raczyła zawitać na pokoje.

— Czy udał się panu dzisiaj rysunek? — spytał mnie chytrze Stepan Osipowicz.

— Owszem — odrzekłem starając się utrzymać powagę.

— Prawdę pan mówi? — spytał patrząc na mnie badawczo.

— Prawdę — odrzekłem tym samym tonem.

— Może nam pan pozwoli obejrzeć swoją pracę? — wtrąciła pani domu ze śmiechem.

— I pani przeciwko mnie — odparłem śmiejąc się również.

Zadowolony Stepan Osipowicz uścisnął jej po przyjacielsku rękę i natychmiast opowiedział, jak to było: jak zdradziłem ich trójprzymierze dla sztuki pięknej i jak oni w drodze powrotnej zauważyli mnie głęboko pogrążonego w tworzeniu tej boskiej sztuki. — Tak głęboko, że nawet nie zauważył, jak ukradliśmy mu z rąk jego teczkę. — Tymi słowami zakończył swoje opowiadanie Stepan Osipowicz. Opowiadanie to wywołało ogólny śmiech. Brałem i ja udział w tym śmiechu.

Musiałem koniecznie wstąpić do mieszkania, więc nie na długo rozstałem się z moimi wesołymi przyjaciółmi. Prochor powitał mnie na schodach kiwaniem głowy, jakby chciał powiedzieć: garbatego mogiła naprawi. Udałem, że nie zauważam jego delikatnej i słusznej nagany. Tu również powitał mnie mój bohater i zaproponował, bym obejrzał książki, które im przywiózł Stepan Osipowicz. Pokój, dokąd mię wprowadził, był dla niego i Trochima zarówno mieszkaniem, jak i klasą. Na podłodze stał koszyk z książ-

kami różnej wielkości i kształtu, a nad tym koszykiem jak drapieżny birkut siedział Trochim, pogrążony w oglądaniu historycznych bohaterów, w ścisłym porządku umieszczonych na pomysłowej tablicy według metody Jaźwińskiego.

Stwierdziłem wysoką wartość podarunku i wygłosiłem okolicznościowe kazanie do moich przyjaciół, jak powinni być wdzięczni Stepanowi Osipowiczowi za ten naprawdę drogocenny dar. Skończywszy mowę ze swadą oratora, zostawiłem moich przyjaciół na rozmyślaniach o tym wydarzeniu, a sam wyszedłem na dwór. Na dworze nie było już nikogo. Poszedłem do domu. Przeszedłszy korytarz i czerwony pokój-korytarz, wkroczyłem do drugiego korytarza, a potem do okrągłej sali-namiotu; dopiero tutaj znalazłem nasze towarzystwo przy stole z herbatą, zabawiane przez uprzejmego gospodarza jakąś trywialną huzarską anegdotą. Drzwi prowadzące do korytarza z dziesięcioma niedwuznacznymi alkowami były zastawione stołem, ozdobionym różnymi słodyczami i butelką jakiegoś wina. Któż to tak sympatycznie pomyślał, by zasłonić korytarz bezprawia? W każdym razie nie gospodarz. On w tej ohydnej dekoracji nie widzi nic gorszego, inaczej przecie dawno by ją skasował.

Między różnego rodzaju zmyślonymi historyjkami gospodarz opowiedział jedno zdarzenie prawdziwe — o tym, z jakim triumfem był powitany przez swoją zwariowaną połowicę mój niefortunny karciarz krewniak. I kiedy uroczyste przekleństwa doszły do najbardziej szalonego pizzicato⁸⁷, nagle ukazał się w pokoju Iwan Iwanowicz Berghof, jakby z krzyża zdjęty — wycieńczony, obdarty, w jakimś lokajskim czekmanie⁸⁸, ubłoconym i zakrwawionym.

— Zapałętał się, proszę państwa — zakończył gospodarz swoją pouczającą opowieść — zapałętał się

w niezgorszą dziurę, bodaj że do Zwienigródki, do uralskich Kozaków, i ci naszego zucha w ciągu jednego dnia obłupili jak lipę i w dodatku wygarbowali mu skórę. I całkiem słusznie zrobili! Nie wsadzaj nosa do cudzego prosa. — Tragiczna opowieść została zgrabnie zamknięta przysłowiem.

Przyjęcie herbaciane zamieniło się na cukrowe, cukrowe — na kolację, przy której uprzejmy gospodarz zalał sobie pałę nieomal po huzarsku. Finał jednakże odbył się wedle przyjętych reguł: pożegnanie, pocałunki i wielokrotnie powtarzane „do widzenia!”

Odprowadziwszy moich starych przyjaciół do bryczki, złożyłem im życzenia szczęśliwej podróży oraz dobrej nocy, popatrzyłem, jak powoli toną w nocnym mroku, i udałem się boczną dróżką do domu.

Kilka następnych dni spędziłem jak szanujący się artysta, na pracy. Jako rezultat tej pracowitości wyszedł akwarelowy obrazek, przedstawiający moją bohaterkę tak, jak ją podpatrzyłem w pawilonie, w kręgu jej szczerych przyjaciółek. Obrazek wypadł dość efektowny i pod względem podobieństwa nader udany. Zwłaszcza uroczo wypadł mój bohater wytrwale kręcący korbę katarynki. Kiedy skończyłem i pokazałem obrazek swój wszem i wobec do obejrzenia, to Kurnatowski dziesięć razy, raz po raz, przysięgał, że w życiu swoim nie widział nic piękniejszego, artystyczniejszego, w co najzupełniej wierzę, albowiem w życiu swoim oglądał tylko butelki i karty. Żeby jednak dopełnić swojego triumfu, dodałem również jego portret. Uzupełnienie to spowodowało żądany skutek: Kurnatowski wpadł w nieopisany zachwyt, nazwał mnie i przyjacielem, i bratem, i towarzyszem uczuć, i na koniec zaproponował mi honorarium w wysokości tysiąca rubli, za które musiałem stanowczo podziękować, gdyż obrazek zrobiłem dla jego żony i bez żadnej zapłaty. Moja bez-

interesowność mocno go zafrapowała. Popatrzył na mnie nie jak na towarzysza uczuć, ale jak na zamorskie zwierzę i naradziwszy się ze swoim ekonomem, zaproponował mi bryczkę — nejtyczankę, parę dobrych koni i stangreta. Ostatniego rzekłem się, natomiast resztę przyjąłem z wdzięcznością. Dawno już projektowałem zaopatrzyć się w ten nieodzowny w moim koczowniczym życiu sprzęt, ale wciąż mi się jakoś nie udawało, a tu za jednym zamachem udało się, i to bardzo niedrogo. Prochorowi nad podziw do serca przypadł mój nieoczekiwany nabytek, z czego wywnioskowałem, że upodobanie do zwierząt domowych jest w nim mocno zakorzenione.

— Czy nie czas by już było wybrać się w drogę? — spytałem go, obejrzawszy po raz dziesiąty swój nowy dobytek.

— Jeżeli pan w karty nie gra, to nie czas, a jeżeli gra, to czas — odpowiedział z chytrym uśmieszkiem.

Pochwaliłem go za dowcip i postanowiliśmy jutro wyruszyć do domu, o czym nie omieszkałem zawiadomić gościnnych gospodarzy. A ponieważ działo się to przed wieczorem i pogoda sprzyjała, uchwaliliśmy odwiedzić razem państwa Prechtłów, a jutro po drodze złożyć również wizytę moim miłym krewniakom. Kazałem Prochorowi oporządzić bryczkę i samemu się oporządzić. Prochor szybko wykonał polecenie i do Prechtłów pojechałem już na własnym wehikule.

Kiedy oznajmiłem moim starym przyjaciołom, że mam stanowczy zamiar opuścić ich nazajutrz, wzięli to za żart, nawet niezbyt stosowny. Dość naiwnie wyobrażali sobie, że bezwzględnie doczekam się przyjazdu z pensji ich ukochanej Maszy, namaluję jej portret i dopiero wtedy pojedę sobie, gdzie będę chciał. A jeśli uznam za stosowne, to mogę u nich zostać bodaj na całe życie.

— Jakiego ja bym z pana zrobił znakomitego Niemca! — oświadczył Stepan Osipowicz ściskając mi rękę.

— Ty masz tylko Niemców w głowie — przerwała mu Zofia Samożłowna. — Tu trzeba mówić o sprawie — dodała i zamyśliła się.

— O jakiejże to sprawie tak się głęboko zamyśliłaś, moja stara Niemko? — spytał łagodnie Stepan Osipowicz.

— A o takiej — odrzekła z uśmiechem. — Teraz się kończy maj, a w czerwcu odbędą się egzaminy końcowe na pensji. Niech pan mnie z sobą weźmie do Kijowa — dodała szybko zwracając się do mnie.

— Z przyjemnością — powiedziałem biorąc jej słowa w znaczeniu właściwym. A Stepan Osipowicz przeżegnał ją dużym znakiem krzyża świętego, na co ona uśmiechnęła się i poradziła mu, żeby się sam przeżegnał, co też zaraz wykonał.

— A teraz co pani rozkaże? — spytał wyciągając się przed nią po wojskowemu.

— Teraz nic, a jutro proszę przygotować bryczkę i nakarmić konie, gdyż pojutrze jadę do Kijowa. To jest wszystko, co mam do polecenia — dodała przytknąwszy palcami.

Tak tedy zgodnie z wolą Zofii Samożłowny postanowiłem odłożyć do pojutrze mój wyjazd, po czym państwo Kurnatowscy i ja pożegnaliśmy się ze starszankami i pojechaliśmy do domu.

Następny dzień upłynął na przygotowaniach do podróży oraz naukach udzielanych Trochimowi, jak się ma prowadzić wśród obcych ludzi. Wieczorem wpadłem znowu do moich starych przyjaciół; dowiedziałem się co i jak i kiedy wyruszamy w drogę. Zapadło postanowienie, by wyjechać z domu wczesnym rankiem, zjeść obiad w Bogusławiu, a na noc zdążyć do Potoków.

Złatwiwszy tę ważną kwestię, rozstałem się ze starszymi.

Przy kolacji u państwa Kurnatowskich oznajmiłem o naszym niewzruszonym postanowieniu; bohaterka moja popatrzyła na mnie długo, z wyrazem czułej serdeczności, a gospodarz kazał podać na pożegnanie butelkę szampana.

Słońce jeszcze spoczywało za horyzontem, a myśmy już byli na nogach. Prochor krzątał się koło bryczki i koni, bohater mój wraz z Trochimem — koło walizy i koszyka z pierożkami tudzież innymi wiktuałami, a ja nic nie robiłem. Kiedy wszystko zostało zakończone i Prochor uroczyście zasiadł na koźle, wtedy i ja wyszedłem na dwór, przeżegnałem się i orszak ruszył. Za bryczką poszedł Trochim z moją laską i teczką w rękach, za Trochimem podążaliśmy ja i mój bohater, trzymając się za ręce. W takiej kolejności przeszliśmy dziedziniec i kawałek topolowej alei. Ten porządek marszu został naruszony przez nieoczekiwane zjawienie się mojej pięknej Heleny. Niczym promienista jutrzienka ukazała się przed nami i oświeciła nasz kondukt. Ale to promienne światło znikło w jednej chwili: smutnie schyliwszy na piersi swoją piękną główkę w milczeniu poszła między mną a bratem i kiedy Prochor wyjechał z alei, skręcił na prawo i znikł razem z końmi i bryczką za drzewami, wówczas zatrzymała się, szybko chwyciła moją rękę i podniosła ją do ust. Nie zdążyłem wykrzyknąć: „Ach”, kiedy ona, lżejsza niż gazela, mknęła aleją do domu. Popatrzyłem na uśmiechającego się mojego towarzysza podróży i nie wiedziałem, co na to rzec.

— Siostra przyjedzie pożegnać się z panem do Zofii Samojłowny — powiedział dobrodusznie i w milczeniu poszliśmy za bryczką.

Za wsią do naszego orszaku przyłączył się wraz z

chudym psem mój stary znajomy, dziad pastwiskowy. A kiedy siedliśmy na bryczkę, Prochor, żegnając się ze swoim rówieśnikiem, rzekł mu:

— Zrobiy ż!

— Dobrze! — odparł tamten i nasza bryczka potoczyła się po drodze. Milczenie panowało nad nami aż do samego folwarku.

Na folwarku oboje staruszkowie już się krzątali koło swojej arki, to jest koło podróżnej bryczki, a ściślej biorąc krytego furgonu. Białolica Paraska wynosiła z domu woroczki⁸⁹, węzélki, koszyki, pudełka i wszystko to oddawała Stepanowi Osipowiczowi, a ten, starannie obejrzawszy proponowaną rzecz, przekazywał ją ostrożnie Zofii Samojłownie, ta zaś również oglądała tę rzecz i tak samo ostrożnie układała ją na swoim miejscu.

— Panie Boże dopomóż! — powiedziałem podchodząc do bryczki.

— Gut Morgen! — odrzekł mi Stepan Osipowicz z uśmiechem.

W tym czasie wyniesiono poduszki i olbrzymią pieczybę, a kiedy i te rzeczy zostały ulokowane w arce, Stepan Osipowicz zdjął swoją białą czapkę, przeżegnał się i powiedział:

— Chwała Bogu!

— A dywanu tośmy zapomnieli — stwierdziła Zofia Samojłowna wyglądając z arki. Wyniesiono więc i dywan.

— Teraz nic nie brakuje, duszko? — spytał Stepan Osipowicz.

— Nic! — odparła Zofia Samojłowna.

— Jeszcze raz chwała Bogu! I... — starzec chciał coś dodać, ale nie zdążył: w tym właśnie czasie podchodzili do nas państwo Kurnatowscy, zostawiwszy swój powóz za wrotami.

Po wzajemnych przywitaniach i ucałowaniach całe

towarzystwo gremialnie dokonało lustracji arki. Po zadowolającym wyniku oględzin pani domu zaproponowała kawę i lekki fryszytek⁹⁰, składający się z pieczonej indyczki, tuzina kurczaków i tym podobnych pyszności. W czasie śniadania Stepan Osipowicz prosił mojego bohatera i jego profesora, aby zechcieli stale gościć na folwarku aż do przyjazdu gospodyni. A Zofia Samojłowna zwróciła się do nich z prośbą, żeby czuwali nad jej starym Niemcem, białolicej zaś Parasce jak najsurowiej nakazała, żeby goście bez niej nie głodowali. W przeciwnym razie obiecała jej przywieźć z Kijowa figę marynowaną, a nie podarunek.

— Nie wiesz, co to za człowiek? — dodała wskazując na Stepana Osipowicza. — Jemu najzupełniej wszystko jedno, co kto je, byleby on miał swój flajsz⁹¹, a inni mogą z głodu umrzeć, o innych nie pomyśli. Ja go już — ciągnęła dalej, zwracając się do gości — trochę przyzwyczałam do rybnych potraw, bo przedtem to nie respektował ani środy, ani piątku, istny Tata... — i na tym „Tata” urwała popatrzawszy życzliwie na swojego uśmiechniętego Filemona, jakby go prosząc o przebaczenie za takie niechrześcijańskie porównanie.

Po kawie i tak zwanym lekkim śniadanku pomodliliśmy się do Boga, na minutę usiedliśmy wedle przyjętego powszechnie zwyczaju i pomodliwszy się jeszcze raz, udaliśmy się na swoje miejsca. Państwo Kurnatowscy zaofiarowali się, że nam będą towarzyszyć do Szenderyjówki, z czego bardzo się ucieszyłem. Kurnatowski, jak prawdziwy kawaler, pojechał wierzchem, a ja zająłem jego miejsce w powozie obok mojej pięknej Heleny.

Do samego miejsca rozstania piękna Helena nie odezwała się ani słówkiem. Ja również milczałem. Byliśmy bardzo podobni do młodej pary, jadącej do ślubu z woli rodziców.

Nastąpiła wreszcie chwila rozstania. Bohaterka moja w milczeniu uścisnęła mi rękę i ledwo dosłyszalnie wyrzekła: — Dziękuję panu za brata. — Rotmistrz nie zsiadając z konia tak samo uścisnął mi rękę i dziękował za jakąś przysługę, a Stepan Osipowicz ściskając moją dłoń prosił, bym się zaopiekował jego starą, poczciwą Niemką. Takeśmy się rozstali.

XII

Bohater mój nie jest taki naiwny, jak sobie wyobrażałem. Raz-dwa się zorientował, że projektowany przez nas nocleg w Potokach nie może dojść do skutku z powodu tak zwanego lekkiego śniadania i w ogóle pożegnań. Opierając się na tych danych, niepostrzeżenie przegonił nas i nie zatrzymując się w Szenderyjówce puścił się dalej do Bogusławia z myślą, która przyniosłaby zaszczyt każdemu salonowcowi: by przygotować kwaterę dla Zofii Samojłowny. Zuch marynarz! Słońce już zachodziło za horyzont, kiedy razem ze swoim profesorem powitał nas i zaprowadził do przygotowanej kwatery. Zofię Samojłownę wzruszyła do łez ta nieoczekiwana uprzejmość. Bohater mój w oczach Zofii Samojłowny zawsze był niezwykłym człowiekiem, ale teraz zasłużył sobie na miano człowieka światowego. W oczach kobiety jest to korona wszelkich cnót. Wszystko byłoby dobrze, ale oto co się zdarzyło: ledwo zdążyła Zofia Samojłowna pokazać się na ulicy przed swoją kwaterą, kiedy ją otoczył gęsty, brudny tłum najbardziej agresywnych faktorów i prawie na rękach wniósł do pokoju. Biedaczka tak dalece się zmieszala wskutek tej nowej niespodzianki, że nie mogła wymówić słowa i tylko się opędziała chusteczką do nosa od tych usługomych faktorów jak od much. Jednakże ten łagodny środek wcale nie poskutkował — faktorzy ani

myśleli się wycofać. Wtedy staruszka chwyciła w obie ręce swój olbrzymi ridykiul i zaczęła torować sobie drogę z powrotem do swojej arki. Pośpieszyłem z interwencją i przy pomocy sewastopolskiego marynarza rozproszyłem tłum Izraelitów, a Zofię Samojłownę namówiłem, by wróciła do pokoju. Na wypadek zaś ponownego napadu faktorów postawiłem przy drzwiach na warcie nieustraszonego Trochima.

Nazajutrz wczesnym rankiem, po wspólnej herbacie, ostatecznie pożegnałem się z moim dzielnym bohaterem oraz z moim byłym współpracownikiem i wiernym sługą.

Z Bogusławia przez Rosawę i Potoki dojechaliśmy następnego dnia szczęśliwie do Trzypola, a z Trzypola, brzegiem Dniepru, przez drzemiący bór, następnego z kolei dnia dotarliśmy do Kijowa, również pomyślnie. Można byłoby tę drogę przebyć nawet w ciągu trzech dni, ale my, jako dobrzy gospodarze, oszczędzaliśmy konie, a jako ludzie nieobojętni na uroki przyrody, zatrzymaliśmy się na popasy przy strumyku albo nad szerokim zakrętem Dniepru, który ni stąd, ni zowąd wcinał się w drzemiący las. I podczas gdy Zofia Samojłowna z Prochosem przyrządzała kawę, ja rysowałem sosnę albo brzozę, a konie w zamyśleniu skubały trawę i pomachiwały ogonami. Słowem, podróżowaliśmy tak, jak przystoi podróżować wszystkim porządnym ludziom. Na ostatnim popasie rysowałem kępę sosen i, dla skali porównawczej, pasącego się konia. Zofia Samojłowna parzyła kawę i jakoś niechcący wszczęła z Prochosem rozmowę o pannie Dorocie i o starym Kurnatowskim. Nastawiłem ucha, a ołówek tylko tak dla pozorów trzymałem w ręce i w ciągu pół godziny dowiedziałem się z wszystkimi szczegółami całej ohydnej historii siwego rozpustnika tudzież wzru-

szająco smutnej historii biednej panny Doroty, historii, na nieszczęście, zwykłej nawet w naszych czasach.

Na właściwym miejscu przekażę moim cierpliwym czytelnikom tę głęboko tragiczną i pouczającą historię, jeśli mi się uda, uczynię to nawet słowami samego Prochora; teraz zaś opowiem o pobycie Zofii Samożłowny w Kijowie.

Mieszkanie miałem w Kijowie akurat naprzeciwko pensji, na górze. Oddałem je do dyspozycji Zofii Samożłowny, a sam się ulokowałem czasowo w zajeździe, nie na wodach⁹², lecz na Kreszczatiku, w kamienicy architekta Berettiego. Tegoż samego dnia dzięki uczynności dobrych ludzi zaprezentowałem mojej współtowarzyszce podróży schludną, skromną i roztropną Chochłaczkę Marynę, która w zupełności zastąpiła jej białolicą Paraskę. Urządziwszy wszystko jak należy, odbyliśmy naradę: czy odwiedzić Maszę na pensji, czy też przeczekać egzaminy i zjawić się tam wprost na uroczystość rozdania świadectw szkolnych. Jako rozsądna i czuła matka odmówiła sobie przyjemności ucałowania swego jedyne go dziecięcia przed egzaminami, żeby nie oderwać go od nauki i nie zaszkodzić mu w dniu próby. W oczekiwaniu na ten rozkoszny dzień zabawiałem mojego gościa, jak mogłem i jak umiałem: raczyłem ją przechadzkami po cerkwiach i monasterach, wozilem dwa razy do parku „Porzuć smutek” i już ją nawet zacząłem zaznajamiać z tajnikami kijowskich starożytności, kiedy rozszedł się słuch o uroczystym zakończeniu egzaminów i balu na pensji, na którym pokażą się publicznie przyszłe pantery i lwice salonowe.

Nie pamiętam, dlaczego nie, mogłem towarzyszyć Zofii Samożłowni na tę podniosłą uroczystość i zobaczyć jej pięknej córeczki w krytycznych minutach egzaminów. Nazajutrz zobaczyłem ją już w objęciach

szczęśliwej, zapłakanej matki. Była to młodzianka, smukła jak latorośl topoli, zgrabna i piękna brunetka o bladej, matowej twarzy i dużych, rozumnych czarnych oczach. Po upływie pół godziny byliśmy już dobrymi znajomymi i ku nieopisanej radości matki śpiewaliśmy na dwa głosy małosyjską piosenkę:

*Zijszła zoria iz weczora,
ne nazoritasia,
Pryjszow mytyj iz pochodu,
ja ne nadywylasia.*⁹³

Młoda panna doskonale władała swoim kontraltem, który początkowo wydał mi się zbyt mało delikatny na jej wiek. Od razu ją określiłem sławnym imieniem Albini⁹⁴. Upłynęło jeszcze pół godziny i już się wzajemnie ubóstwialiśmy. Ona mnie, jako ubóstwianemu i ubóstwiającemu, powiedziała, ma się rozumieć w sekrecie, którego z nauczycieli wszystkie pensjonarki uwielbiały, a którego tylko nieliczne, oraz jakie nadały przezwiska swoim profesorom. Mineraloga F., na przykład, nazywały kupczykiem za to, że na lekcje przychodził zawsze z pudełkiem, a inspektora P. — tak zakończyła swoją dziecięcą opowieść — żadna z pensjonarek nie lubiła, bo ma kocie oczy.

Nagadawszy się pod sekretem o sprawach szczególnie ważnych, opowiedziałem jej, również poufnie, historię mojego bohatera i jego czarującej siostry. Wysłuchiwała uważnie mojej opowieści i, czego się po niej nie spodziewałem w jej wieku, głęboko się zamyśliła. Ja też się zamyśliłem i patrząc na nią sam siebie zapytywałem, czy przypadkiem nie tworzy w tej chwili poematu na ten wzniosły temat, tak jak ja tworzyłem? A dlaczegoż by nie miała tego robić? Jej niewinnej duszyczce byłoby to bliższe i właściwsze niżli zawołanemu poecie.

— Jaki zaćny, jaki szlachetny brat! — wyrzekła, le-

dwo powstrzymując łzy. — Mamo! — powiedziała zwracając się do matki — a kiedy pojedziemy do domu?

— Zaraz po spowiedzi i po komunii świętej, moje serce, zaraz potem pojedziemy — odrzekła Zofia Samojłowna całując swoje zamyślane dziecię. — Czemuś ty taka niewesoła, ptaszynko moja, rybeńko moja krasnopióra? Tęsknisz za papą? Nie tęsknij, moje serce, wkrótce go zobaczysz.

W odpowiedzi na czułe matczyne słowa córka tylko westchnęła w zamyśleniu.

— Co pan z nią zrobił? — spytała mnie Zofia Samojłowna.

— Pan mi opowiedział historię tego marynarza bez ręki.

— Naszego sąsiada? Osipa Fedorowicza? — przerwała jej domyślna Zofia Samojłowna i jakby natchnienie na nią spłynęło z nieba, powtórzyła moją opowieść z taką porywającą swadą, że słuchałem tej opowieści, jakbym nigdy nie wiedział o całym owym wydarzeniu. Odkryła w moim bohaterze takie romantyczne uroki, jakich istnienia nawet nie podejrzewałem. Na przykład do głowy mi nie przyszło, że mój bohater ma dar słowa, a zdaniem Zofii Samojłowny jest on prawdziwie złotoustym mówcą.

Opowieść o wspaniałym marynarzu i jego pięknej siostrze powtarzała się codziennie z nowymi wariacjami. Zacząłem się obawiać, żeby mój bohater wskutek częstego powtarzania jego historii nie spowszedniał w wyobraźni jego płomiennej wielbicielki. Obawy moje okazały się płonne. Ostatniej nocy przed wyjazdem z Kijowa już go widziała we śnie, pięknego, czarującego.

Pobożne moje przyjaciółki odprawiły nabożeństwo ku czci świętej Barbary-męczennicy i pewnego pięknego ranka zamknęły się w swojej arce i wyruszyły do domu. Odprowadziłem je aż do tego samego miejsca, gdzie

rysowałem kępę starych sosen i słuchałem przejmującego opowiadania Prochora o pannie Dorocie i o starym grzeszniku Kurnatowskim. Na ostatku Zofia Somojłowna prosiła mię, abym wyszukał dla Maszy fortepian i przed zimą przysłał im na folwark, co też ściśle wykonałem, jak nie można lepiej.

W Kijowie nie mogłem jakoś długo usiedzieć i po naradzie z Prochosem pewnego pięknego ranka opuściłem miasto razem z moim sługą.

Godna pozazdrosczenia, nader przyjemna jest pozycja w świecie człowieka, który od nikogo nie jest zależny. Jedzie sobie człowiek, dokąd mu się spodoba, na własnej bryczce i własnymi końmi, zatrzymuje się, gdzie chce, narysuje sobie, co uzna za ładne, i rusza dalej. Bajeczny stan! I iluż jest na świecie takich szczęśliwców, którzy nawet nie podejrzewają, iż są niezależni. Biedni, liłości godni niewolnicy znikomo drobnych pensji tudzież subtelnie obmyślanych konieczności!

Przemierzywszy wzdłuż i wszerz Wołyń i Podole i doczekawszy się w Żytomierzu jesiennego błota, wróciliśmy pomyślnie do Kijowa.

Z Żytomierza posłałem Stepanowi Osipowiczowi paczkę ogrodowych i sadowych nasion, które zebrałem u wołyńskich i podolskich agronomów, a młodym, pięknym przyjaciółkom moim zeszyt małosyjskich pieśni, spisanych przeze mnie u Podolaków i Wołyniaków. I po powrocie do Kijowa, w dwa tygodnie później, otrzymałem od Stepana Osipowicza list następującej treści:

Laskawy i niezapomniany ziomku!

Nasamprzód proszę się nie dziwić, że nazywam pana swoim ziomkiem. Byłem dotychczas świecie prze-

konany, że jestem prawdziwym dojczem, a okazało się, iż jestem takim samym Niemcem jak i pan, to znaczy prawdziwym Chochłem. I wie pan, komu zawdzięczam to odkrycie? Przede wszystkim panu, to znaczy pańskiemu fortepianowi i zeszytowi chochłackich pieśni; następnie mojej Maszy i pańskiej przyjaciółce Kurnatowskiej; no i wreszcie — mojej staruszce. Ale proszę o chwilę cierpliwości, zaraz panu wszystko opowiem po kolei. Od pierwszego spotkania Masza moja zakochała się w pańskiej przyjaciółce aż do ubóstwienia, jak się sama wyraziła. Ja i moja żona bardzośmy się ucieszyli z tego zbliżenia. Mija tydzień, drugi, a nowe przyjaciółki są nierozłączne jak Kastor i Polluks. Tylko zauważyła najpierw moja żona, a potem i ja, że nierozłączne przyjaciółki w tajemnicy przed nami czytają jakąś książkę. Nie spodobało się nam to, więc zacząłem pilniej śledzić zachowanie się nierozłącznych przyjaciółek i pewnego pięknego ranka przyłapałem je na gorącym uczynku pod lipą w ogrodzie. „Jakaż to książkę schowałeś przede mną?” — pytam córki. „Nie pokażę” — odpowiada. Prawdziwa Chochłaczka! A pańska przyjaciółka stanęła cała w pasach. Wykonałem szybki a zręczny manewr koło swojej córki i wyrwałem jej z kieszeni książkę. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie: zamiast trywialnego romansu trzymałem w rękach niemiecką gramatykę! „Głuptaski! — powiadam do nich — czemuż się z tym kryjecie?” „Helena — mówi moja Chochłaczka — chciała papie zrobić niespodziankę i znienacka zagadać z papą po niemiecku.” A to dopiero figlarki! Potem moja córka rzuciła mi się na szyję i dawajże prosić, żebym jej Helenę uczył po niemiecku, a ona będzie ją uczyła po francusku. Ja, ma się rozumieć, chętnie podjąłem się tej zbożnej pracy, tym chętniej, że jak stary osioł wyobraziłem siebie otoczonego Niemkami z Schillerem w

rękach. A jakie podziwu godne zdolności ma pańska przyjaciółka! Fortepian jednak wszystko popsuł, to znaczy właściwie nie wszystko — lekcje niemieckiego i francuskiego odbywają się regularnie, ale ja zostałem mocno okpiony. Zamiast czytać Schillera i Goethego, śpiewam przy dźwiękach fortepianu chochłackie pieśni i jeszcze w dodatku przytupuję nogą. Oto co ze mnie zrobiły pańskie rodaczki! Próbowałem schować klucz od instrumentu i zadawać większe lekcje — ale nic nie pomogło. Lekcja odrobiona jest w ciągu półgodziny i wedle umowy fortepian musi być otwarty. Taka jest w moim domu sytuacja. A rotmistrza Kurnatowskiego wcale pan teraz nie pozna. Istny baranek. Sprowadza z Petersburga fortepian dla swojej ukochanej Heleny. A pan niech przyśle mi łaskawie jeszcze jeden zeszyt chochłackich piosenek, o ile możliwości, z nutami. Na święta przyjadą do nas w gościnę pański bohater-marynarz i jego uczony profesor. Niechże i pan będzie łaskaw przyjechać razem z Prochosem, a na razie całują pana pańskie Chochłaczki, a moje przysłane Niemki, jako też ja sam. Dó widzenia! Dziękuję panu za żytomierską przesyłkę.

P.S. Panna Dorota, niestety! — nie wytrzymała biedaczka i ostatecznie postradala zmysły. Mój Boże, jakież ona nieszczęśliwa! W życiu swoim nie widziałem nieszczęśliwszej istoty. Jej choroba umysłowa ma przebieg łagodny, spokojny, tym jest wszakże smutniejsza i bardziej beznadziejna. Trucizna ta powoli od najwcześniejszej młodości wsączała się do jej organizmu — co ja mówię — do jej łagodnej, nieskazitelnej duszy. I Pan Bóg jeden wie, jak długo może potrwać jej tragiczne istnienie. Może jeszcze przeżyć kilka lat, w dziejach chorób psychicznych przykłady te nie są rzadkie. Cóż to musiał być za człowiek, co zdecydował się omamić duszę w tym czasie, kiedy zaczęła dopiero

poznawać uroki i powaby życia. Potworna i bezkarna zbrodnia!

Ale zanadto się rozpisalem. Dzieci skończyły lekcję i domagają się klucza od instrumentu — więc muszę iść. Proszę nie zapominać o pańskim starym ziomku i o moich przyszłych Niemkach. Jeszcze raz: do widzenia! I tak dalej...

Mam chwalebny zwyczaj odpowiadać natychmiast na otrzymany list. Pod wpływem przeczytanych wiadomości, jakiegokolwiek by one były, jakoś lżej się pisze: nie czuje się wysiłku, nie dostrzega się tego męczącego trudu, który zawsze związany jest ze spóźnioną odpowiedzią, gdy trzeba się usprawiedliwiać, a często gęsto kłamać, co dla mnie jest o wiele gorsze niżli ostry nóż. Najniewinniejsze kłamstwo jest w moich oczach przestępstwem kryminalnym. Zacząłem list mój tak:

Wielce szanowny przyjacielu mój i nowy mój ziomku!

Ledwo zdążyłem postawić wykrzyknik, kiedy do pokoju wszedł Prochor i powiedział mi, iż dzisiaj pogoda taka piękna, że grzech byłoby siedzieć w domu i patrzeć przez okno na ulicę, tym bardziej że chwalić Boga wszystko mamy, co potrzeba do jazdy.

— Mądrze mówisz, Prochorze — odparłem i zacząłem się zastanawiać, dokąd by tak machnąć jak najdalej. A w oczekiwaniu na szczęśliwy pomysł przeczytałem Prochorowi list Stepana Osipowicza, na co mój wierny sługa całkiem słusznie zauważył, że wszystko w liście dobrze jest napisane, tylko jednej rzeczy nie ma.

— A czegoż tu według ciebie brakuje? — spytałem go.

— Ano, po mojemu, brakuje Osipa Fedorowicza i Trochima Sydorowicza.

— Masz rację, napiszę mu o tym, a tymczasem idź i gotuj się do drogi.

Prochor wyszedł, a ja się zająłem kwestią, dlaczego stary Niemiec nic mi nie pisze o moim bohaterze i jego nauczycielu. Powiedział tylko, że przyjadą do nich, w gościnę na święta, ale skąd przyjadą — nic nie wiadomo! Dziwne to doprawdy! Przypuszczenia swoje mógłbym snuć bez końca, gdyby Prochor nie zapukał w okno i nie oznajmił, że gotów jest do drogi choćby na koniec świata.

XIII

Z natury swojej należę do kategorii ludzi roztargnionych i po części niezdecydowanych. Te, rzecz można, niewinne wady moje częstokroć stawiały mię w śmiesznym, a niekiedy nawet nieprzyjemnym położeniu. Teraz, na przykład, całkiem nieopatrznie zrobiłem z siebie takiego głupca, że tylko mnie na wystawę posłać, dobry byłby eksponat. Pojechałem z Prochosem do Browarów, no i dobrze — trzeba było wrócić, napisać list do Prechtla i sprawa skończona. To ja nie: musiałem pojechać jeszcze do Ogławu, skręcić do Baryszówki, odwiedzić starego prokuratora w Boryspolu. Bardzo mi to było potrzebne! A tymczasem minął miesiąc i listu nie zdołałem napisać. Dobrze jeszcze, że pomyślałem o tym, żeby wysłać pocztą nuty, książki oraz jeszcze jeden zeszyt małosyjskich pieśni. Bo moi poczciwi chutornicy gotowi byli pomyśleć, że przeniosłem się już na łono Abrahama. Mało tego, że brzydko — niegodziwie. Piękna myśl! I właśnie odpowiednia do mojej kompleksji: nie pisać do wiosny, a na wiosnę spaść do nich z wizytą jakby prosto z nieba. Wspaniały powinno to dać efekt! Ale po efekcie trzeba będzie swoją drogą przeproszać, kłamać i czer-

wienić się. Więc lepiej teraz napiszę, niech sobie myśla, co chcą, a ja przynajmniej oczyszczę swoje sumienie. Wypada jednakże napisać tak, aby widoczna była prawda, lecz prawda upoetyzowana. W tym celu zacząłem list od następującego epigrafu:

*Przez nasze najpiękniejsze lata
Niby motyle przefruwamy,
Szczęścia prawdziwie nie zaznamy,
Młodością dusza jest bogata,
A pychy w niej aż nadto wiele!
Przed nami jasny szlak się ściele,
Tak nam najlepsze schodzą lata.*

I zamiast jednej zwrotki przepisałem cały wiersz, no i w tym samym tonie nakreśliłem list. Efekt był nadzwyczajny. Pod wierszami zapomniałem dopisać; W. Kuroczkin ⁹⁵, toteż przyjaciółki moje nie omieszkały umieścić mnie w panteonie poetów o światowej sławie. Oto jakie mogą być skutki tak zwanego niewinnego roztargnienia! Bez żadnej myśli z góry powziętej można się stać samozwańcem. Wybrnąłem z sytuacji w ten sposób, że posłałem moim chutornikom grudniowy zeszyt „Biblioteki do czytania” z 1856 roku i po takim argumencie rozczarowali się i zmniejszyli swoje uznanie dla mnie tylko o połowę. W ich pojęciu mimo wszystko zostałem wielkim poetą z tego jedynie względu, że przeze mnie zapoznali się z owym genialnym utworem poetyckim.

Zima z kontraktami tudzież innymi przyjemnościami nie wiedzieć kiedy mignęła przede mną. W obliczu marcowego słońca zawstydził się i ściemniał biały śnieg. Strumienie wesoło poruszały się w górach i pobiegły do swojego Dniepru-Białogłowca, by go zawiadomić o nadejściu święta bogini Jary ⁹⁶. Z miłością przyjął rozszczębiotane maleństwa dostojny starzec i

rozpostarł poły swojej niebieskiej szaty nieomal do samych Browarów. Karczma Riazanowa wylała się z wody niczym głowa topielca, a most-olbrzym jak morski potwór wyciągnął się w poprzek Dniepru i ukazuje zdumionemu człowiekowi swój ciemny grzbiet wśród błyszczącego odmetu. Przepiękny, wspaniały obraz!

Już nawet nie wiosna — sam jej zapach zdolny jest wypędzić mnie w pole nie tylko z Kijowa, ale choćby z samego Paryża, co udowodniłem w ubiegłym roku swoją żółwią przechadzką po świeżym wiosennym błocie. Ale jestem o rok starszy i mniej czuły na wrażenia zewnętrzne. Mimo to wszakże trudno mi było wymówić fatalne słowo: „Nie pojedę!” — to znaczy, póki błoto nie obeschnie. Aliści wymówiłem owo fatalne słowo, a jeżeli już coś kiedyś powiedziałem, to tak, jakbym wydrukował: żadna siła na ziemi nie zmusi mnie do zmiany raz powziętego postanowienia. Mogę się tym bez przechwałek poszczycić.

Siedzę ze ściśniętym sercem w Kijowie, a siódmy kwietnia (dzień Paschy) wisi mi, że tak powiem, nad głową. Błoto zaś, jakby naumyślnie, staje się coraz rzadsze i rzadsze. Deszcze padają bez ustanku. Wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie — i niebo, i ziemia. Zobaczmy, kto kogo zwycięży! I z pewnością zwyciężyłbym swoim uporem i niebo, i ziemię, ale zdarzyło się co następuje. W sam dzień św. Łazarza, w niedzielę, dostaję od nowego ziomka mojego, pana Prechtla, list o treści nader interesującej. Ten list właśnie zachwiał moją energiczną, a właściwie mówiąc, chochłacką naturą. Ażeby nieufni czytelnicy nie powiedzieli, że kręcę ogonem, więc jako dowód mojej nieskazitelności przytaczam w tym miejscu list szanowanego przeze mnie Stepana Osipowicza Prechtla — niech sami osądzą, czy słusznie postąpiłem w tym tak niezwykłym wypadku.

Wielce łaskawy ziomku!

Muszę zacząć od tego, że jest pan egoistą i to zakamieniałym, zimnym egoistą. Chociaż dobroduszne Niemki moje zapewniają mnie, że jest pan tylko leniuchem, a co za tym idzie — największym poetą-artystą (prawda, jakie naiwne pojęcie?), ale mnie starego wróbla na plewy się nie weźmie. Widziałem nieraz tych wielkich twórców! Lecz nie o to chodzi, tylko o coś innego. Wszyscyśmy, poczynając od pańskiej przyjaciółki Heleny, oczy wypatrzyli spodziewając się pana u nas na święta, a pan co?... No i czy nie zasługuje pan po tym wszystkim na miano egoisty? A jak wesoło było u nas — po prostu cudownie! Bohatera swojego i jego dostojnego profesora nie poznałby pan: eleganci, najwyższej klasy eleganci! Masza moja... ale Bóg z nią! Potrzebny mi jest człowiek, a nie błyskotliwe zero. A bohater pański... ale o tym potem. Szkoda, że pan nie przyjechał. Pana tylko brakowało na owym wyłącznie chochłackim przyjęciu. Niechże pan przyjedzie na Wielkanoc, koniecznie niech pan przyjedzie! Zobaczy pan u nas duże zmiany. Żona moja odmłodziła i wypiękniła, ja też. Masza i jej przyjaciółka Helena stały się prawdziwymi Niemkami i zamierzam po pana przyjeździe urządzać niemieckie wieczory literackie, o ile tylko nie przywiezie pan nowych chochłackich pieśni. Rotmistrza Kurnatowskiego wcale pan nie pozna — wspaniały chłop! Kuzynkę pańską nazywa bezduszną lalką, a jej prawowitego małżonka — osłem w huzarskim mundurze. Panny Doroty już pan w ogóle nie zobaczy i powie pan — chwala Bogu: niedawno właśnie umarła. Niech pan przyjedzie, to panu zakomunikuję ciekawe szczegóły jej smutnej, a tak pouczającej biografii. A teraz, żeby pana bardziej zainteresować, powiem, że była ona ro-

dzoną matką rotmistrza Kurnatowskiego. Do widzenia! Całują pana moje Niemki i ja.

PS. Paplałem, paplałem, a najważniejszej rzeczy nie powiedziałem — że Kurnatowski z huzara staje się człowiekiem. Oto dowód: burzy ojcowskie gniazdo i buduje nowe, ludzkie pomieszkanie. Nie gra w karty, nie pije i pańskiego bylego sługę Trochima kształci za swoje pieniądze w białocerkiewskim gimnazjum. Jakże środowisko zmienia człowieka! Od zeszłej jesieni bohater pański i jego profesor-gimnazysta mieszkają w Białej Cerkwi i uczą się. Sprawę tę, prawdę powiedziałem przy pomocy pańskiej pięknej Heleny. Zresztą, wszystko jedno, kto to uczynił; grunt, że uczynił dobrze. I zgrzeszy pan niepomiernie, jeżeli nie przyjedzie pan do nas na święta, chociażby po to, żeby popatrzeć na swojego Trochima-gimnazystę i na dzielnego obrońcę Sewastopola, na mojego przyszłego... jakież tu mogą być sekrety! — na mojego przyszłego zięcia.

— Prochorze! Prochorze! — zawołałem wybiegając do przedpokoju. Z psałterzem w ręku zjawił się Prochor.

— Jedziemy, gotuj się do drogi! Dzisiaj jedziemy! — powiedziałem mu, jak mogłem najszybciej, na co on obojętnie odrzekł:

— Dobrze! — i poszedł gotować się do drogi.

K. Darmohraj

16 lutego 1858 roku

PRZYPISY

Fragmenty *Przejażdżki...* zostały po raz pierwszy opublikowane przez W. Horlenkę (pt. *Z nie wydanej opowieści T. Szewczenki*) w kijowskiej gazecie „Trud” (r. 1881). W całości opowiadanie to (z wieloma błędami) ukazało się na łamach czasopisma „Kijewskaja Starina” w r. 1887.

Pierwszą część opowiadania Szewczenko napisał bardzo szybko. Na rękopisie figuruje data 30 listopada 1856 roku. Praca nad częścią drugą trwała znacznie dłużej. Pod datą 14 lutego 1858 roku Szewczenko zanotował w swoim „Dzienniku”: „Skończyłem wreszcie drugą część *Marynarza*” (pierwotny tytuł opowiadania).

¹ *Ukrainskaja poezija T. Padury*, Tomasz Padurra (1801—1871), utalentowany poeta polski pochodzenia ukraińskiego, piszący zarówno po polsku, jak i po ukraińsku. Syn dawnego żołnierza spod Maciejowic, wnuk konfederata barskiego. Tomasz Padurra był w swojej działalności politycznej i twórczości poetyckiej rzecznikiem i piewcą zbliżenia narodowego i państwowego Polaków i Ukraińców. Warto zaznaczyć, iż m. in. przełożył pięknie na język ukraiński szereg wierszy Mickiewicza. Za życia Szewczenki ukazały się dwa wydania utworów poetyckich Padurry: 1) *Pienia Tomasza Padurry* (wydanie korsarskie K. Jabłońskiego, Lwów 1842); 2) *Ukrainky z nutoju Tymka Padurry* (wydanie G. Glücksberga, Warszawa 1844). W obydwóch tych wydaniach wiersze ukraińskie drukowane były zgodnie z wiekową tradycją utrzymującą się na Ukrainie prawobrzeżnej — alfabetem łacińskim (Szewczenko w swoim opowiadaniu pisze: „...czytam tytuł wydrukowany bodaj że s ł o w i a ń s k i m i * literami”). Tytuł *Ukra-*

* podkreślenie moje — J. J.

inska poezja T. Padury, wymieniony przez Szewczenkę w *Przejażdżce...*, należy w świetle powyższych informacji uznać za wymyślony przez autora (a może po prostu zawiodła go pamięć?). Należy dodać, że ukraińskie wiersze Padurry, stylizowane na modłę ludową, cieszyły się wielkim powodzeniem u ludu Ukrainy; wiele z nich weszło na stałe do skarbnicy folkloru ukraińskiego, chociaż o autorze tych wierszy nikt tam już dzisiaj nie pamięta. Szewczenko bardzo krytycznie oceniał twórczość Padurry; w „Dzienniku” swoim pod datą 20 maja 1858 roku nazywa Padurrę „mizernym” poetą.

² „Skalkowski kłamie...”, Apollon Skalkowski (1808—1894), historyk rosyjski. Napisał *Historię Nowej Siczy i ostatniego zaporoskiego kosza* (a nie *Historię nowego kosza*, jak podaje Szewczenko). W dziele tym, wydanym w Odessie w latach 1841—1846, bardzo surowo osądził tzw. „hajdamaczyznę” na Ukrainie w XVIII wieku. Przeciwko takim poglądom, w obronie hajdamaków, wystąpił Szewczenko w wierszu pt. *Zimnyj jar* (1845).

³ Łycar (ukr.), tu: rycerz.

⁴ Chochły, na pół żartobliwa, na pół pogardliwa nazwa Ukraińców, używana niekiedy w języku rosyjskim.

⁵ „... wożą z Sewastopola wziętych do niewoli angielskich lordów...”, akcja opowiadania Szewczenki toczy się w okresie tzw. wojny krymskiej (1853—1856), kiedy armie koalicji antyrosyjskiej (złożonej z Anglii, Francji, Turcji i Królestwa Sardynii) oblegały od strony lądu i morza twierdzę Sewastopol na Krymie.

⁶ Hebe, w mitologii greckiej bogini młodości, przedstawiana jako młoda dziewczyna z dzbankiem w ręce.

⁷ „Przegląd Morski” (Morskoj Sbornik), pismo urzędowe, wydawane od 1848 r. przez rosyjskie ministerstwo marynarki.

⁸ Kantoniści, w dawnej Rosji chłopcy przymusowo od dziecka zaliczani do służby wojskowej. Tworzono z nich specjalne oddziały; część umieszczano w tzw. szkołach kantonistów. Instytucja ta, która powstała na początku XVIII w., została zniesiona w 1856 roku.

⁹ Kwasza (ukr.), żur.

¹⁰ Berlinka albo dormeza, powóz podróżny do spania.

¹¹ Remontier, oficer wybierający i zakupujący konie dla kawalerii.

¹² Trabuko, gatunek cygar; grube cygaro.

¹³ Bartolomeo Rastrelli (1700—1777), architekt włoski, który

długie lata spędził w Petersburgu i zbudował tam wiele wspaniałych gmachów.

¹⁴ Konstanty Thon (1794—1881), architekt rosyjski, profesor akademii sztuk pięknych; zbudował szereg pałaców i cerkwi, naśladowując (nieudolnie) starodawny styl rosyjski.

¹⁵ „... do czuchońskich sanek...”, Czuchoncy — rosyjska nazwa Finów.

¹⁶ Praporszczyk (chorąży), najniższy stopień oficerski w dawnej armii rosyjskiej.

¹⁷ Karl Teodor Körner (1791—1813), poeta i dramaturg niemiecki. Zginął walcząc w szeregach armii niemieckiej przeciwko Napoleonowi. Sławę zyskał głównie pieśniami wojennymi i patriotycznymi, które wyszły z druku po jego śmierci w zbiorze *Lira i miecz* (1814).

¹⁸ Johan Kasper Lavater (1741—1801), filozof i poeta szwajcarski, twórca tzw. fizjognomiki, czyli sztuki odgadywania charakteru człowieka z rysów jego twarzy. Lavater usiłował nadać fizjognomice cechy naukowości, jednak bezskutecznie. Szewczenko, nazywając Lavatera frenologiem, najoczywiej pomylił go z Franzem Josephem Gallem, lekarzem austriackim (1758—1828), twórcą tzw. frenologii, czyli nauki (a właściwie pseudonauki) poznawania uzdolnień umysłowych człowieka na podstawie budowy jego czaszki.

¹⁹ Ilia Muromiec, bohater ludowych podań rosyjskich (tzw. bylin), zanim wyruszył dla dokonania sławnych czynów, siedział bez ruchu trzydzieści trzy lata.

²⁰ Hrebla (ukr.), grobla.

²¹ Knysz, rodzaj bułki pieczonej z tłustością i cebulą.

²² Aleksander Calame (1810—1864), szwajcarski malarz-pejzażysta.

²³ Feldjeger, w dawnej Rosji goniec rządowy, rodzaj żandarma.

²⁴ „nieszpory sycylijskie...”, powstanie ludowe na Sycylii przeciwko Francuzom, wybuchło w Palermo w czasie nieszporów dnia 30 marca 1282 r. Zakończyło się rzezią Francuzów i obaleniem dynastii Andegaweńskiej.

²⁵ Maksym Żeleźniak (Zalizniak), jeden z przywódców tzw. hajdamaków, czyli powstańców kozacko-chłopskich na Ukrainie w XVIII w. (daty urodzenia i śmierci nie znane). W roku 1768 hajdamacy pod wodzą Żeleźniaka zdobyli Łysiankę i wyrznęli znajdującą się tam szlachtę polską.

²⁶ Czacki, główny bohater sztuki A. Gribojedowa *Mądremu biada*.

²⁷ Duenia (hiszp. *dueña*), starsza kobieta, czuwająca nad zachowaniem się młodych mężatek i zarządzająca gospodarstwem domowym.

²⁸ Sylistria, twierdza w Rumunii, nad Dunajem; do 1878 r. turecka. Wojska rosyjskie oblegały tę twierdzę w czasie wojny krymskiej.

²⁹ Sławutka, burka ze Sławuty na Wołyniu. W Sławucie znajdowała się słynna podówczas fabryka sukna i wszelkich wyrobów wełnianych.

³⁰ Rabulista, kręta, tłumaczący prawo na swoją korzyść (z fr. *rabouilleur* — mąciwoda).

³¹ „Na morzu modrym, na kamieniu białym, jasny sokół kwili wciąż a kwili, na modre morze uważnie pogląda, z morza zdobyczy czeka, wygląda.” (ukr.)

³² „Ślepy poeta z Chios...”, Homer.

³³ Mikołaj Gniedicz (1784—1833), poeta rosyjski, tłumacz *Iliady*.

³⁴ Michonosz, chłopaczek do noszenia miecha, czyli torby.

³⁵ Czumacy, tak zwano w dawnych czasach na Ukrainie chłopów, którzy wozili (zazwyczaj na wołach) zboże na sprzedaż na Krym i nad Don, a przywozili stamtąd sól i ryby. Później zaczęto nazywać czumakami wszystkich woźniców, przewożących towary na duże odległości.

³⁶ „Jednych już nie ma, inni — w dali...”, cytat z *Eugeniusza Oniegina* Puszkina, przekład A. Ważyka.

³⁷ Kipsek, bogato oprawny album z rysunkami, pamiętnik, sztambuch.

³⁸ Kłunia (ukr.), stodoła.

³⁹ „Chłopów swych pod prasę kładzie...”, cytat z wiersza *Pieśń współczesna* rosyjskiego poety i oficera Denisa Dawydowa (1784—1839), jednego z inicjatorów partyzantki przeciwko Napoleonowi w 1812 roku. W *Pieśni współczesnej* autor przejawiał postępowe przekonania, wyszydzając m.in. modny a fałszywy liberalizm ówczesnych sfer ziemiańskich.

⁴⁰ Dymar (ukr.), komin.

⁴¹ Swołok (ukr.), sufit.

⁴² Kyłym (ukr.), kilim.

⁴³ Georgi Konisski (1717—1795), arcybiskup białoruski, pisarz i wykładowca, a potem rektor kijowskiej akademii duchownej.

⁴⁴ „Semibratnia krow...” (ukr.), „Krew siedmiu braci”, korale.

⁴⁵ Krzyż św. Jerzego (Gieorgija), order, najwyższe odznaczenie bojowe dla oficerów i generałów dawnej armii rosyjskiej, o czterech stopniach, ustanowione w r. 1769 przez Katarzynę II. W r. 1807 ustanowiony został osobny krzyż św. Jerzego dla odznaczania szeregowych i podoficerów (krzyż żołnierski).

⁴⁶ Guido Reni (1575—1642), znakomity malarz włoski.

⁴⁷ Jacob van Ruisdael (1628—1682), malarz niderlandzki, jeden z najświetniejszych pejzażyistów. Jego obraz *Moczary* znajdował się w petersburskim Ermitażu, gdzie go z pewnością widział Szewczenko w czasie studiów malarskich w Akademii Sztuk Pięknych.

⁴⁸ Ridikiul (franc. *ridicule*), woreczek na robótkę kobiecą.

⁴⁹ Gerard Dou (1613—1675), jeden z najświetniejszych holenderskich malarzy rodzajowych.

⁵⁰ Pałamarz (ukr. *pałamar*), posługacz cerkiewny.

⁵¹ Kliros, podwyższone miejsce dla śpiewaków w cerkwi.

⁵² „Iże cheruwimy...”, „Jako cherubiny” (początkowe słowa pieśni cerkiewnej).

⁵³ *Żołnierz-czarodziej*, komedia I. Kotłarewskiego.

⁵⁴ Antonio Canova (1757—1822), rzeźbiarz włoski, przedstawiciel stylu klasycznego. Główne dzieło: *Amor i Psyche*.

⁵⁵ Bertold Schwartz, mnich katolicki, rodem z Freiburga w Badeni, żyjący w drugiej połowie XIV w., niewłaściwie uważany za wynalazcę prochu strzelniczego, który od dawna już znany był na Wschodzie. Słuszniej można mu przypisać wynalazek dział, gdyż odkrył siź.

⁵⁶ Rivalier, nazwisko, prawdopodobnie przekręcone przez Szewczenkę; trudno się domyślić, o kogo mu tu chodziło.

⁵⁷ „Ale chyba władze wyższe mają teraz inne zmartwienia...”, wskutek nieudolnie prowadzonej przez cara wojny krymskiej w kraju narastało niezadowolenie, mnożyły się bunty chłopskie, groził wybuch rewolucji społecznej.

⁵⁸ Mścisław Udały, książę tmutarakański (data urodz. nie znana, um. w r. 1036). W r. 1024 walczył ze swoim bratem Jarosławem Mądrym, księciem kijowskim. Zwyciężywszy go pod Listwenem, pogodził się z nim.

⁵⁹ Ilia Garkusza, przywódca chłopów białoruskich, który w r. 1648 wzniecił na Białorusi powstanie przeciwko szlachcie polskiej, w czasie kiedy na Ukrainie podobną walkę prowadził Bohdan Chmielnicki.

⁶⁰ „Co narobiły przeklęte niemowy. Dobremu człowiekowi nawet na stepie zrobiło się ciasno.” (ukr.)

⁶¹ *Metelycja*, dosłownie po ukraińsku: śnieżna zamieć — ukraiński taniec ludowy.

⁶² Akteon, w mitologii greckiej młody myśliwiec, którego Artemida (Diana) zamieniła w jelenia za to, że ją podpatrzył w kąpielu.

⁶³ „Dalej, siostry, na wieczerzę!” (ukr.)

⁶⁴ „To to tak! — Prawdziwy pan w kusej kapocie!” (ukr.)

⁶⁵ „A niechże cię лихо weźmie, Gerasimie! Jaki z ciebie, do diabła, pan! Jesteś naszym prawdziwym majstrem Gerasimem!” (ukr.)

⁶⁶ „Dziękuję za wypożyczenie!” (ukr.)

⁶⁷ „...czwartą grację”, w mitologii rzymskiej były tylko trzy gracje, boginie: młodości, piękna i radości życia — Aglaja, Eufrozyna i Talia.

⁶⁸ Jean François Champollion (1790—1832), archeolog francuski, genialny twórca egiptologii, a w szczególności badań hieroglificznych; pierwszy odczytał hieroglify egipskie.

⁶⁹ „...zapiski Rotczewa o Kalifornii”. Pisarz rosyjski Aleksander Rotczew (1804—1873) spędził wiele lat w rosyjskich koloniach w Ameryce Północnej. Bardzo ciekawe jego korespondencje stamtąd drukowane były w czasopismach: „Otieczestwiennyje Zapiski” (1852—1854), „Panteon” (1854) i „Siewiernaja Pczela” (1854).

⁷⁰ Hilce, drzewko weselne, gałąź weselna.

⁷¹ *Pâté de foie* (fr.), pasztet z gęśiej wątróbki.

⁷² „Upiłam się, ale nie za wasze (pieniądze): kurka jajka mi zносиła, więc za jajka się upiłam.” (ukr.)

⁷³ „To nie będę pani czytała *Ostapa* i *Ulany...*”, Mowa tu o dwóch powieściach Józefa Ignacego Kraszewskiego: *Ostap Bondarczuk* (1847) i *Ulana* (1843).

⁷⁴ „Cóż to, nie śpi pan?” (ukr.)

⁷⁵ „Pojedziemy z powrotem na piętach.” (ukr.)

⁷⁶ „Nie można powiedzieć, smaczna bestia.”

⁷⁷ Philips Wouwerman (1619—1668), malarz niderlandzki, nieporównany jako malarz koni. Szereg jego prac znajduje się w Ermitażu.

⁷⁸ Iwan Iskra (zm. 1708), pułkownik połtawski. Podpisawszy wraz z Koczubejem donos na Mazepę, podzielił los Koczubeja.

⁷⁹ Wasilij Koczubej (ok. 1640—1708), wybitny działacz ukraińskiej starszyny kozackiej. Napisał do Piotra I donos na het-

mana Mazepę, który zamierzał oderwać lewobrzeżną Ukrainę od Rosji; na rozkaz Mazepy został stracony.

⁸⁰ Cachucha (czyt. kaczucza), hiszpański taniec ludowy.

⁸¹ „Dobrze, powiedz, że przyjdziemy!” (ukr.)

⁸² Filemon i Baucis, w mitologii greckiej para małżeńska, sławna z dochowywanej wzajemnie w ciągu całego żywota wiernej miłości.

⁸³ „Tu, stoi za chatą.” (ukr.)

⁸⁴ Gineceum, u starożytnych Greków niewieścia połowa domu, w której kobiety, oddzielone zupełnie od towarzystwa męskiego, zajmowały się gospodarstwem domowym.

⁸⁵ „Nie dla kramarstwa, nie dla bitwy...”, zakończenie wiersza Puszkina pt. *Czerń* (przekład J. Tuwima).

⁸⁶ „Czy pan wieczerzał? — Wieczerzałem. — To niech się pan kładzie spać i śpi z Bogiem. Chodźmy, chłopcy!” (ukr.)

⁸⁷ Pizzicato, w terminologii muzycznej: urywane dźwięki wydobywane ze strun przez szarpnięcia.

⁸⁸ Czekał, rodzaj sukmany noszonej przez górali kaukaskich i Tatarów.

⁸⁹ Woroczki (ukr.), tobołki.

⁹⁰ Śniadanie (niem. *Fruhstück*).

⁹¹ Mięso (niem. *Fleisch*).

⁹² „...nie na wodach...”, Szewczenko ma tu zapewne na myśli nisko położone nad brzegiem Dniepru dzielnice Kijowa, często zalewane w czasie powodzi. Kreszczatik znajduje się w górnej części miasta.

⁹³ „Wzeszła gwiazdka nad wieczorem, nie naświeciła się, przyszedł miły, z wojny wrócił, nie napatrzyłam się.” (ukr.)

⁹⁴ Marietta Alboni (1823—1894), słynna śpiewaczka włoska.

⁹⁵ Wasilij Kuroczkin (1831—1875), znany poeta rosyjski, demokrat, tłumacz Bérangera. Jego brat, Mikołaj Kuroczkin, również poeta (1830—1884), był przyjacielem Szewczenki i tłumaczył na język rosyjski jego utwory.

⁹⁶ Bogini Jara, starosłowiańska (u Słowian ruskich) bogini wiosny.

Z cyklu prozatorskich opowieści Tarsa Szewczenki nakładem Wydawnictwa Lubelskiego dotychczas ukazały się:

ARTYSTA

MUZYKANT

KAPITANOWA

KSIĘŻNA. W ARNAK

NIESZCZĘŚLIWY

NAJMITKA

w przygotowaniu:

BLIŹNIAKI

Cena zł 70,—

32/23

WYDAWNICTWO LUBELSKIE